

Annabel Pitcher

Moja siostra
mieszka
na kominku



PAPIER  WYKSIEZYC

Annabel Pitcher

**Moja siostra mieszka
na kominku**

Moja siostra Rose mieszka na kominku. A konkretnie, to jej fragmenty. Trzy palce, prawy łokieć i rzepka zostały pochowane na cmentarzu w Londynie. Mama i tata strasznie się pokłócili, kiedy policja znalazła dziesięć fragmentów ciała. Mama chciała grobu, który mogłaby odwiedzać, a tata życzył sobie kremacji i rozsypania prochów do morza. Tak przynajmniej mówiła Jasmine, która pamięta więcej niż ja. Gdy to się stało, byłem zaledwie pięcioletnim dzieckiem. Jasmine miała wtedy dziesięć lat i była bliźniaczką Rose. Nadal jest, jak twierdzą rodzice. Po pogrzebie przez lata ubierali ją ciągle tak samo - sukienki w kwiatki, sweterki, płaskie buty ze sprzączkami, które Rose tak uwielbiała. To chyba dlatego siedemdziesiąt jeden dni temu mama uciekła z facetem z grupy wsparcia. Kiedy na piętnaste urodziny Jas obcięła włosy, przebarbowała się na różowo i założyła sobie kolczyk w nosie, przestała przypominać Rose, i rodzice nie mogli sobie z tym poradzić.

Każdemu przypadło w udziale pięć fragmentów. Mama włożyła swoje do pięknej białej trumienki i umieściła pod białym nagrobkiem z napisem „Mój Aniołek”. Tata dokonał kremacji obojczyka, dwóch żeber, kawałka czaszki i małego palca od nogi, a prochy zamknął w złotej urnie. Tak więc każde z rodziców zrobiło po swojemu, ale - co za niespodzianka - żadnego z nich to nie uszczęśliwiło. Mama twierdzi, że cmentarz jest zbyt przygnębiający i wcale tam nie chodzi. Co roku, w rocznicę śmierci mojej siostry, tata próbuje rozsypać prochy i w ostatniej chwili zmienia zdanie. Zawsze coś się musi wydarzyć w momencie, gdy już prawie wysypuje Rose do morza. Któregoś roku w Devon, podpłynęła ławica srebrnych ryb, które wyglądały tak, jakby już się nie mogły doczekać pożarcia mojej siostry. A innym razem, w Kornwalii, mewa narobiła na urnę, kiedy tata już prawie ją otwierał. Wybuchnąłem śmiechem, jednak Jas była taka smutna, że szybko przestałem chichotać.

Wyprowadziliśmy się z Londynu, żeby zostawić to wszystko za sobą. Tata znał kogoś, kto z kolei znał osobę, która zadzwoniła do niego w sprawie pracy na budowie w Lake District.

W Londynie nie pracował od lat. Mamy recesję, a to oznacza, że w kraju brakuje pieniędzy, więc prawie niczego się nie buduje. Tata dostał pracę w Ambleside, a wtedy sprzedaliśmy mieszkanie, wynajęliśmy domek i zostawiliśmy mamę w stolicy. Założyłem się z Jas o całe pięć funtów, że mama przyjdzie pomachać nam na pożegnanie. Jasmine nie domagała się wcale pieniędzy, gdy przegrałem zakład. Po drodze, w samochodzie, zaproponowała, żebyśmy pobawili się w zgadywanie słów, ale nie była w stanie znaleźć niczego na literę R, chociaż Roger siedział mi na kolanach i mruczał głośno, jakby próbował jej podpowiedzieć.

Tutaj jest zupełnie inaczej. Mamy olbrzymie góry, tak wysokie, że chyba kłują Boga w tyłek, mnóstwo drzew i jest bardzo cicho. *Nie ma tu ludzi*, stwierdziłem, kiedy znaleźliśmy już nasz domek przy krętej uliczce i wyjrzałem przez okno auta, szukając kogoś, z kim mógłbym się pobawić. *Nie ma tu muzułmanów* poprawił mnie tata i uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia. Wysiedliśmy z Jas z ponurymi minami.

Nasz domek jest zupełnym przeciwieństwem mieszkania w Finsbury Park. Jest biały,

a nie brązowy, duży, a nie mały, stary, a nie nowy. Moim ulubionym przedmiotem w szkole jest plastyka i gdybym miał malować domy w ludzkiej postaci, to nasz byłby zwariowaną staruszką o bezzębnym uśmiechu. Nasze dawne mieszkanie namalowałbym jako poważnego żołnierza, schludnego, wciśniętego w szereg identycznych facetów. Mamie by się to spodobało. Uczy w szkole plastycznej i jestem pewien, że pokazałaby wszystkim swoim uczniom moje rysunki, jeślibym jej wysłał.

Chociaż mama została w Londynie, cieszyłem się, że opuszczamy nasze mieszkanie. Miałem malutki pokój, lecz rodzice nie pozwolili mi się przeprowadzić do pokoju Rose, bo ona nie żyje i jej rzeczy są święte. *Pokój Rose to święte miejsce, James. Nie wchodź tam, James.* Nie rozumiem, co może być świętego w kupie starych lalek, śmierzdzącej różowej kołdrze i łysym pluszowym misiu. Nie czułem żadnej świętości, kiedy któregoś dnia po powrocie ze szkoły zacząłem skakać po łóżku Rose. Jas kazała mi przestać, ale obiecała, że nie powie rodzicom.

Wysiedliśmy z samochodu, stanęliśmy na drodze i popatrzyliśmy na nasz nowy dom. Słońce zachodziło, góry połyskiwały na pomarańczowo, a w jednym z okien widać było nasze odbicie - tata, Jas i ja z Rogerem na ręku. Przez ułamek sekundy czułem w sobie nadzieję, zupełnie jakby od tej pory wszystko miało wyglądać normalnie. Tata wziął walizkę, wyjął z kieszeni klucz i ruszył ścieżką przez ogród. Jas uśmiechnęła się do mnie, pogłaskała Rogera i poszła za nim. Postawiłem kota na ziemię. Od razu wpełzł pod krzak i tylko ogon mu wystawał, gdy przedzierał się pomiędzy liśćmi. *No chodź*, zawołała moja siostra, odwracając się na ganku. Wyciągnęła do mnie rękę i weszliśmy do środka razem.

To ona zobaczyła tę scenę pierwsza. Od razu poczułem, jak napina rękę. *Zrobić ci herbaty*, zapytała nienaturalnie piskliwym głosem, a wzrok miała wbity w coś, co tata trzymał w ręku. Klęczał na podłodze hallu, dookoła leżały rozrzucone ubrania, jakby właśnie w pośpiechu opróżnił walizkę. *Gdzie jest czajnik*, zapytała Jas, starając się zachowywać normalnie. Tata nie podniósł nawet wzroku znad urny. Splunął na nią i zabrał się za polerowanie złota brzegiem rękawa, aż zaczęło błyszczeć. Potem postawił moją siostrę na kominku, tak samo kremowym i zakurzonym, jak ten w londyńskim mieszkaniu i szepnął: *Witaj w nowym domu, skarbie.*

Jas zajęła największy pokój ze starym kominkiem w narożniku i szafą wnękową, którą od razu wypełniła wszystkimi swoimi nowymi czarnymi ubraniami. Na belce pod sufitem powiesiła dzwoneczki wietrzne, które brzęczą, kiedy się na nie dmuchnie. Ja tam wolę swój pokój. Okno wychodzi na ogród, gdzie rośnie skrzypiąca jabłoń i znajduje się oczko wodne, a do tego ma bardzo szeroki parapet, na którym Jas położyła poduchę. W pierwszą noc po przyjeździe, bardzo długo siedzieliśmy w oknie i wpatrywaliśmy się w gwiazdy. W Londynie nigdy nie było ich widać, miasto było zbyt jasne od świateł budynków i reflektorów samochodowych i na niebie nic nie można było dostrzec. Tutaj gwiazdy świeciły wyraźnie, a Jas opowiedziała mi o gwiazdozbiorach. Interesuje się horoskopami i codziennie rano czyta swój własny w internecie. Dzięki temu wie, co się wydarzy danego dnia. *Czy to nie psuje ci całej niespodzianki*, zapytałem jeszcze w Londynie, gdy symulowała chorobę, bo wyczytała, że spotka ją coś nieoczekiwanego. *O to właśnie chodzi* odparła, po czym wróciła do

łóżka i przykryła się kołdrą aż po czubek głowy.

Jas jest spod znaku Bliźniąt, co wydaje mi się bardzo dziwne, bo przecież nie jest już bliźniaczką. Moim znakiem zodiaku jest Lew. Jas uklękła na poduszce i pokazała mi go za oknem. Zupełnie nie przypominał zwierzęcia, ale powiedziała, że kiedy tylko będzie mi źle, mam pomyśleć o srebrnym lwie na niebie i od razu poczuję się lepiej. Chciałem ją zapytać, po co mi to mówi, skoro tata obiecał nam, że zaczniemy wszystko od początku, jednak przypomniałem sobie urnę na kominku i bałem się odezwać. Następnego dnia rano znalazłem w koszu pustą butelkę po wódce i wiedziałem już, że życie w Lake District będzie dokładnie takie samo jak w Londynie.

To było dwa tygodnie temu. Od czasu urny, tata wypakował jeszcze tylko stary album ze zdjęciami i trochę własnych ubrań. Panowie od przeprowadzek wnieśli duże rzeczy, łóżka i sofę, a my z Jas zajęliśmy się resztą. Jedyne nierozpakowane kartony to te z napisem NIE WOLNO DOTYKAĆ. Stoją w piwnicy, przykryte plastikowymi workami, żeby się nie pomoczyły w razie powodzi czy czegoś takiego. Jas miała mokre oczy i czarne smugi dookoła. *Nie martwi cię to*, zapytała, a ja powiedziałem, że nie. Chciała wiedzieć, dlaczego, więc powiedziałem, że Rose nie żyje. Skrzywiła się. *Nie mów tak, Jamie.*

Nie mam pojęcia, dlaczego nie mam tak mówić. Nie żyje. Nie żyje. Nie żyje nie żyje nie żyje. *Odeszła*, mawiała mama. *Jest teraz w lepszym miejscu*, to z kolei tekst taty. Ale on nigdy nie chodzi do kościoła, więc nie wiem, czemu tak mówi. No chyba, że nie ma na myśli nieba, tylko trumnę albo złotą urnę na kominku.

Pani psycholog w Londynie stwierdziła, że *jestem w fazie wyparcia i nadal odczuwam szok*. Powiedziała też, że *któregoś dnia dotrze to do mnie, a wtedy będę płakał*. Jak widać, jeszcze to nie nastąpiło od prawie pięciu lat, kiedy to dziewiątego września zginęła moja siostra. Rodzice posłali mnie w zeszłym roku do tej kobiety, bo nie mieściło im się w głowie, dlaczego nie płaczą po Rose. Chciałem ich zapytać, czy oni płaczą po kimś, kogo nie pamiętają, jednak ugryzłem się w język.

Jakoś nikt nie potrafi tego zrozumieć. Nie pamiętam Rose. Naprawdę. Pamiętam dwie dziewczyny na wakacjach, jak skakały przez fale, tylko nie wiem, gdzie to było, co Rose mówiła i czy zabawa jej się podobała. Wiem też, że moje siostry były druhami na ślubie sąsiada, ale z całej uroczystości pamiętam tylko tubkę ze Smarties, którą mama dała mi podczas mszy. Już wtedy najbardziej lubiłem czerwone cukierki i trzymałem je w dłoni tak długo, aż skóra zabarwiła się na różowo. Jednak nie pamiętam, co Rose miała na sobie, nie wiem, jak wyglądała, gdy szła przez kościół, ani nic takiego. Po pogrzebie zapytałem Jas, gdzie jest Rose. Pokazała mi urnę na półce nad kominkiem. *Jakim cudem dziewczyna może zmieścić się do czegoś tak małego*, zastanawiałem się na głos, a wtedy ona zaczęła płakać. Podobno, bo ja sam tego nie pamiętam.

Któregoś dnia zadali nam w szkole opisanie jakiejś szczególnej osoby. Poświęciłem piętnaście minut pisząc całą stronę na temat Wayne'a Rooneya. Mama kazała mi wyrwać kartkę z zeszytu i opisać Rose. Nie miałem nic do powiedzenia na jej temat,

ale mama usiadła naprzeciwko z zapuchniętą, czerwoną twarzą i podyktowała mi każde zdanie. Uśmiechała się przez łzy, mówiąc: *Kiedy się urodziłeś, Rose pokazała na twojego siu-siaka i zapytała, czy to gąsienica.* Powiedziałem, że absolutnie nie wpiszę tego do zeszytu. Uśmiech zniknął z twarzy mamy, zwiesiła nos i poczułem się tak paskudnie, że jednak napisałem to zdanie. Kilka dni później, nauczycielka przeczytała moje wypracowanie na głos. Dostałem plusa od niej i nowe przydomki od kolegów z klasy: Siusiakowa Larwa.

Jutro są moje urodziny, a tydzień później zaczynam nową szkołę, podstawówkę o nazwie Ambleside Church of England Primary. Szkoła jest oddalona o ponad trzy kilometry od naszego domu, więc tata będzie musiał mnie odwozić. To nie Londyn, nie będzie autobusów i pociągów, kiedy tata się upije. Jas obiecała, że odprowadzi mnie, jeśli trzeba będzie iść pieszo, bo jej szkoła znajduje się pół kilometra dalej. *Przynajmniej schudniemy*, powiedziała, a wtedy spojrzałem na swoje ręce i stwierdziłem, że dla chłopaków to nic dobrego. Jas nie musi wcale chudnąć, ale i tak je jak wróbel i przez długie godziny czyta etykiety na produktach, sprawdzając ile mają kalorii. Dzisiaj upiekła mi tort na urodziny. Powiedziała, że jest zdrowy, na margarynie, a nie maśle i prawie bez cukru, więc pewnie będzie miał dziwny smak. Mimo to, wygląda super. Zjemy go jutro i to ja będę kroił, bo to będzie mój wyjątkowy dzień.

Zajrzałem wcześniej do skrzynki, Jednak nic tam nie było, oprócz menu z restauracji The Curry House, które schowałem, żeby tata się nie rozgniewał. Żadnego prezentu urodzinowego od mamy. Ani kartki. Ale przecież jest jeszcze jutrzejszy dzień, mama nie zapomni. Zanim wyjechaliśmy z Londynu, kupiłem kartkę z napisem *Przeprowadzamy się* i wysłałem mamie. W środku zapisałem tylko adres naszego nowego domu i moje imię, nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym dodać. Mama mieszka w Hampstead z facetem z grupy wsparcia. Ma na imię Nigel i spotkałem go kiedyś w centrum Londynu na jednej z tych upamiętniających uroczystości. Miał długą, portarganą brodę, krzywy nos i palił fajkę. Nigel pisze książki o ludziach, którzy pisali książki, co moim zdaniem nie ma sensu. Jego żona też zginęła dziewiętego września. Może mama wyjdzie za niego za mąż. Może będą mieli dzidziusia, dadzą mu na imię Rose i potem zapomną zupełnie o mnie, Jas i pierwszej żonie Nigela. Ciekawe, czy znalazł jakieś jej fragmenty. Może na jego kominku stoi urna i być może kupuje kwiaty na rocznicę ślubu. Mamie by się to nie podobało.

Do mojego pokoju wszedł właśnie Roger. Lubi się zwijać na noc w kłębek pod grzejnikiem, bo tam jest ciepło. Rogerowi bardzo się tu podoba. W Londynie był trzymany w domu, ze względu na ruch samochodowy, tutaj może wszędzie chodzić, a ogród pełen jest zwierząt, na które można polować. Trzeciego dnia rano, znalazłem na progu coś małego, szarego i nieżywego. To była chyba mysz. Brzydziłem się podnieść ją palcami, więc przyniosłem kartkę papieru, zepchnąłem na nią mysz patykiem, a potem wrzuciłem do śmietnika. Poczulem się jednak podle, więc wyjąłem ją z kosza, włożyłem pod żywopłot i przykryłem trawą. Roger miauczał, jakby nie mógł uwierzyć, że się tak napracował, a ja zrobiłem coś podobnego. Powiedziałem mu, że robi mi się niedobrze, gdy widzę martwe stworzenia. Zaczął ocierać się swoją rudą sierścią o moją prawą łydkę i od razu wiedziałem, że zrozumiał. To prawda. Boję się zwłok. Wiem, że to paskudne, ale skoro Rose musiała zginąć, cieszę się, że znaleźli tylko fragmenty jej ciała. Byłoby o wiele gorzej, gdyby leżała pod ziemią, sztywna i zimna, dokładnie taka sama jak na zdjęciach.

Moja rodzina była chyba kiedyś szczęśliwa. Na fotografiach widać szerokie uśmiechy i małe oczka, zmrużone, jakby ktoś opowiedział właśnie naprawdę świetny

dowcip. Jeszcze w Londynie tata długimi godzinami przyglądał się tym zdjęciom. Mielśmy ich setki, wszystkie zrobione przed dziewiątym września, powkładane byle jak w pięć kartonów. Cztery lata po śmierci Rose, tata postanowił ułożyć je w kolejności, od najstarszych do najnowszych. Kupił dziesięć bardzo eleganckich albumów, obitych prawdziwą skórą, ze złotymi literami, i przez wiele miesięcy całymi popołudniami nie odzywał się do nikogo, tylko pił, pił, pił i przyklejał zdjęcia we właściwych miejscach. Tylko, że im więcej pił, tym większe miał trudności z prostym przyklejaniem i następnego dnia połowę musiał robić od nowa. To chyba właśnie wtedy mama zaczęła mieć Romans. To słowo znałem z serialu „Eastenders”, a potem nieoczekiwanie usłyszałem, jak tata je wykrzykuje. To był szok. Niczego się nie domyślałem, nawet wtedy, gdy mama zaczęła wychodzić na spotkania grupy wsparcia dwa razy w tygodniu, potem trzy razy, a na końcu jak często się dało.

Czasem budzę się i zapominam, że mamy nie ma, a kiedy sobie to uświadamiam, serce skacze mi w dół, jak wtedy, gdy człowiek postawi źle nogę na schodach albo potknie się o krawężnik. Znowu sobie wszystko przypominam, widzę zbyt wyraźnie sceny z urodzin Jas, zupełnie jakby mój mózg był telewizorem HD, którego mama nie chciała kupić mi na Gwiazdkę w zeszłym roku, twierdząc, że to strata pieniędzy.

Jas spóźniła się godzinę na swoje przyjęcie urodzinowe. Mama i tata kłócili się. *Christine powiedziała, że wcale u niej nie byłaś*, mówił tata w momencie, gdy wszedłem do kuchni. *Zadzwoń, żeby to sprawdzić*. Mama opadła na krzesło tuż obok kanapek. Pomyślałem sobie, że to doskonałe posunięcie, bo będzie mogła sobie wybrać najlepszy obkład. Były tam kanapki z wołowiną i z kurczakiem i jeszcze jakieś żółte, jak miałem nadzieję, z serem, a nie pastą jajeczno-majonezową. Mama miała na głowie czapeczkę urodzinową, ale zwiesiła twarz tak, że przypominała smutnego clowna z cyrku. Tata otworzył lodówkę, wyjął piwo i zatrzasnął drzwiczki. Na stole stały już cztery puste puszki. *Wiec gdzie byłaś, do jasnej cholery*. Mama otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, a wtedy zaburczało mi głośno w brzuchu. Podskoczyła i oboje odwrócili się w moją stronę. *Czy mogę kielbaskę w bułce*, zapytałem.

Tata mruknął coś pod nosem i podniósł talerz. Chociaż był zły, starannie odkroił kawałek tortu, kładąc dookoła kielbaski w bułce, kanapki i chipsy. Nadał do szklanki soku Ribena, takiego gęstego, jaki lubię najbardziej. Gdy skończył, wyciągnąłem rękę, ale on minął mnie i poszedł do kominka w salonie. Byłem wściekły. Wszyscy wiedzą, że zmarłe siostry nie czują głodu. Już myślałem, że mój żołądek pożre mnie żywcem, kiedy otworzyły się drzwi wejściowe. *Spóźniłaś się*, krzyknął tata i wtedy mama jęknęła. Jas uśmiechnęła się nerwowo, w nosie błyszczał jej kolczyk, a jej włosy były bardziej różowe niż guma balonowa. Też się do niej uśmiechnąłem, a wtedy BUM!, rozległa się eksplozja, bo tata upuścił talerz na podłogę, a mama szepnęła *Coś ty zrobiła*.

Moja siostra pokryła się czerwienią. Tata krzyknął coś o Rose i pokazał palcem na urnę, rozlewając Ribene po całym dywanie. Mama siedziała nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w Jas, a oczy napływały jej łzami. Wepchnąłem do ust dwie kielbaski i schowałem bułkę pod koszulką.

Co za rodzina, wyrzucił z siebie tata, patrząc to na Jas, to na mamę, a na jego twarzy rysował się smutek, którego zupełnie nie rozumiałem. To przecież tylko obcięte włosy, a nie miałem pojęcia, co mama mogła zrobić złego. Roger zlizywał tort z podłogi i

zasyczał, kiedy tata chwycił go za kark i wyrzucił do przedpokoju. Jas wybiegła z kuchni i zamknęła się z trzaskiem w swoim pokoju. Udało mi się zjeść jeszcze kanapkę i trzy bułeczki w czasie, gdy tata sprzątał bałagan. Ręce mu się trzęsły, kiedy zbierał resztki podwieczorku Rose. Mama wpatrywała się w ciasto na dywanie. *To wszystko moja wina*, mruknęła. Potrząsnąłem głową. *To on to rozlał, nie ty*, szepnąłem, wskazując na plamę od soku.

Tata wrzucił resztki do kosza tak mocno, że aż zagrzecotały. Znów zaczął krzyczeć. Rozbolały mnie od tego uszy, więc wybiegłem z kuchni do pokoju Jas. Moja siostra siedziała przed lustrem i bawiła się różowymi włosami. Dałem jej ukrytą pod koszulką bułkę. *Wyglądasz naprawdę ładnie*, stwierdziłem, a wtedy rozplakała się. Dziewczyny są dziwne.

Potem mama do wszystkiego się przyznała. Siedzieliśmy na łóżku i nasłuchiwaliliśmy, co nie było trudne. Mama płakała. Tata krzyczał. Jas pocierała cały czas oczy, ale moje były suche. ROMANS powtarzał tata w kółko, jakby sądził, że gdy wykrzyczy to słowo odpowiednią liczbę razy, ono wryje się nam w pamięć. *Ty tego nie rozumiesz*, powiedziała mama, a wtedy tata odparł *Za to Nigel z pewnością rozumie*, na co mama powiedziała *Lepiej od ciebie. Rozmawiamy. On słucha. Dzięki niemu...*, lecz tata jej przerwał, głośno przeklinając.

To wszystko trwało bardzo długo, aż mi ścierpła lewa stopa. Tata zadawał setki pytań, mama płakała coraz głośniej. Wyzwał ją od *zdrajczyń* i *kłamczuch* i powiedział, że *to wisienka na pieprzonym torcie*, a wtedy poczułem chęć zjedzenia jeszcze jednej bułeczki. Mama próbowała się bronić, ale tata ją zakrzyczał. *Mało ta rodzina się przez ciebie nacierpiła*, wrzeszczał. Płacz nagle ustał i mama powiedziała coś, czego nie usłyszałem. *Co*, tata wydawał się wstrząśnięty. *Co ty powiedziałaś*.

Kroki w hallu. I cichy głos mamy, tuż pod drzwiami pokoju Jas. *Ja już dłużej nie mogę*, powtarzała, brzmiąc jak tysiącletnia staruszka. Jas chwyciła mnie za rękę. *Będzie lepiej, jeśli odejdę*. Palce mnie bolały, tak mocno je ścisnęła. *Lepiej dla kogo*, zapytał tata, a mama odparła *Lepiej dla wszystkich*.

Teraz to tata zaczął płakać. Błagał mamę, żeby została. Przepraszał. Zagroził drzwi, a mama kazała mu zejść z drogi. Prosił o jeszcze jedną szansę. Obiecywał, że się bardziej postara, że schowa zdjęcia, znajdzie pracę. Powiedział *Straciłem Rose, nie mogę stracić jeszcze ciebie*, jednak mama wyszła na ulicę. Zawołał *Potrzebujemy ciebie. Nie tak bardzo jak ja potrzebuję Nigela*, odparła mama. I poszła sobie, a tata uderzył ręką w ścianę i złamał palec i musiał przez cztery tygodnie i trzy dni nosić opatrunek.

Listonosz jeszcze nie chodził. Jest trzynaście po dziesiątej, a ja od stu dziewięćdziesięciu siedmiu minut mam już dwucyfrowy wiek. Chwilę wcześniej usłyszałem jakiś dźwięk pod drzwiami, ale to tylko był mleczarz. W Londynie nie roznosili nam mleka do domu. Ciągłe nam go brakowało, bo do supermarketu trzeba było jechać piętnaście minut, a tata nie chciał kupować w najbliższym sklepiku, ponieważ sprzedawali tam muzułmanie. Przyzwyczailem się do jedzenia suchych płatków, jednak mama jęczała, jeśli nie mogła napić się herbaty z mlekiem.

Jak na razie, nie dostałem nic fajnego. Tata podarował mi buty do gry w piłkę o półtora rozmiaru za małe. Mam je na sobie i czuję się, jakby mi ktoś wsadził palce do łapki na myszy. Tata uśmiechnął się po raz pierwszy od stu lat, gdy zobaczył, że je zakładam. Nie chciałem mówić, że potrzebuję większych, bo pewnie wyrzucił paragon. Udawałem, że są dobre. I tak nie jestem wybierany do drużyny piłkarskiej, więc nie będę nosił ich zbyt często. W londyńskiej szkole zgłaszałem się co roku, jednak nigdy się nie dostawałem, nie licząc jednego razu, kiedy bramkarz był chory i pan Jackson postawił mnie na bramce. Poprosiłem tatę, żeby przyszedł, a on pogłaskał mnie po głowie, jakby był ze mnie dumny. Przegraliśmy trzynaście do zera, ale tylko sześć goli było moją winą. W chwili rozpoczęcia meczu, denerwowałem się, że tata się nie pokazał. Gdy się kończył, cieszyłem się z tego faktu.

Rose kupiła mi książkę. Jak zwykle, prezent od niej leżał przy urnie w salonie. Chciało mi się śmiać, kiedy to zobaczyłem, wyobraziłem sobie, jak urnie wyrastają ręce, nogi i głowa i wędruje do sklepu po prezent. Tata przyglądał mi się poważnym wzrokiem, więc rozdarłem papier i starałem się ukryć rozczarowanie, gdy zdałem sobie sprawę, że już czytałem tę książkę. Dużo czytam. W Londynie, duże przerwy spędzałem w szkolnej bibliotece. *Książki są lepszymi przyjaciółmi niż ludzie*, mówiła bibliotekarka, ale ja tak nie sądzę. Luke Branston był moim przyjacielem przez cztery dni po tym, jak pokłócił się z Dillonem Sykesem za to, że złamał mu linijkę z nadrukiem Arsenалу. Siedział ze mną w stołówce, graliśmy na boisku w Top Trumps i przez prawie cały tydzień nikt nie nazywał mnie siusiakową larwą.

Jas czeka na mnie na dole, za chwilę idziemy do parku pograć w piłkę. Tatę też zaprosiła. *Chodź, zobaczysz jak Jamie wypróbowuje swoje nowe buty*, powiedziała, lecz tata tylko coś mruknął i włączył telewizor. Wyglądał jakby miał kaca. Sprawdziłem kosz na śmieci i jak się można było spodziewać, znalazłem kolejną pustą butelkę po wódce. *I tak nie jest nam potrzebny*, szepnęła moja siostra, a potem zawołała *Chodźmy pograć*, jakby to była najbardziej ekscytująca rzecz na całym świecie.

Jas wrzasnęła właśnie z dołu, pytając czy jestem gotowy. Odkrzyknąłem *Prawie*, ale nawet się nie ruszyłem z parapetu. Chcę poczekać na listonosza. Normalnie przychodzi między dziesiątą a jedenastą. Uważam, że mama nie zapomni. Ważne urodziny są zapisane w naszych umysłach niezmywalnym pisakiem, jednym z tych, które nauczyciele stosują czasami przez pomyłkę na białej tablicy. Jednak może mama się zmieniła, odkąd zamieszkała z Nigelem. Może Nigel ma własne dzieci i mama pamięta teraz tylko o ich urodzinach.

Na pewno dostanę coś od babci, nawet jeśli mama mi nic nie przyśle. Babcia mieszka w Szkocji, skąd pochodzi tata, i nigdy o niczym nie zapomina, chociaż ma już osiemdziesiąt jeden lat. Żałuję, że nie widujemy się częściej, bo to jedyna osoba, której tata się boi i chyba tylko ona mogłaby zmusić go do rzucenia picia. Tata nie zabiera nas do babci, a ona jest za stara, żeby jeździć samochodem i dlatego nie może nas odwiedzić. Chyba jestem bardzo podobny do babci. Ona ma rude włosy i piegi i ja też jestem rudy i piegowaty, no i ona też jest tak samo twarda jak ja. Na pogrzebie Rose tylko my dwoje nie płakaliśmy. Tak przynajmniej powiedziała mi Jas.

Do parku mamy półtora kilometra i praktycznie przebiegliśmy całą drogę sprintem. Wiedziałem, że Jas chce spalić kalorie. Czasami, gdy oglądamy telewizję, porusza nogą w dół i górę, zupełnie bez powodu i codziennie, po szkole robi setki brzuszaków. Wyglądała śmiesznie w długim, ciemnym płaszczu i jaskraworóżowych włosach, kiedy tak pędziła obok stada owiec, które tylko się na nas gapiły i robiły *beeee*. Przez cały czas wypatrywałem listonosza, bo dochodziła już jedenasta, a jego jeszcze nie było.

Kiedy dotarliśmy do parku, na huśtawkach siedziały trzy dziewczyny i dziwnie się na nas patrzyły. Miały wzrok parzący jak pokrzywa, pełen jadu i zatrzymałem się przy furtce, oblewając się rumieńcem. Jas nic sobie jednak z tego nie robiła. Podbiegła do dziewczyn, zajęła jedną z huśtawek i stanęła na siedzeniu w swoich czarnych jak smoła butach. Dziewczyny spojrzwały na nią jak na jakieś dziwadło, ale ona zaczęła się huścić naprawdę wysoko i naprawdę szybko, uśmiechając się do nieba, jakby nic na świecie nie mogło jej przestraszyć.

Jas interesuje się bardziej muzyką niż sportem, więc łatwo ją pokonałem, siedem do dwóch. Moim najlepszym strzałem było wybicie piłki z woleja lewą stopą. Jas uważa, że w tym roku na pewno dostanę się do drużyny szkolnej. Powiedziała, że mam magiczne buty, więc będę tak dobry jak Wayne Rooney. Palce zaczęły mi mrowieć, jakby faktycznie zadziałała magia i przez sekundę sądziłem, że moja siostra ma rację, a potem zrozumiałem, że nie mam w nich krążenia i że całe stopy mi zsiniały. *Są za małe*, zapytała, jednak odparłem, że nie, są idealne.

W drodze powrotnej czułem podekscytowanie. Jas nawijała o tym, że przekłuje sobie jeszcze to i tamto, ale ja myślałem tylko o jednym: o dywaniku w przedpokoju naszego domu. W myślach widziałem już leżącą na nim paczkę. Wielką, z kartką piłkarską przyklejoną do błyszczącego papieru pakowego. Nigel na pewno się nie podpisał, lecz mama dołączyła mnóstwo buziaków.

Otworzyłem drzwi wejściowe i od razu wiedziałem, że coś jest nie tak. Zbyt łatwo dały się przesunąć. Początkowo nie ośmieliłem się spojrzeć w dół, za to zmusiłem się do tego, by przypomnieć sobie słowa, która babcia ciągle powtarza: *Dobre rzeczy przychodzą w małych opakowaniach*. Próbowałem sobie wyobrazić rozmaite małe prezenty, które mama mogła przysłać, fajne, mimo, że nie zablokowały mi wejścia. Z jakiegoś powodu do głowy przychodziła mi jedynie martwa mysz Rogera, a ponieważ na samą myśl robiło mi się niedobrze, więc przestałem myśleć.

Popatrzyłem na dywanik. Na podłodze leżała jedna kartka, po zakrętasach na kopercie poznałem, że to od babci. I chociaż wiedziałem, że pod nią nic nie ma, i tak trąciłem ją nogą, na wypadek, gdyby prezent od mamy był naprawdę maleńki, jak na

przykład plakietka Manchester United albo gumka czy coś w tym stylu.

Czułem, że Jas mnie obserwuje, więc na nią zerknąłem. Kiedyś widziałem, jak pies wbiega na ruchliwą ulicę, a wtedy ramiona podskoczyły mi aż do uszu i brwi ścisnęły się razem w oczekiwaniu na uderzenie. Tak właśnie wyglądała Jas, gdy patrzyłem na dywanik. Schyliłem się szybko i rozerwałem kopertę od babci, śmiejąc się zbyt głośno na widok wypadających na podłogę dwudziestu funtów. *Pomyśl, ile super rzeczy będziesz sobie mógł za to kupić*, powiedziała Jas. Dobrze, że nie zadała mi żadnego pytania, bo miałem wielką jak kosmos gulę w gardle.

Z salonu dobiegł nas dźwięk otwieranej puszki i Jas zakaszłała, by ukryć fakt, że tata pije w moje urodziny. *Chodź, zjemy sobie tort*, powiedziała i zaciągnęła mnie do kuchni. Nie mieliśmy świeczek, więc moja siostra wetknęła w biszkopt kilka swoich kadtidełek. Zacisnąłem mocno powieki i pomyślałem sobie życzenie: żeby prezent od mamy wkrótce przyszedł. Żeby była to największa paczka na świecie, taka, pod którą listonoszowi złamałyby się plecy. A potem otworzyłem oczy i zauważyłem, że Jas się do mnie uśmiecha. Poczuję się samolubnie, więc dodałem *I proszę, niech Jas przekłuje sobie pępek*, po czym wzięłem głęboki wdech. Dym rozszedł się po całej kuchni, ale nie dało się zgasić kadtidełek, więc moje życzenia i tak się nie spełniły.

Uważnie pokroiłem ciasto, bo nie chciałem go zniszczyć. Smakowało trochę jak naleśnik. *Bardzo dobre*, powiedziałem i Jas zaśmiała się. Wiedziała, że kłamię. *Tato, chcesz trochę*, zawołała, ale tata nie odpowiedział. A potem zapytała *Czujesz się starszy*, na co odparłem, że nie, bo nic się nie zmieniło. I chociaż teraz mam dwucyfrowy wiek, nadal czuję się tak samo jak miałem dziewięć lat. Jestem taki sam jak w Londynie i Jas też. I tata. Nie pojechał na budowę, chociaż w ciągu dwóch tygodni tamten facet zostawił mu pięć wiadomości na sekretarce.

Jas zaczęła skubać róg mikroskopijnego kawałka tortu i zapytała, czy chcę swój prezent. Dzwoneczki zabrzęczały, kiedy otworzyliśmy drzwi do jej pokoju. *Nie zapakowałam*, powiedziała i podała mi białą reklamówkę. W środku był blok i cudne kredki, najładniejsze, jakie widziałem. *Najpierw narysuję cię*, powiedziałem. Wytknęła język i zrobiła zeza. *Dobrze, pod warunkiem, że będę wyglądała tak*, oznajmiła.

Po obiedzie obejrzelismy Spider-Mana, który jest najlepszym filmem wszech czasów. Usiedliśmy na podłodze w pokoju Jas, zasłoniliśmy okna i owinęliśmy się kołdrą, chociaż było wczesne popołudnie. Roger zwinął się w kłębek na moich kolanach. Tak naprawdę, to mój kot, to ja się nim opiekuję. Kiedyś należał do Rose. Gdy miała siedem lat ogromnie błagała mamę o zwierzątko i mama w końcu się zgodziła. Włożyła kota do pudełka i przewiązała kokardą, a Rose otworzyła prezent i aż się rozplakała z radości.

Mama opowiadała mi tę historię chyba ze sto razy. Nie wiem, czy za każdym razem zapominała, że mi to już mówiła, czy po prostu lubi o tym opowiadać. Ale uśmiechała się, więc gryzłem się w język i pozwalałem jej dokończyć. Byłoby super, gdyby przysłała mi jakieś zwierzę na urodziny. Najlepszy byłby pająk, bo mógłby mnie ugryźć i wtedy miałbym szczególną moc, zupełnie jak Spider-Man.

Kiedy zszedłem po filmie na dół, prawie całe ciasto zniknęło. Na talerzu został tylko jeden kawałek, ale nie był takim ładnym trójkątem, jak kawałki, które ja kroilem.

Został paskudnie pokiereszowany. Wszedłem do salonu. Tata chrapał na sofie, a na podwójnym podbródku miał pełno okruszków. Na podłodze leżały trzy puste puszkę po piwie, a o poduszkę oparta była butelka wódki. Był chyba zbyt pijany i nie zorientował się, że ciasto dziwnie smakuje. Już miałem wracać na górę, gdy mój wzrok padł na kominek i na moją siostrę. Obok urny leżał kawałek ciasta i nie wiedzieć czemu, strasznie mnie to rozzłościło. Podeszedłem do Rose i chociaż wiem, że nie żyje i nie usłyszy ani słowa, szepnąłem *To moje urodziny, a nie twoje*, i wepchnąłem sobie tort do buzi.

Dwa dni później, siedziałem w ogrodzie i rysowałem złotą rybkę w stawie, starając się nie nasłuchiwać, czy idzie listonosz. Powtarzałem sobie, że prezent już nie przyjdzie, ale wystarczyło, że posłyszałem kroki przed domem i już pędziłem do środka. Na dywanik wpadło kilka listów. Nic od mamy. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi, otworzyłem je tak szybko, że listonosz aż podskoczył. Powiedział *Paczka dla Jamesa Matthews*, a ja wziąłem od niego przesyłkę drżącymi rękoma. Listonosz dodał *Podpisz tutaj*, a głos miał tak znudzony, jakby nie miał pojęcia, że właśnie dzieje się coś cudownego. Czując się jak Wayne Rooney, podpisałem się z zawijasem, jak na autograf przystało. Listonosz odwrócił się i odszedł, a ja się ucieszyłem. Przez chwilę martwiłem się, że jeśli życzenia naprawdę się spełniają, może mieć złamany kręgosłup.

Zabrałem prezent na górę, ale przez dziesięć minut go nie otwierałem. Adres był napisany na szarym papierze równymi drukowanymi literami. Przesunąłem palcem po każdej z nich, wyobrażając sobie, jak mama stara się, żeby pisać ładnie. I nagle nie byłem w stanie już dłużej zwlekać, rozerwałem papier, zgmiotłem go w kulkę i cisnąłem na podłogę. Wewnątrz znajdowało się nieopisane pudełko, które niczego nie zdradzało.

Tata powiedział mi kiedyś, że Rose uwielbiała pudełka. Robiła z nich statki kosmiczne, zamki i tunele. Wyjaśnił, że mała Rose wołała kartony od ich zawartości.

Nie jestem Rose, więc ucieszyłem się, gdy potrząsnąłem pudełkiem i w środku coś zagrzecotało. Otworzyłem paczkę. Moje serce zachowywało się jak dziki królik, jeden z tych, które widać w świetle reflektorów, kiedy jedzie się wśród pól. Najpierw zamarło, zbyt przerażone, żeby się ruszyć, a potem zerwało się gwałtownie i bardzo szybko podskoczyło. W pudełku znalazłem jakiś czerwono-niebieski materiał. Wysypałem go na łóżko z uśmiechem od ucha do ucha, jak hamak zawieszony na palmach. Materiał był miękki, z przodu miał wyszytego pajaka - wielkiego, czarnego i groźnego. Założyłem przez głowę moją nową koszulkę Spider-Mana i spojrzałem w lustro. Zniknął Jamie Matthews, na jego miejscu stał superbohater. Na jego miejscu, stał teraz Spider-Man.

Gdybym miał na sobie tę koszulkę wtedy w parku, nie wystraszyłbym się tamtych dziewczyn. Pobiegłbym za Jas, skoczyłbym na huśtawkę, lądując na jednej nodze bez najmniejszego zachwiania się, a potem huśtałbym się wyżej i szybciej niż ktokolwiek przede mną i zeskoczyłbym i poszybował w powietrzu, a te dziewczyny powiedziałyby *Wow*. A wtedy ja bym się zaśmiał bardzo głośno, o tak *HAHAHAHA-HAHAHA* i może nawet bym zaklął. Na pewno nie stałbym dziesięć metrów dalej, czerwieniąc się i trzęsąc, jak jakiś tchórz.

Na karcie widniał piłkarz w stroju Arsenalu. Mama pewnie sądziła, że to Manchester United, bo obie drużyny grają w czerwonych strojach. W środku napisała *Mojemu dużemu synkowi na dziesiąte urodziny. Życzę, by ten dzień był dla ciebie wspaiały. Mama.* A pod spodem wielkie całusy. Myślałem, że nie można się bardziej cieszyć, ale wtedy zobaczyłem dopisek. *PS. Mam nadzieję, że już bardzo niedługo zobaczę cię iv tej koszulce.*

Powtarzałem to zdanie w kółko, nadal jeszcze krąży mi po głowie, jak pies, który goni swój ogon. Siedzę na parapecie na poduszce, a Roger mruczy. On wie, że to był dobry dzień. Gwiazdy świecą jaśniej niż zwykle i przypominają setki świeczek na czarnym torcie urodzinowym. Nawet gdybym mógł je zdmuchnąć, nie miałbym innego życzenia. To był idealny dzień.

Ciekawe, czy mama kupiła już bilety na pociąg. A może Nigel ma samochód i mógłby jej pożyczyć? Chociaż nie sądzę, żeby mama chciała jechać taki kawał autostradą. Mama nie cierpi stać w korkach i dlatego w Londynie wszędzie chodzi pieszo. Jakoś tu jednak dotrze, bo przecież będzie chciała mnie zobaczyć, zanim zacznie się rok szkolny, żeby powiedzieć mi *Powodzenia* i *Bądź grzeczny* i takie tam rzeczy, które mamy zawsze mówią. No i na pewno będzie chciała zobaczyć mnie w nowej koszulce. Na wszelki wypadek do jej przyjazdu, nie będę jej zdejmował. I będę w niej spał, bo superbohaterzy nigdy nie mają wolnego. Mama może zresztą przyjechać późno, bo pociąg się spóźni albo będą zakorkowane drogi. I może to nie będzie dzisiaj ani jutro ani nawet pojutrze, ale jeśli mama napisała *Bardzo niedługo*, to znaczy to *Bardzo niedługo*. A ja będę gotowy na jej przyjazd.

Nauczycielka posadziła mnie przy jedynej muzułmance w całej szkole. Powiedziała *To jest Sunya* i popatrzyła na mnie dziwnie, kiedy nadal stałem. Oczy pani Farmer są pozbawione koloru i wydają się jaśniejsze niż szarość. Wyglądają jak telewizor, który nie odbiera sygnału i obraz jest zamazany. Pani Farmer ma pieprzyk na policzku, z którego wychodzą dwa kręcone włoski. Łatwo byłoby je wyrwać, ale może ona nie zdaje sobie sprawy z ich istnienia. Albo po prostu je lubi. *Czy coś jest nie tak*, zapytała mnie i wszyscy w klasie odwrócili się, żeby na mnie spojrzeć. Chciałem zawołać *Muzułmanie zabili mi siostrę*, jednak uznałem, że chyba nie powinienem mówić takich rzeczy zanim nie powiem *Cześć*, albo *Jestem Jamie* albo *Mam dziesięć lat*. Więc usiadłem na pełnym brzeżku, starając się nie patrzeć w kierunku Sunyi. Tata wpadłby w szal, gdyby się dowiedział. Jego zdaniem, najlepsze w całej wyprowadzce z Londynu było wyniesienie się jak najdalej od muzułmanów. *Żadnych cudzoziemców w Lake District*, powiedział. *Tylko prawdziwi Brytyjczycy pilnujący własnych spraw*. W Finsbury Park były ich tysiące. Kobiety nosiły taki materiał na głowie, zupełnie jakby przebrały się za duchy na Halloween. W pobliżu naszego mieszkania znajdował się meczet i często patrzyliśmy, jak chodzą się modlić. Bardzo chciałem zajrzeć do środka, ale tata kazał mi trzymać się od nich z daleka.

Moja nowa szkoła jest malutka. Otaczają ją góry i drzewa, a za bramą płynie strumień i na boisku słuchać jego szmer, jakby woda wpływała do wlotu w umywalce. Moja londyńska szkoła stała przy głównej drodze i wokół było słychać i czuć wyłącznie samochody.

Kiedy wyjąłem piórnik, pani Farmer powiedziała *Witaj w nowej szkole* i wszyscy zaczęli klaskać. Zapytała *Jak masz na imię*, na co odparłem *Jamie*, a wtedy zapytała *Skąd przyjechałeś* i ktoś szepnął *Z jakiejś wiochy*, a ja powiedziałem, że z Londynu. Pani Farmer stwierdziła, że chciałaby bardzo zwiedzić Londyn, jednak to za daleko, i wtedy ścisnęło mnie w żołądku, bo nagle zdałem sobie sprawę, że od mamy dzieli mnie tyle kilometrów. *Twoje wyniki ze starej szkoły jeszcze do nas nie dotarły ale może opowiesz nam coś ciekawego o sobie*, zapytała pani Farmer. Kompletnie nic nie przychodziło mi do głowy, więc pani Farmer zapytała, czy mam rodzeństwo i jakie, jednakże nawet na to pytanie nie byłem w stanie odpowiedzieć, bo nie wiedziałem, czy Rose się liczy. Wszyscy zaczęli chichotać, lecz pani Farmer ich uciszyła. *No dobrze, a masz jakieś zwierzę*, zapytała. *Mam kota, nazywa się Roger*, odparłem. Pani Farmer uśmiechnęła się i stwierdziła *Kot o imieniu Rower? Bardzo ładnie*.

Na początku mieliśmy napisać wypracowanie na dwie strony na temat *Moich cudownych wakacji letnich*, zwracając szczególną uwagę na stawianie kropek i wielkie litery. Zadanie było proste, znacznie trudniej było wymyślić coś cudownego, o czym mógłbym napisać. Oglądanie Spider--Mana oraz prezenty od mamy i Jas to jedyne miłe wydarzenia z ostatnich wakacji. Napisałem o nich, ale zajęło mi to tylko stronę i to dlatego, że pisałem naprawdę dużymi literami. A potem siedziałem, wpatrywałem się w zeszyt, żałując, że nie mogę napisać o lodach, parkach rozrywki i kąpieli w morzu.

Ostatnie pięć minut, powiedziała pani Farmer zerkając na zegarek, po czym upiła łyk kawy. *Wszyscy powinni z łatwością zapisać dwie strony, a niektórym być może udało się nawet wypełnić trzy*. Jakiś chłopiec podniósł głowę, pani Farmer mrugnęła do niego, a on aż spuchł z dumy. Pochylił się ponownie nad zeszytem tak, że nosem niemal dotykał stołu i zaczął pisać jak szalony, spod pióra wychodziły tysiące słów, opisujących jego cudowne wakacje.

Zostały trzy minuty, powiedziała pani Farmer. Moje pióro utknęło na górze drugiej strony i zrobiło kleksa, bo nie ruszyłem nim od siedmiu minut.

Zmyśl coś. Szept był tak cichy, że miałem wątpliwości, czy go sobie nie wyobraziłem. Spojrzałem na Sunyę: jej oczy migotały niczym kałuże, w których odbijają się promienie słońca. Były ciemnobrązowe, prawie czarne, a głowę miała całkowicie zakrytą białym materiałem tak, że widać było tylko jeden pojedynczy włos. Wisiał jej przy policzku, czarny, prosty i błyszczący, jak cienki pasek lukrecji. Sunya była leworęczna, a kiedy pisała, na nadgarstku brzęczało jej sześć bransoletek. *Zmyśl coś*, powtórzyła i dopiero wtedy uśmiechnęła się. Jej zęby wydawały się bardzo białe na tle brązowej skóry.

Nie wiedziałem, co zrobić. Muzułmanie zabili moją siostrę, ale nie chciałem pakować się w kłopoty w pierwszym dniu szkoły. Przewróciłem oczami, jakby rada Sunyi była nic nie warta, a potem pani Farmer krzyknęła *Ostatnie dwie minuty*, więc zacząłem pisać jak najszybciej potrafiłem, wymyślając szybko rollercoastery, wyprawy na plażę i szukanie krabów pośród skał. Opisałem, jak mama pękała ze śmiechu, kiedy mewy próbowały zjeść jej rybę i frytki, a tata zbudował dla mnie największy zamek z piasku na całym świecie. Napisałem, że był tak wielki, że cała nasza rodzina mieściła się w środku, jednak skreśliłem to, bo brzmiało nieprawdziwie. Napisałem, że Jas doznała poparzenia słonecznego, a Rose ładnie się opaliła. Zawiesiłem pióro na ułamek sekundy, a potem napisałem ostatni kawałek, bo chociaż wszystko było nieprawdą, to końcówka stanowiła największe kłamstwo. A gdy pani Farmer ogłosiła, że zostało już tylko sześćdziesiąt sekund, moje pióro popędziło dalej i zanim się obejrzałem, miałem już cały akapit na temat Rose.

Pani Farmer zawołała *Koniec*, a potem zapytała *Kto chciałby przeczytać klasie o swoich wakacjach* i ręka Sunyi wystrzeliła w powietrze, a jej bransoletki zabrzęczały jak dzwoneczki na drzwiach sklepu. Pani Farmer wybrała ją, chłopca o napuchniętej od dumy twarzy i jeszcze dwie dziewczynki, a potem mnie, chociaż wcale się nie zgłaszałem. Chciałem powiedzieć *Nie, dziękuję*, ale słowa utknęły mi gdzieś w okolicy migdałków. Kiedy się nie ruszyłem, powiedziała *No chodź, James*, raczej rozniewanym tonem, więc wstałem i stanąłem na środku klasy. Buty mi ciążyły na nogach, a ktoś wskazał palcem plamę na mojej koszulce ze Spider-Manem. Dzięki płatkom Choco mleko robi się czekoladowe, jednak przy rozlaniu wszystko bardzo się brudzi.

Chłopak czytał jako pierwszy, a jego wypracowanie ciągnęło się i ciągnęło. *Ile to było stron, Danielu* zapytała pani Farmer, a on odparł *Trzy i pół* i oczy mu niemal wyszły z orbit, tak był napuchnięty z dumy. Potem niejaka Aleksandra i jej koleżanka Maisie opisały swoje wakacje, pełne przyjęć, nowych szczeniaków i wycieczek do Paryża. A potem przyszła kolej na Sunyę.

Odchrząknęła, a jej oczy zwęziły się tak, że przypominały błyszczące szparki. *To powinny być cudowne wakacje*, przeczytała, zawiesiła dramatycznie głos i rozejrzała się po klasie. Gdzieś na zewnątrz przejechała z łoskotem ciężarówka. *Na stronie internetowej hotel prezentował się cudownie. Był położony w pięknym lesie, w promieniu kilku kilometrów nie istniały żadne inne budynki. Idealne miejsce do odpoczynku*, powiedziała mama. *Jakże się myliła*. W tym miejscu Daniel przewrócił oczami. *Pierwszej nocy nie mogłam spać, bo rozszalała się burza. Słyszałam stukanie w szybę, ale sądziłam, że to tylko gałąź, smagana wiatrem. Jednak nawet gdy wiatr ustał, stukanie nie ucichło. Wstałam i odsunęłam zasłonę*. Sunya wrzasnęła nagle ile sił w płucach i pani Farmer mało nie spadła z krzesła. A potem czytała dalej, jak najszybciej potrafiła. *To nie była gałąź, w szybę pukała martwa ręka, a potem pojawiła się twarz, bezzębna, otoczona cherlawymi włosami i powiedziała wpuść mnie dziewczynko, wpuść mnie do środka. Tak więc...*

Pani Farmer wstała, trzymając się za serce. *Jak zwykle niezwykle rozrywkowa opowieść, Sunyo. Bardzo dziękujemy*. Sunya była chyba zła, że nie mogła doczytać do końca. A potem przyszła kolej na mnie. Przebrnąłem pospiesznie przez tekst, mamrocząc pod nosem fragment o Rose. Miałem wyrzuty sumienia, że opisałem wszystkim, jak świetnie bawi się na plaży, kiedy w rzeczywistości stała w urnie na kominku. *Ile lat mają twoje siostry*, zapytała pani Farmer. *Piętnaście*, odparłem. *Ach, więc to bliźniaczki*, stwierdziła, jak gdyby była to najbardziej oczywista rzecz pod słońcem. Skinąłem głową, więc dodała *To wspaniale*. Moja twarz przybrała kolor różowego markera. Sunya przypatrywała mi się zbyt długo, wiedziałem, że próbuje odgadnąć, którą część opowieści zmyśliłem i to mnie wkurzało, więc rzuciłem jej spojrzenie pełne złości. Wcale się nie zawstydzila, uśmiechnęła się tym swoim szerokim, białym uśmiechem i mrugnęła, jakby to był nasz wspólny sekret.

Cudownie, powiedziała pani Farmer. *Jesteśmy wszyscy krok bliżej do nieba*. Daniel rozpromienił się, ale dla mnie to było idiotyczne. Nasze wypracowania nie były złe, mimo to nie sądzę, żeby zaimponowały Jezusowi. Jednak pani Farmer pochyliła się nad biurkiem i po raz pierwszy zwróciłem uwagę na gazetkę. Na ścianie wisiało piętnaście puszystych chmur, idących z dołu do góry. W prawym górnym narożniku widniał napis NIEBO, a litery zostały wycięte ze złotego bristolu. W dolnym lewym rogu znajdowało się trzydzieści aniołów, każdy miał własną parę wielkich, srebrzystych skrzydeł. Prawe skrzydła aniołów były podpisane imionami uczniów z naszej klasy. Anioły wyglądałyby bardzo pobożnie, gdyby nie to, że w głowy wbito im szpilki. Pani Farmer przesunęła pulchną dłoń mojego anioła na pierwszą chmurę, potem zrobiła to samo z aniołami Aleksandry i Maisie, ale anioł Daniela powędrował wyżej i osiadł na drugim obłoku.

W czasie dużej przerwy, próbowałem się z kimś zaprzyjaźnić. Nie chcę, żeby znowu było tak jak w Londynie. W starej szkole nazywano mnie *Babą*, bo lubię plastykę, *Bystrzakiem*, bo jestem mądry i *Dziwakiem*, bo jest mi trudno odezwać się do kogoś, kogo nie znam. Jas powiedziała dzisiaj rano *To ważne, żebyś tym razem znalazł sobie przyjaciół* i zrobiła to w taki sposób, że poczułem się źle, jakby wiedziała, że w Londynie długie przerwy spędzałem raczej w bibliotece niż na boisku. Przeszedłem się dookoła, żeby znaleźć kogoś, z kim mógłbym porozmawiać, ale tylko Sunya stała sama.

Wszystkie pozostałe dzieciaki zebrały się razem na trawniku. Dziewczyny plotły wianki ze stokrotek, a chłopaki kopali piłkę. Najbardziej na świecie miałbym ochotę pokopać z nimi, ale nie ośmieliłem się zapytać, czy mogę się przyłączyć. Położyłem się tylko obok, udając że się opalam, z nadzieją, że któryś z nich mnie zawoła. Zamknąłem oczy, wsłuchując się w szmer strumyka, śmiech chłopaków i piski dziewczyn, kiedy piłka poleciała za blisko.

W pewnej chwili pomyślałem, że chmura przesłoniła słońce, bo nagle znalazłem się w cieniu. Popatrzyłem do góry i zobaczyłem tylko parę błyszczących oczu, ciemnobrązową skórę i pojedynczego włosa, powiewającego delikatnie na wietrze. *Idź sobie*, powiedziałem, na co Sunya odparła *Jesteś uroczy*, po czym usiadła obok mnie i uśmiechnęła się szeroko. *Czego chcesz*, zapytałem. *Pogadać ze Spider-Manem*, powiedziała i otworzyła dłoń, która okazała się zaskakująco różowa. W środku miała pierścionek zrobiony z masy Blu-Tack.

Ja też taka jestem, szepnęła, rozglądając się dookoła, by sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje. Miałem ochotę ją zignorować, lecz zaintrygowała mnie, więc zapytałem *Ale jaka jesteś*, a potem celowo ziewnąłem, żeby nie wyglądało, że obchodzi mnie, co odpowie. *Czy to nie oczywiste*, odparła i pokazała na materiał owinięty wokół głowy i ramion. Gwałtownie się podniosłem. Chyba miałem otwarte usta, bo wleciała mi do buzi mucha i usiadła na języku. Zacząłem kaszleć i pluć, a Sunya się roześmiała. *Jesteśmy tacy sami* powiedziała, a wtedy krzyknąłem *Nie jesteśmy*. Daniel odwrócił się i popatrzył na mnie. *Weź to*, uśmiechnęła się i podała mi pierścionek. Opadłem na kolana i pokręciłem głową. To musiała być najwidoczniej jakaś muzułmańska tradycja, chociaż nikt nie wspominał o dawaniu i przyjmowaniu pierścionków z masy Blu-Tack, kiedy przerabialiśmy w szkole ramadan. *No dalej*, powiedziała, ruszając środkowym palcem prawej ręki. Miała na nim cienki niebieski pasek, z małym brązowym kamyczkiem przyklejonym na górze niczym diament. *Magia nie zadziała, dopóki ty też nie będziesz go nosił*, na co odparłem *Moja siostra zginęła, rozszarpana przez bombę*, po czym podniosłem się niezdarnie i uciekłem.

Na szczęście przerwa obiadowa dobiegła końca i wszyscy popędzili z powrotem do klasy. Ledwo usiadłem na krześle, poczułem, że mózg mi się obija o czaszkę i zachciało mi się pić. Moje dłonie zostawiły na stole ślady od potu. Na korytarzu słychać było śmiech wracającej na lekcję bandy. Wszyscy, co do jednego - w tym chłopcy - mieli na nadgarstkach wianki ze stokrotek. I chociaż wyglądali idiotycznie, żalowałem, że i ja nie mam takiej kwiatowej bransoletki. Sunya weszła do klasy jako ostatnia, ale ona także nie miała nic na ręce. Uśmiechnęła się na mój widok i zatrzepotała mi dłonią przed oczami, a na jej środkowym palcu zamigotał pierścionek z Blu-Tacku. Najpierw mieliśmy matmę, a potem geografę. Ani razu nie popatrzyłem na Sinyę, chociaż i tak czułem się zagubiony i zestresowany, jakbym zawiódł tatę. Chociaż mam białą cerę, posługuję się językiem angielskim i uważam, że zabijanie cudzych siostr w zamachach bombowych jest złem, najwyraźniej musiałem zrobić coś, po czym Sunya uznała, że pragnę muzułmańskiej biżuterii.

Nauczycielka kazała nam się spakować, więc podszedłem do mojej szuflady, żeby schować podręcznik geografii. Szuflada jest podpisana *James Matthews*, a obok mojego nazwiska widnieje obrazek lwa. Na jego widok pomyślałem od razu o srebrnym lwie na

niebie. Otworzyłem szufladę i pod książką do angielskiego zauważyłem coś małego i białego. Płatki. Podniosłem głowę i mój wzrok padł na uśmiechniętego Daniela. Skinął głową, zachęcając mnie, żebym zajrzał głębiej. Przesunąłem na bok podręcznik i serce mało mi wyskoczyło z piersi. Wianek ze stokrotek. Daniel uniósł kciuki. Ręce mi zadrżały, kiedy go dotykałem, i nagle poczułem nieprzemogłą chęć, by pobiec do domu i powiedzieć Jas o pierwszym dniu w nowej szkole. Obok mnie pojawiła się Sunya i popatrzyła dziwnym wzrokiem na bransoletkę. Zazdrosna. Podniosłem ostrożnie wianek, chcąc go sobie założyć na rękę, a wtedy rozpadł mi się między palcami. Daniel wybuchnął śmiechem. Serce wskoczyło mi z powrotem do klatki piersiowej, a z wielkiej, czarnej dziury, która w ten sposób powstała, na podłogę klasy wyciekło ze mnie całe szczęście. To wcale nie była bransoletka, tylko kupka zgniecionych stokrotek. A Sunya nie była zazdrosna, tylko wściekła. Wbijała w Daniela rozgniewany wzrok, przeszywając go ostrym jak pęknięte szkło spojrzeniem swoich mądrych oczu.

Daniel poklepał po ramieniu chłopaka o imieniu Ryan i szepnął mu coś do ucha. Obaj zaśmiali się w moją stronę i unieśli wysoko kciuki. Zarechotali pogardliwie i wyszli z klasy. Żałowałem, że srebrny lew z nieba nie może rzucić się na ziemię i odgryźć im głów.

Ten pierścionek cię ochroni, odezwała się nagle Sunya cichym głosem, a ja podskoczyłem do góry, chyba na tysiąc metrów. Tylko my dwoje zostaliśmy w klasie. *Na tym polega jego magia. Nie potrzebuję ochrony*, odparłem, na co ona się zaśmiała. *Nawet Spider-Man potrzebuje czasem odrobiny pomocy*. Słońce przeświecało przez okno, odbijając się od chusty przykrywającej włosy Sunyi i przez głowę przeleciała mi szybko myśl o tak czystych rzeczach, jak anioły, aureole, Jezus i biały lukier. A potem zobaczyłem przed oczami obraz taty i tamte myśli zniknęły. Wyobraziłem sobie jego zaciśnięte usta i zmrużone oczy, kiedy mówi *Muzułmanie zatruwają nasz kraj jak paskudna choroba*, co nie jest do końca prawdą. Nie są przecież zaraźliwi, nie wywołują czerwonych krost jak przy ospie i o ile się orientuję, nie zwiększają nawet nikomu gorączki.

Cofnąłem się o krok, a potem o kolejny i wpadłem na krzesło, bo wzrok miałem cały czas utkwiony w twarzy dziewczyny. Chwyciłem za klamkę, a ona powiedziała *Czyżbyś nie rozumiał*, powiedziałem, że nie. Zamilkła i już się wystraszyłem, że to koniec rozmowy. Westchnąłem, jakby była najnudniejszą osobą na całym świecie i odwróciłem się, żeby odejść. A wtedy ona rzuciła *To powinieneś zrozumieć, bo jesteśmy tacy sami*. Zatrzymałem się i powiedziałem wyraźnie *Nie jestem muzułmaninem*. Śmiech Sunyi zadźwięczał tak samo donośnie jak jej bransoletki, a moje oczy powiększyły się do rozmiaru kul bilardowych, bo powiedziała *Nie, ale jesteś super bohaterem*. Odwróciłem gwałtownie głowę, a Sunya pokazała swoim ciemnym palcem na materiał, który okalał jej głowę i opadał na plecy. *Spider--Manie ja jestem GirlM*. A potem podeszła bliżej, dotknęła mojej ręki i zanim zdołałem ją wyrwać, uciekła. Zaschło mi w gardle i oczy miałem wielkie jak spodki, gdy tak stałem i patrzyłem, jak biegnie korytarzem. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że powiewająca wokół niej chusta przypomina dokładnie pelerynę superbohaterki.

Dzisiaj mija piąta rocznica tamtego dnia.

W telewizji o niczym innym nie mówią, tylko leci program za programem o dziewiątym wrześniu. Jest piątek, normalny dzień szkolny, nie mogliśmy więc pojechać nad morze. Wydaje mi się, że zrobimy to jutro. Tata nic nie powiedział, ale widziałem, że oglądał w internecie St. Bees, czyli najbliższą plażę, a wczoraj wieczorem pogłaskał urnę, jakby się żegnał.

Pewnie i tak nic z tego nie wyjdzie, więc póki co ja nie zamierzam się żegnać. Zrobię to, jeśli faktycznie tata wysypie do morza prochy Rose. Dwa lata temu nakłonił mnie, żebym dotknął urny i szepnął ostatnie słowa, a ja poczułem się jak krety, bo wiedziałem, że Rose mnie nie słyszy. A już w ogóle czułem się jak ostatni idiota, kiedy następnego dnia moja siostra znów stanęła na kominku i całe moje pożegnanie okazało się bezcelowe.

Jas nie poszła do szkoły, bo czuła się zbyt zestresowana. Czasami zapominam, że Rose była jej bliźniaczką i że spędziły razem dziesięć lat, czy raczej dziesięć lat i dziewięć miesięcy, jeśli policzyć czas w macicy. Zastanawia mnie, czy w brzuchu mamy patrzyły na siebie. Mogę się założyć, że Jas podglądała Rose, bo jest naprawdę ciekawska. Któregoś dnia przyłapałem ją w moim pokoju, jak grzebie mi w plecaku szkolnym. *Tylko sprawdzam, czy odrobiłaś lekcje, powiedziała.* Kiedyś robiła to mama.

Musiało być im ciasno, dwa niemowlaki w brzuchu mamy. Pewnie dlatego później nie trzymały się aż tak mocno ze sobą. Jas powiedziała mi, że Rose lubiła rządzić i zawsze musiała znajdować się w centrum uwagi, a jeśli coś nie szło po jej myśli, zaczynała płakać. *Cieszę się, że to ona zginęła, a nie ty,* stwierdziłem, uśmiechając się dobrodusznie. Moja siostra skrzywiła się. *To znaczy, skoro już jedna z was musiała umrzeć.* Zadrżała jej dolna warga. *Czy nie jest ci chociaż trochę przyjemnie bez Rose,* zapytałem, teraz już zły. W końcu to Jas uważała Rose za nieznośną dziewczynę, a nie ja. Od razu pomyślałem o Piotrusiu Panu. Jego cień o wiele lepiej się bawił w pokoju Wendy, kiedy Piotrusia tam nie było. Chciałem wytłumaczyć to wszystko Jas, ale rozplakała się tak mocno, że dałem jej chusteczkę i włączyłem telewizor.

Jadłem rano płatki Coco Pops, gdy Jas zapytała, czy ja też chcę sobie zrobić wolne od szkoły. Pokręciłem przecząco głową. *Jesteś pewien,* zapytała, patrząc na horoskop na laptopie. *Nie musisz iść, jeśli jesteś smutny,* dodała, a ja chwyciłem kanapki, które przygotowała mi na drugie śniadanie. *Dzisiaj mamy plastykę, to mój ulubiony przedmiot,* wyjaśniłem. *A poza tym teraz kolej naszego rocznika na sklepik szkolny,* rzuciłem i popędziłem do góry po dwadzieścia funtów od babci.

Na pierwszej lekcji nauczycielka odmówiła modlitwę za wszystkie rodziny dotknięte tragedią z dziewiątego września. Czułem się, jakbym stał w świetle jupiterów. W Londynie nienawidziłem tej rocznicy, bo cała szkoła wiedziała, co się wydarzyło. Przez cały rok nikt się do mnie nie odzywał, a akurat tego dnia wszyscy chcieli być moimi przyjaciółmi. Powtarzali *Pewnie tęsknisz za Rose* albo *Na pewno brakuje ci Rose,* a ja musiałem potakiwać i robić smutną minę. Tutaj nikt nie ma o niczym pojęcia, więc nie

muszę udawać i wolę, żeby tak zostało.

Powiedzieliśmy *Amen*, a ja podniosłem wzrok. Przez ułamek sekundy sądziłem, że tym razem mi się upiekło, ale w tej samej chwili poczułem na sobie czyjeś spojrzenie. Sunya siedziała ze skrzyżowanymi nogami, podpierała brodę lewą ręką, przygryzała koniuszek małego palca i patrzyła na mnie. Nagle przypomniałem sobie, że powiedziałem *Moja siostra zginęła, rozszarpana przez bombę*, a po wzroku Sunyi poznałem, że ona też pamięta moje słowa.

Nie odezwałem się do niej ani razu od czasu, gdy przyznała się, że jest superbohaterką. Miałem ochotę ją o to zapytać, jednak za każdym razem, kiedy otwierałem usta, przychodził mi na myśl tata i gryzłem się w język. Gdyby wiedział, że chcę porozmawiać z muzułmanką, wyrzuciłby mnie z domu i nie miałbym gdzie się podziać, bo mama mieszka z Nigelem. Minęły już dwa tygodnie od czasu, kiedy przysłała prezent i jeszcze nie przyjechała. Koszulka ze Spider-Manem robi się brudna, ale nie mogę przestać jej nosić, bo to by oznaczało, że przestaję wierzyć w przyjazd mamy. Zresztą, to nie mamy wina, że nie może wyrwać się z Londynu. To wina pana Walkera, który jest jej szefem w szkole plastycznej i najbardziej paskudnym człowiekiem na świecie, jakiego znam, bardziej nawet paskudnym niż Zielony Goblin ze Spider-Mana. Kiedyś nie puścił mamy na ślub koleżanki, chociaż naprawdę ładnie go poprosiła. A innym razem nie dał jej wolnego na pogrzeb pani Best. Mama powiedziała, że wcale jej to nie martwi, bo pani Best była starą, wścibską wiedźmą, a mimo to kupiła sobie czarną sukienkę od Nexta, której nie mogła potem zwrócić, bo Roger zjadł paragon.

W jednym z programów dokumentalnych widziałem kogoś, kto opowiada o swojej siostrzenicy, która zginęła dziewiątego września. Ten człowiek nie był w stanie wypowiedzieć czterech słów, żeby nie wybuchnąć przy tym płaczem. Dziennikarze wydzwaniali ciągle do moich rodziców, ale oni nie udzielali żadnych wywiadów. Ja bym nie protestował, gdyby ktoś chciał nakręcić o mnie film i zadać mi parę pytań, chociaż nie pamiętam zbyt wiele z tamtego dnia - tylko wielki huk i straszny płacz.

Wydaje mi się, że tata winił mamę za to, co się stało i to dlatego zaczęli się nienawidzić. Przestali w ogóle ze sobą rozmawiać. Było to dla mnie całkowicie naturalne, dopóki nie odwiedziłem Luke'a Branstona w czasie tych czterech dni, kiedy się przyjaźniliśmy. Jego rodzice trzymali się za ręce, rozmawiali, śmiali się. Moi rodzice mówili tylko same praktyczne rzeczy, jak *Podaj sól*, *Nakarmiłaś Rogera* albo *Zdejmij te cholerne buty, właśnie odkurzyłam mieszkanie*.

Jas pamięta jak było wcześniej i dlatego to milczenie ją smuciło. Mnie nie, bo nie wiedziałem, że może być inaczej. Kiedyś, w jakieś Boże Narodzenie, okropnie się pokłóciliśmy nad Scrabble'ami. Walnąłem ją w głowę planszą, a ona próbowała wrzucić mi litery za sweter. Rodzice nawet nas nie rozdzielili. Siedzieli tylko w salonie i wpatrywali się w przeciwne strony, chociaż Jas pokazywała im guza na czole. *Jesteśmy niewidzialni*, powiedziała później, próbując wyjąć mi Q spod swetra. Żałowałem, że tak faktycznie nie jest. Gdybym mógł sobie wybrać jakąś super umiejętność, to niewidzialność byłaby chyba na samej górze listy, wyżej nawet od latania. *Zupełnie jakbyśmy i my byli martwi*, dodała, wydostając mi T z rękawa.

Gdy to się stało, byliśmy na Trafalgar Square. Pójście na plac było pomysłem mamy.

Tata miał ochotę na piknik w parku, ale mama chciała obejrzeć wystawę w centrum. Tata uwielbia tereny zielone, bo wychował się na szkockich wyżynach. Przeprowadził się do Londynu dopiero, kiedy poznał mamę. *Zycie jest cokolwiek warte tylko wtedy, jeśli mieszka się w stolicy*, oświadczyła kiedyś, a ja od razu wyobraziłem sobie jak siedzi na wielkim L w słowie Londyn.

Jas powiedziała mi, że dzień zaczął się miło. Świeciło słońce, chociaż było chłodno i oddech zmieniał się w parę, przypominającą dym z papierosa. Rzucałem okruchy chleba na ziemię i wybuchałem śmiechem, gdy gołębie próbowały je przechwycić. Jas i Rose biegały pomiędzy gołębiami, aż ptaki porywały się w górę, mama śmiała się, a tata mówił *Niech one przestana. Przecież nie robią nic złego*, powiedziała mama, jednak Jas podbiegła do taty, bo nie lubiła, kiedy rodzice się na nią gniewają. Rose była inna. Była niegrzeczna, a zdaniem Jas, w szkole zachowywała się nieznośnie, tylko teraz, kiedy jest martwa i idealna, nikt już o tym nie pamięta. Jas chwyciła tatę za rękę, a on krzyknął *Rose, wracaj tu szybko*, a mama odparła *Och, daj jej spokój* i zaśmiała się, bo Rose zaczęła okręcać się w miejscu, odchylając głowę do tyłu. Ptaki kłębiły się dookoła niej, mama zawołała *Szybciej się okręcaj* i wtedy rozległ się huk i Rose została rozerwana na strzępy.

Jas powiedziała, że świat pociemniał, tyle było dymu i w uszach czuła coś dziwnego, bo wybuch był niezwykle głośny. Ale chociaż pękł jej bębenek i tak słyszała, jak tata wrzeszczy *Rose Rose Rose*.

Później okazało się, że był to atak terrorystyczny. Bomby zostały rozmieszczone w piętnastu koszach na śmieci w całym Londynie i ustawione tak, żeby wybuchły dziewiątego września o dokładnie tej samej porze. Trzy nie zadziałały, więc wybuchło tylko dwanaście koszy, lecz to wystarczyło, żeby zabić sześćdziesiąt dwie osoby. Rose była najmłodszą z ofiar. Nikt nie wiedział, kto jest sprawcą zamachu, dopóki organizacja muzułmańska nie przyznała w internecie, że to oni przeprowadzili atak w imię Allaha, co jest muzułmańskim określeniem Boga i prawie rymuje się ze słowem, które powtarzałem bardzo często, gdy miałem siedem i pół roku i chciałem zostać magikiem. *Voilà*. W telewizji to wszystko wyglądało jak film. Program był rekonstrukcją wybuchów z dziewiątego września. Nie było tam Rose, bo mama i tata nie wyrazili zgody, ale i tak ciekawie było dowiedzieć się, co się wydarzyło w innych częściach miasta. Jednego pana, który wtedy zginął, nie powinno w ogóle być wtedy w Londynie. Jego pociąg z Euston Station do Manchester Piccadilly został odwołany z powodu awarii sygnalizacji. Zamiast poczekać na następny, postanowił zwiedzić Covent Garden. Był głodny, więc kupił sobie kanapkę i właśnie wyrzucał opakowanie do kosza, kiedy zginął. Gdyby sygnalizacja się nie zepsuła, albo gdyby nie kupił kanapki, czy chociaż zjadł ją kilka sekund wcześniej lub później, być może nie wrzucałby folii do kosza w tej samej chwili, w której wybuchła bomba. Wtedy zrozumiałem jedno. Gdybyśmy nie poszli wtedy na Trafalgar Square, gdyby nie istniały gołębie, albo Rose była grzeczną, a nie nieposłuszną dziewczynką, być może nadal by żyła, a moja rodzina byłaby szczęśliwa.

Dziwnie mi się zrobiło i przełączyłem kanał. Nigdzie nie było nic ciekawego, same reklamy. Jas weszła do pokoju ze zwieszonymi ramionami i powiedziała *Tata zasnął*. W jej głosie słysząc było ulgę, ale ja czułem się źle. W ogóle jej nie

pomogłem, tylko włączyłem telewizor najgłośniej jak się dało, żeby nie słyszeć wymiocin chlustających do ubikacji. *Jutro będzie czuł się lepiej*, powiedziała Jas, a ja odparłem *Chcę pobawić się w odgadywanie reklam*. Sam wymyśliłem tę zabawę, trzeba wykrzyknąć nazwę reklamowanego produktu, zanim jeszcze wypowiedzą ją w telewizji. Jas zgodziła się, tylko wtedy pojawiła się reklama, której jeszcze nigdy nie widzieliśmy i nie mogliśmy się w to bawić. Na ekranie widać było wielką scenę i jakiś pan powiedział *Nowy program telewizyjny, Największy Brytyjski Talent, spełni wasze najskrytsze marzenia. Dzwońcie pod podany numer, by odmienić całkowicie swoje życie*. Pomyślałem sobie, że fajnie byłoby móc chwycić za słuchawkę jak ktoś dorosły i zamówić sobie nowe życie tak, jakby to była pizza czy coś w tym stylu. Poprosiłbym o tatę, który nie pije i mamę, która nie odeszła, ale Jas nie zmieniałbym ani trochę.

Nie możesz założyć tego jutro, Jas pokazała brodą na moją koszulkę. *Rozsypujemy prochy Rose i tata chce, żebyśmy ubrali się na czarno*. Wtedy zawołałem *Coco Pops*, bo w telewizji pokazała się właśnie reklama płatków.

Musiałem urosnąć od czasu wyjazdu z Londynu, bo wszystkie moje ubrania zrobiły się za małe. Założyłem czarne spodnie i koszulkę ze Spider--Manem, a na to czarny sweter, a i tak przy szyi wystawało trochę niebieskiego i czerwonego. Na mój widok Jas przewróciła oczami, jednak tata niczego nie zauważył. Wpatrywał się tylko w urnę, którą postawił na czas śniadania na stole w kuchni. Wyglądała jak olbrzymia solniczka, chociaż nie sądzę, żeby Rose smakowała dobrze na frytkach.

Dojazd do St. Bees zabrał nam dwie godziny, a po drodze słuchaliśmy tego samego nagrania, co zawsze w każdą rocznicę. W kółko Macieju jedna piosenka. Play. Stop. Cofnij. Play. Stop. Cofnij. Taśma już jest zniszczona, ale nadal słychać, jak mama gra na pianinie, a moje siostry śpiewają „The Courage to Fly”. *Your smile lifts my soul into the sky Your strength gives me the courage to fly. A kite, I soar so grounded yet free. Your love brings out the best in me.*¹ Nagrały to na urodziny taty, jakieś trzy miesiące przed śmiercią Rose.

Perfekcyjnie, powiedział tata zduszonym głosem po solówce Rose. *Anielski głos*. Każdy, kto ma uszy, dobrze wie, że Jas śpiewała lepiej. Powiedziałem jej to, kiedy siedzieliśmy w aucie. Nie miałem z tym problemu, tkwiliśmy ściśnięci z tyłu, bo przednie siedzenie zajmowała Rose. Tata nawet przypiął urnę pasem, tylko zapomniał przypomnieć mi, żebym też to zrobił.

Zjechaliśmy z autostrady, w dół zjechała i nagle otworzył się przed nami widok na morze, niebieską linię, tak błyszczącą i prostą, jakby ktoś narysował ją od linijki za pomocą brokatu. Im bliżej podjeżdżaliśmy, tym pasek morza stawał się coraz większy, a tatę chyba cisnął pas, bo odsuwał go od siebie, jakby utrudniał mu oddychanie. Kiedy zatrzymaliśmy się na parkingu, tata zaczął szarpać kołnierzyk koszuli i wtedy urwał mu się guzik i uderzył dokładnie w sam środek kierownicy. *Strzał w dziesiątkę*, zawołałem, ale nikt się nie zaśmiał. Stukot palców taty na desce rozdzielczej brzmiał jak tętent galopujących koni.

Zastanawiałem się właśnie, czy na plaży będą osły, kiedy Jas otworzyła drzwiczki. Tata podskoczył na fotelu. Jas podeszła do parkomatu i wrzuciła kilka monet. Zanim

wydrukował się bilet, tata zdążył już wysiąść i stał na parkingu, przyciskając do siebie urnę. *Pospiesz się*, powiedział, więc odpiąłem pas i wysiadłem. St. Bees pachniało rybą z frytkami i od razu zaczęło mi burczeć w brzuchu.

Ruszyliśmy po kamykach w stronę brzegu, a ja dojrzałem pięć świetnych kamieni do puszczenia kaczek. Były płaskie i na pewno doskonale odbijałyby się od powierzchni wody, o ile puściłoby się je w odpowiedni sposób. Kiedyś Jas mnie tego nauczyła. Miałem ochotę podnieść kamyki i puścić

¹ Twój uśmiech unosi moją duszę do nieba. Twoja siła daje mi odwagę, by latać. Jak latawiec, unoszę się wysoko, zaczepiony na ziemi, a jednak wolny. Twoja miłość wydobywa ze mnie to, co najlepsze.

kaczki, ale bałem się, że tata wpadnie w szal. Poślizgnął się na wodorostach i o mały włos przewróciłby się na plażę, a to byłoby straszne. Prochy Rose są tak drobne jak ziarnka piasku, więc wszystko by się pomieszało. Nie powinienem tego wiedzieć, jednak kiedy miałem osiem lat, zajrzałem do środka. Wcale nie było to takie fajne. Wyobrażałem sobie, że prochy są kolorowe, beżowe od skóry, białe od kości. Nie sądziłem, że wyglądają tak nudno.

Wiał wiatr i fale uderzały w brzeg z wielką siłą, a potem znikwały w pianie, jak wstrząśnięta zbyt mocno Cola. Miałem ochotę zdjąć buty i brodzić w wodzie, ale uznałem, że to nie będzie wskazane. Tata zaczął swoje pożegnanie. Powtórzył ten sam tekst, który mówił w zeszłym roku i jeszcze rok wcześniej. O tym, że nigdy o niej nie zapomni. Ze przywróci jej wolność. Kątem oka dostrzegłem, jak w powietrzu szybuje coś pomarańczowo-zielonego. Podniosłem wzrok, mrużąc oczy w promieniach słońca i zobaczyłem, jak latawiec przemyka obok chmur, przekształcając wiatr w coś cudownego.

Powiedz coś, poprosiła Jas. Pochyliłem głowę. Tata na mnie patrzył, a ja nie miałem pojęcia, jak długo już czeka, aż się odezwę. Położyłem dłoń na urnie, zrobiłem bardzo poważną minę, po czym powiedziałem *Zegnaj Rose i Byłaś dobrą siostrą*, co jest wierutnym kłamstwem i jeszcze *Będę za tobą tęsknił*, co jest jeszcze większym kłamstwem. Nie mogłem się doczekać, kiedy się jej pozbedziemy.

Tata nawet otworzył urnę. Podczas poprzednich rocznic nigdy nie dotarł aż tak daleko. Jas przełknęła ciężko ślinę, a ja wstrzymałem oddech. Wszystko dookoła zniknęło, zostały tylko palce taty, prochy Rose oraz równiutki romb, szybujący po niebie. Zauważyłem głębokie przecięcie na palcu taty i zacząłem się zastanawiać, co sobie zrobił i czy to bolało. Próbował wsunąć palce do urny, ale były za duże. Zamrugał kilka razy i zacisnął szczękę. Ręka mu zadrżała, gdy ją rozpostarł. Wydawała się sucha, jak dłoń staruszka. Przechylił urnę, a po chwili zmienił zdanie. Przechylił ją jeszcze raz, tym razem nawet mocniej, a góra urny dotknęła jego dłoni. Kilka szarych drobinek wydostało się na zewnątrz. Tata gwałtownie wyprostował urnę, dysząc przy tym ciężko. Wpatrywałem się w prochy na jego dłoni, zastanawiając się, czego to były fragmenty. Czaszki. Dużego palca u nogi. Żeber. To mogła być jakakolwiek część Rose. Tata dotknął ich delikatnie kciukiem, szepcząc pod nosem coś, czego nie usłyszałem.

A potem zacisnął palce wokół prochów tak mocno, że aż mu zbiełały kostki. Popatrzył w górę, na niebo, a potem w dół, na plażę. Odwrócił się w moją stronę, po czym popatrzył na Jas. Zupełnie jakby czekał tylko, aż ktoś krzyknie *NIERÓB TEGO*,

jednak żadne z nas się nie odezwało. Już myślałem, że tata otworzy dłoń i pozwoli prochom popłynąć z wiatrem, ale on oddał urnę Jas, a sam zrobił krok do przodu. Morze oblało mu buty, a ja poczułem, że się czerwienię. Tata wyglądał jak szaleniec. Nawet Jas odchrząknęła z zakłopotaniem. Fala rozbiła się o jego łydki, mocząc mu dzinsy. Zrobił kolejny krok do przodu, a wtedy woda zawirowała mu wokół kolan. Powoli uniósł rękę w powietrze i wyciągnął zwiniętą w pięść dłoń. Gdzieś za nami jakaś dziewczynka krzyknęła z radości, bo jej latawiec poszybował do góry.

W chwili, w której tata rozpostarł palce, zerwał się silny poryw wiatru, zdmuchnął latawiec z nieba i cisnął prochy prosto w twarz taty. Tata kichnął, zrzucając z siebie Rose, dziewczynka krzyknęła, a mężczyzna o wyraźnie obcym akcencie zawołał *Spada*. Tata gwałtownie odwrócił głowę w stronę plaży. Popatrzyłem w ślad za jego wzrokiem i zobaczyłem jak duża brązowa ręka próbuje zapanować nad sznurkiem od latawca.

Tata zaklął głośno, potrząsając głową. Latawiec uderzył o ziemię, a mężczyzna zaśmiał się. Objął dziewczynkę ramieniem i ona też zaczęła chichotać. Tata wyszedł z wody i wyrwał urnę z rąk Jas. Chociaż zakryła ją wcześniej wieczkiem, docisnął je mocno, patrząc na tego mężczyznę z taką złością, jakby to była jego wina, że zerwał się wiatr.

Wszystko w porządku, zapytała Jas szeptem. Na widok łez wzbierających się w oczach taty, pomyślałem od razu o kroplach, które kupuje się w aptece przy przeziębieniu, katarze siennym, albo kiedy się jadło za mało marchewek.

Czy chciałbyś, żebym - to znaczy jeśli chcesz, jak mogę... Ja mogłabym rozsypać...

Ale zanim zdołała dokończyć, tata odwrócił się. Bez słowa ruszył z powrotem do samochodu, ściskając pod lewą pachą urnę. Szybko podniosłem płaski kamień i rzuciłem na powierzchnię wody. Odbił się pięć razy, to był mój absolutny rekord.

W poniedziałek rano pani Farmer usiadła na swoim krześle i odczytała ogłoszenia. Jedno dotyczyło spotkań klubu ogrodniczego, jedno ocen, a trzecie - drużyny piłkarskiej. Od razu nadstawiłem uszu, kiedy powiedziała *Dyrektor organizuje testy sprawnościowe w środę o piętnastej. Chętni zbierają się na boisku szkolnym i proszeni są o przyniesienie sportowego obuwia.* A potem sprawdziła obecność. Wszyscy odpowiadali *Jestem*, tylko Daniel powiedział *Obecny, pani Farmer.* Aż się zdziwiłem, że się przy tym nie uklonił. Jego anioł siedzi już na piątej chmurce. Anioł Sunyi znajduje się na czwartej, większości pozostałych uczniów - na trzeciej. Na pierwszej chmurce został już tylko mój.

Co robiliście w weekend, zapytała pani Farmer i wszyscy zaczęli się przekrzykiwać. Ja siedziałem cicho. *Pojedynczo* nakazała pani Farmer i pokazała na mnie. *Najpierw Jamie.* *Co ciekawego robiłeś w weekend.* Pomyślałem o morzu i o prochach, o świecach, które tata zapalił wokół Rose, kiedy wróciła już na swoje miejsce na kominku. Mój weekend był zbyt skomplikowany, by dało się go opisać. *Czy mogę iść do ubikacji*, zapytałem. Pani Farmer westchnęła. *Lekcje dopiero się zaczęły*, odparła, co nie było ani zgodą ani zakazem, więc nie wiedziałem, co robić. Wstałem do połowy i znów usiadłem. *Opowiedz mi o swoim weekendzie*, warknęła pani Farmer, jakbym celowo stwarzał problemy.

Rozległ się brzęk metalu i świst powietrza, kiedy ręka Sunyi poszybowała wysoko w powietrze. *Proszę, pani Farmer, ja mogę powiedzieć.* I nie czekając na zgodę, rzuciła *Poznałam siostry Jamiego.* Szczeka mi opadła na te słowa. *Ach, te bliźniaczki*, uśmiechnęła się pani Farmer, pochylając się do przodu. Sunya skinęła głową. *Są bardzo miłe*, powiedziała. *Obie.* Pani Farmer spojrzała na mnie tymi swoimi bezbarwnymi oczami i powiedziała *Przypomnij mi ich imiona.* Odchrząknąłem. *Jas* odparłem i zawahałem się. *I Rose*, dodała za mnie Sunya. *Pojechaliśmy wszyscy na plażę, jedliśmy lody i czekoladę, zbieraliśmy muszeczki i spotkaliśmy syreny, które nauczyły nas oddychać pod wodą.* Pani Farmer zamrugnęła gwałtownie. *Cudownie*, powiedziała i rozpoczęła lekcję.

Jesteś dziwadłem, oznajmił Daniel podczas przerwy, a wtedy wszyscy się zaśmiali. Siedziałem samotnie na boisku i wpatrywałem się w swojego buta, jakby to była najbardziej interesująca rzecz na świecie. */ twoja dziewczyna jest takim samym dziwadłem jak ty*, dodał i znów wszyscy ryknęli śmiechem. Brzmiało to tak, jakby były ich setki, ale nie odważyłem się odwrócić. Rozwiązałem sznurowadło, żeby coś zrobić z rękoma. *Dziwoląg*, krzyknął Daniel. *Szukający syren w tej swojej śmierdzącej koszulce.* Próbowałem zawiązać kokardkę, jednak ręce mi się trzęsły. Wbiłem zęby w kolana, ból przyniósł mi ulgę.

Podoba mi się jego koszulka, ktoś zawołał, a moje serce stanęło. Sunya wydawała się zdyszana, jakby musiała przebiec wiele kilometrów, żeby pospieszyć mi na ratunek. Na samą myśl poczułem się jednocześnie szczęśliwy i zły. *Jesteś babą*, ciągnął Daniel, a wszyscy wokół potwierdzili *O tak*, mówili. *Co za pedzio.* Daniel odczekał, aż umilkną. *Wolisz, żeby dziewczyna cię broniła, zamiast stanąć ze mną twarzą w twarz jak*

prawdziwy facet. Było to tak głupie, że wybuchnąłbym śmiechem, gdyby nie fakt, że bałem się skopania tyłka. *Prawdziwi faceci nie noszą wianków ze stokrotek*, krzyknęła Sunya, a tłum zawył *Ooooooo*. Daniel nie potrafił wymyślić riposty.

Rozejrzałem się dookoła. Sunya stała z rękoma opartymi na biodrach, a chusta powiewała jej na wietrze, zupełnie jak superbohaterce.

Co ty nie powiesz, westchnął w końcu Daniel. Starał się przyjąć znudzony ton głosu, ale twarz miał tak samo bladą jak te jego mysie włoski i dobrze wiedział, że przegrał to starcie. I wiedział, że ja o tym wiem, więc patrzył na mnie z taką nienawiścią, że aż zadrzałem. *Zostawmy te ofiary losu same*. Odszedł i zaśmiał się o wiele za głośno, gdy Ryan opowiedział kawał. Zostaliśmy sami, Sunya i ja. Zapadła kompletna cisza, miałem wrażenie, że znalazłem się w środku telewizora i ktoś wcisnął przycisk *mute*.

Chciałem powiedzieć *Jesteś odważna* i chciałem jej podziękować. A przede wszystkim chciałem zapytać, czy nadal ma mój pierścionek z masy Blu-Tack, jednak słowa ugrzęzły mi w krtani, zupełnie jak wtedy, gdy w wieku sześciu lat utkwiała mi gardle kość kurczaka. Sunyi to najwyraźniej nie przeszkadzało. Uśmiechnęła się, w oczach zamigotały jej iskierki, po czym pokazała na chustę i uciekła.

Po raz pierwszy od czasu, kiedy mama nas zostawiła, cieszę się, że już z nami nie mieszka.

Dzisiaj wieczorem będzie do nas dzwonił dyrektor mojej szkoły. Powiedział *W Ambleside absolutnie nie tolerujemy kradzieży*. A pani Farmer zdjęła mojego anioła z pierwszej chmurki i przypięła z powrotem w lewym dolnym rogu.

To wszystko wydarzyło się po dużej przerwie. Daniel i Ryan poskarżyli się, że ktoś im ukradł zegarki, a potem Aleksandra i Maisie przyznały, że im zginęły kolczyki. Początkowo w ogóle nie przykładałem do tego wagi, w Londynie ciągle coś komuś ginęło. Ale tutaj okazało się to najważniejszą sprawą wszech czasów. Wszystkim zapało dech, a pani Farmer aż podskoczyła. Włosy wyrastające jej z pieprzyka stanęły na baczność jak żołnierze w filmach wojennych.

Kazała nam opróżnić szuflady i wywrócić kieszenie. Oraz wysypać na dywan zawartość worków gimnastycznych. Zaginiona biżuteria wypadła z mojego worka. Sunya zaklęła głośno i pani Farmer wyrzuciła ją z klasy. A ja zostałem zaprowadzony do dyrektora.

Pan Bóg przez cały czas nas obserwuje, powiedziała pani Farmer, kiedy przechodziliśmy przez bibliotekę w drodze do gabinetu dyrektora. *Nawet wtedy, gdy nam się wydaje, że jesteśmy sami. Widzi, co robimy*. Od razu pomyślałem o ubikacji i doszedłem do wniosku, że lepiej, żeby nie było to prawdą. Pani Farmer zatrzymała się przed działem literatury niebeletrystycznej i odwróciła się w moją stronę. Ciągle mrugała, a jej oddech czuć było kawą. *Rozczarowałeś mnie, Jamesie*, powiedziała, machając mi przed nosem tłustym paluchem. *Rozczarowałeś i zszokowałeś. Przyjęliśmy cię do naszej szkoły, do naszej społeczności i chociaż być może tego typu rzeczy są na porządku dziennym w Londynie, to jednak...* Tupnąłem nogą, a wtedy zatrzęsły się regały i z półki wypadła „Elektryczność dla każdego”. *Ja tego nie zrobiłem*, krzyknąłem. *To nie ja*. Pani Farmer wydeła wargi. *Przekonamy się o tym*.

Gdybym to ja był złodziejem, nie byłbym aż tak głupi, żeby trzymać ukradzioną biżuterię w worku na wuef. Ukryłbym ją w majtkach i zaniósł do domu. Próbowałem to wytłumaczyć dyrektorowi, ale coś mi nie wyszło i zabrzmiałem jak jakiś zboczeniec.

Sunya zaczęła na mnie po lekcjach. Siedziała pod gabinetem dyrektora. *Daniel cię wrobił*, powiedziała, *Wiem*, odparłem. Nagle ogarnęła mnie złość. Gdyby nie wkurzyła Daniela, nie miałbym teraz kłopotów. Próbowała powiedzieć coś miłego, ale krzyknąłem *Zostaw mnie w spokoju* i popędziłem przed siebie, chociaż napis na ścianie głosił *Nie wolno biegać po korytarzach*. Przez całą drogę do domu biegłem ile sił, bojąc się, że dyrektor zadzwoni przed moim powrotem. Kiedy otwierałem drzwi wejściowe, czułem że grzywka mi się przykleiła do czoła. Przygotowałem się na wybuch tak samo, jak w Sylwestra człowiek przygotowuje się na wystrzał fajerwerków, ale w domu słyhać było tylko chrapanie. Ogarnęła mnie taka ulga, że aż mi kolana zmiękły. Skoro tata pił przez cały dzień, prześni wieczór, dzięki czemu to ja dobiegnę do telefonu. Będę udawał, że jestem nim i nigdy się nie dowie, że dyrektor mojej nowej szkoły uważa mnie za złodzieja. Grubym głosem powiem *Mój syn jest uczciwy, przecież to oczywiste, że został wrobiony*, a dyrektor odpowie *Przepraszam bardzo*, na co ja powiem *Nie ma problemu*, a on zapyta *Czy mogę coś dla państwa zrobić* i wtedy powiem *Proszę w środę wybrać Jamesa do drużyny piłkarskiej, a zapomnimy o całej sprawie*.

Jas wróciła do domu i znalazła mnie w kuchni, opartego o ścianę przy telefonie. Starąłem się sprawiać wrażenie, jakby to była zupełnie naturalna pozycja, jakby przyciskanie głowy do twardej ściany było niesamowicie wygodne, jednak nie dała sobie zamydlić oczu. *Co jest grane*, zapytała, a ja jej wszystko wyśpiewałem. Skrzywiła się, gdy powiedziałem jej o Danielu, ale wybuchła śmiechem, kiedy opowiedziałem, jak zawołałem *Prawdziwi faceci nie noszą wianków ze stokrotek*. I chociaż skłamałem, zrobiło mi się miło, że jest ze mnie dumna.

Dyrektor nie miał pojęcia, że nie rozmawia z moją mamą tylko z piętnastoletnią siostrą. Przez telefon wydawała się taka dorosła. Powiedziała mu, że o ile nie ma świadków na to, że wkładałem biżuterię do swojego worka, karanie mnie było niesprawiedliwością. Słyszałem, jak dyrektor coś mamrocze. Jas dodała, że jeżeli nie jest stuprocentowo pewien, że nie zostałem wrobiony przez innego ucznia, niesłusznie będzie zostawiać mnie za karę po lekcjach w szkole. Dyrektor nic nie odpowiedział. Jas powiedziała *Dziękuję panu za poinformowanie mnie o całej sprawie, ale jestem pewna, że James jest niewinny*, a dyrektor odparł *Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas, pani Matthews*, na co Jas powiedziała *Do widzenia* i rozłączyła się. Wybuchliśmy śmiechem i nie mogliśmy przestać, a potem zrobiliśmy sobie herbatę. Postawiliśmy przed telewizorem nuggetsy z kurczaka i frytki z mikrofalówki, jednak Jas nie chciała swojej porcji, więc zjadłem dwie. *Wżyciu tego nie zmieścisz*, powiedziała, lecz ją zignorowałem. Mogę zjeść więcej niż jakakolwiek znana mi osoba, a w pizzerii, w której płaci się stałą kwotę i można jeść, ile się chce, potrafię wsunąć trzynaście kawałków, a nawet piętnaście, jeśli nie muszę jeść końcówek. Jas powiedziała *Jesteś prosiakiem*, ale ją uciszyłem. Zaczęła się kolejna zapowiedź Największego Brytyjskiego

Talentu i coś mi przyszło do głowy.

Silnik zgasł tuż pod naszym domem, stąd wiedziałem, że za kierownicą musi siedzieć mama. Nasłuchiwałem wcześniej, czy coś nie jedzie, ale i tak powstrzymałem się przed wstaniem z łóżka. Już tyle razy podbiegałem do okna, żeby się przekonać, że mama zamieniła się w mleczarzy z butelkami, rolników na traktorach albo sąsiadów wracających z pracy. Nie wytrzymałbym kolejnego rozczarowania. Tym razem auto nie minęło naszego domu, tym razem zatrzymało się na podjeździe. A więc pan Walker w końcu puścił mamę. Wskoczyłem z łóżka, wyprostowałem koszulkę i splunąłem na rękę, żeby przeczesać włosy. Chociaż mama nienawidzi prowadzić, pognęła ciemną autostradą tyle kilometrów, ponieważ tak bardzo chciała się ze mną zobaczyć. Pobiegłem do drzwi, a Roger puścił się za mną. Już miałem chwycić za klamkę, kiedy usłyszałem skrzypienie deski podłogowej. Jas szła na palcach, chichocząc do komórki. Powiedziała *Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś*. Czekałem, aż zapuka do moich drzwi i powie *Mama stoi pod domem*, ale ona minęła mój pokój i zeszała na dół. Ruszyłem za nią. Roger przez cały czas okręcał mi się wokół kostek, podekscytowany tym, że jest środek nocy, a ja nie śpię. Przez niego nie mogłem iść, więc wziąłem go na ręce, aż zaczął mruzczeć. Przycisnąłem go do siebie i zszedłem ostrożnie za Jas. Dopiero na dole, kiedy poczułem ból w płucach, zdałem sobie sprawę, że cały czas wstrzymuję oddech. Jas stała na ganku i stanowiła ciemny zarys na tle szyby. Obejmowała mamę, która wtuliła jej twarz w ramię.

Babcia twierdzi, że ludzie zielenieją z zazdrości. Wydaje mi się, że to nieprawda. Zielony uspokaja. To kolor świeżości, czystości i chłodu, jak miętowa pasta do zębów. Zazdrość jest czerwona. Parzy żyły i rozpała ogień w brzuchu.

Podszedłem ostrożnie do otworu na listy. Roger zaczął się wić, więc postawiłem go na podłodze, a on popędził przez korytarz. Jas i mama zakołysały się, jakby wykonywały ostatni taniec na dyskotece do piosenki, której nie mogłem słyszeć. Podniosłem klapkę i przez otwór na listy wlało się zimne powietrze. Wyczułem dym. Fajka Nigela.

Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś, wyszeptęła moja siostra. *Co za niespodzianka*. Usłyszałem odgłos pocałunku, zapewne mama przycisnęła usta do policzka Jas. Próbowałem dostrzec coś przez szparę w drzwiach, ale widziałem jedynie postać w płaszczu. Musiałem się powstrzymać, żeby nie wysunąć palców i nie chwycić za czarny materiał. Bałem się, że mama znów zniknie. *Nie możesz dłużej zostać*, Jas zachichotała. *Jeśli tata się dowie, zabije mnie*. Znów usłyszałem pocałunek. *Musisz iść*, powiedziała moja siostra. Czekałem aż doda *Ale najpierw przywitaj się z Jamiem*, jednak na próżno. Pochyliłem się do przodu i nasłuchiwałem uważniej, czując jak oblewa mnie zimny pot. Jas zamierzała utrzymać wizytę mamy w tajemnicy.

Czas na ciebie, jęknęła i wtedy podniosłem się. Mama nie może wyjechać, nie widząc mojej koszulki. We krwi czułem maszerującą orkiestrę, biła w bębny w moim sercu i tym miękkim czymś na szyi, które robi BUM BUM BUM. Jas została popchnięta na drzwi do ganku. *Och, kochanie*, szepnęła, co było dziwne, zważywszy że rozmawiała z mamą, ale nie miałem czasu się nad tym zastanawiać, bo moja ręka

wystrzeliła i nacisnęła na klamkę.

Jas straciła równowagę i upadła na dywan w hallu, a ja otworzyłem usta, żeby powiedzieć *Zdrajczyni*, lecz z mojego gardła nie wydobyło się ani jedno słowo, bowiem tym razem mama nie była ani rolnikiem, ani mleczarzem, ani nawet sąsiadem wracającym z pracy. Okazała się być chłopakiem o nastroszonych zielonych włosach, kolczyku w wardze, w czarnej, skórzanej kurtce. Zamknąłem usta. A potem je otworzyłem i znów zamknąłem, a wtedy ten chłopak powiedział *Wyglądasz jak ryba*, na co odparłem *Wolę to niż wyglądać jak zielony jeź*, co było chyba najśmieszniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek powiedziałem. Chłopak zaśmiał się, a jego *haha* zapachniało dymem z papierosa. *Jestem Leo*, powiedział, wyciągając rękę, jakbym był kimś ważnym. Uścisnąłem ją, starając się sprawiać wrażenie, jakby było to dla mnie coś naturalnego. *Jamie*, odparłem. Nie wiedziałem, kiedy mam go puścić, ale to on uwolnił moją rękę, aż opadła na dół. Nie miałem pojęcia, co zrobić z palcami.

Jas przyglądała się tej całej scenie leżąc na podłodze. Zaśmiałem się, uradowany, że jednak nie okazała się zdrajczynią. *Ty podstępny bachorze*, powiedziała, a jej oczy wyglądały na ogromne teraz, kiedy nie pokrywał ich czarny makijaż. Ciągle zerką na schody, przerażona, że tata może zejść na dół, chociaż oboje wiedzieliśmy, że odpadł i leży w łóżku.

Leo podciągnął Jas na nogi. Był wysoki, silny i w ogóle idealny. Moja siostra sięgała mu do pachy. Objął ją ramieniem, a ona szepnęła *Nie naskarż na mnie*, po czym przycisnęła się do niego. Czuję się trochę niezręcznie, dopóki Roger nie zaczął się ocierać o moją nogę. Wziąłem go na ręce i przytuliłem.

Zaczęli się całować. Przyglądałem się przez piętnaście sekund, a potem przypomniałem sobie, że babcia zawsze mówiła *Niegrzecznie jest się gapić*. Odszedłem więc, jakby widok mojej siostry obściskującej się z chłopakiem w hallu dwanaście minut po północy był czymś zupełnie nieistotnym. Księżyc oświetlał kuchnię, przez co nie było widać żadnych kolorów. Zupełnie jakbym znalazł się w oczach pani Farmer. Byłem zły, że oskarżyła mnie o kradzież. Nigdy niczego nie ukradłem, nie licząc winogrona w supermarkecie podczas wielkich zakupów z mamą. Kiedy mama nie patrzyła, zrywałem kulkę z łydgi, wkładałem sobie do buzi i rozgniatałem językiem, żeby nie zobaczyła jak żuję i się niczego nie domyśliła.

Roger wyskoczył mi z objęć. Otworzyłem tylne drzwi i wyszedłem do ogrodu. Trawa pod stopami wydawała się taka lodowata, a powietrze szczypało mnie w skórę. Miliony gwiazd połyskiwały na niebie, zupełnie jak kamienie w ślubnej obrączce mamy. Mogę się założyć, że już jej nie nosi. Popatrzyłem na niebo, unosząc środkowy palec, na wypadek, gdyby Pan Bóg mi się przyglądał. Nie lubię, kiedy ktoś mnie szpieguje.

Sierść Rogera błyszczała w świetle księżycy, gdy czołgał się w głąb ogrodu, zapewne po to, by zabić mysz czy coś takiego. Próbowałem nie dopuścić do siebie myśli o futrzanym ciałku, jakie zostawiał pod drzwiami domu. Podeszedłem do oczka wodnego i spojrzałem na wodę, ale widziałem tylko małe, popielate zwierzątko, zimne, sztywne i martwe. Cieszyłem się, że Rose rozpadła się na maleńkie kawałeczki. Nie podobała mi się myśl, że mogłaby leżeć pod ziemią, zwłaszcza w tak zimną noc jak ta.

Usłyszałem plusk. Uklęknałem i pochyliłem się tak mocno, aż nosem dotykałem

czarnej wody. Gdzieś tam, pomiędzy roślinami i wirującym zielskiem pływała złota rybka. Jej śliska skóra miała dokładnie taki sam kolor jak moje włosy - i ją i włosy malowałem tą samą pomarańczową kredką. Tyle razy zaglądałem do oczka i nigdy nie widziałem w nim żadnych innych stworzeń. Tylko ta jedna, samotna rybka. Dobrze wiedziałem, jak się musi czuć.

Tacie udało się podnieść na śniadanie we wtorek rano. Nie wstawał z łóżka przez szesnaście godzin, śmierdział potem i alkoholem. Nic nie zjadł, ale zaparzył dzbanek herbaty, więc wypilem filiżankę, chociaż nie przepadam za herbatą. Jas ziewnęła cztery razy podczas sprawdzania horoskopu. *Dlaczego jesteś taka niewyspana*, zapytał tata. Wzruszyła ramionami, ale mrugnęła do mnie ukradkiem. Ukryłem uśmiech w miseczce z płatkami. Miałem nadzieję, że Leo wkrótce znów nas odwiedzi.

Na dworze lało. Jas zapytała tatę, czy nie mógłby nas podwieźć. Zgodził się i podjechał pod szkołę w kapciach. Bałem się, że zobaczy Sunyę, jednak wszystkie dzieciaki były schowane pod kapturami i parasolami, więc nikogo nie można było poznać. Wskoczyłem z auta, a Jas podała mi kurtkę przeciwdeszczową i kazała mi się nie zamoczyć. Powiedziała *Przeżybiesz się, jeśli będziesz musiał siedzieć cały dzień w mokrej koszulce*.

Wszedłem do klasy i chociaż raz się nie spóźniłem. Pani Farmer jeszcze nawet nie przyszła. Sunya siedziała przy naszej ławce i coś rysowała. Całą lewą rękę i czubek nosa miała poplamione tuszem. Miałem ochotę się do niej odezwać, ale tata podwiózł mnie do szkoły i powiedział *Milego dnia*. Byłoby paskudnie z mojej strony, gdybym rozmawiał z muzulmanką, podczas gdy on starał się być miły.

Najpierw usłyszałem szept. A potem coraz więcej osób się przyłączyło, powtarzając w kółko to słowo, coraz głośniej i głośniej, waląc pięściami w ławki. *Złodziej. Złodziej. Złodziej złodziej złodziej*. Daniel stał na środku grupy i dyrygował chórem. Popatrzyłem na Sunyę, pragnąc, żeby pospieszyła mi na ratunek. Czerwony cienkopis poruszał się w tę i we w tę, w tę i we w tę. Nawet nie podniosła głowy.

Do klasy weszła pani Farmer. Chociaż skandowanie natychmiast ustało, z pewnością słyszała je jeszcze na korytarzu. Czekałem, aż ich zbeszta, ale ona popatrzyła tylko na mnie, jakbym właśnie na to zasługiwał. Poprosiła ochotnika o pójście po dziennik, ręka Daniela jako pierwsza poszybowała w powietrze. Pani Farmer uśmiechnęła się do niego, aż cały się napuszył. Jego aniołek przeskoczył na szóstą chmurkę.

W czasie przerwy padało tak mocno, że musieliśmy zostać w budynku szkolnym. Pięć minut spędziłem siedząc na ubikacji, trzy minuty oglądając wystawę prac plastycznych na korytarzu i cztery udając, że boli mnie głowa. Pielęgniarka szkolna odesłała mnie ze zmoczonym papierowym ręcznikiem na czole. W klasie siedziałem więc tylko dwie minuty, a potem pani Farmer przyszła z pokoju nauczycielskiego. To wystarczająco długo, żeby znów rozpoczęło się skandowanie, ale za krótko, żeby się naprawdę rozkręciło.

W połowie historii przestało padać. Deszcz przerodził się w mżawkę. Próbowałem skupić się na epoce wiktoriańskiej, lecz było mi ciężko i nie dałem z siebie wszystkiego w zadaniu, o co prosiła pani Farmer. Opisałem życie kominiarza, jednak napisałem zaledwie trzy zdania, bo zamartwiałem się, że wyjdziemy na dwór na dużą

przerwę i dostanę w dziób.

Pod koniec lekcji do klasy wdarł się dźwięk gwizdka grubej pani ze stołówki. *Możecie wyjść na zewnątrz*, powiedziała i wszyscy, oprócz mnie, zareagowali entuzjastycznie.

Ledwo wyszedłem na dwór, a już się zaczęło. Podbiegli co sił w nogach, otoczyli mnie i od razu wiedziałem, co babcia miała na myśli, mówiąc o obłądnym kole. Za każdym razem, kiedy próbowałem wydostać się na zewnątrz, para rąk wpychała mnie z powrotem do środka. Tupali nogami. Klaskali w dłonie. I skandowali głośniejszym niż do tej pory. Rozejrzałem się dookoła, szukając opiekunki - stała po przeciwnej stronie boiska, krzycząc na jakichś chłopaków za to, że weszli na mokrą trawę. Rozejrzałem się w poszukiwaniu Sunyi, ale zobaczyłem tylko białą chustę powiewającą na schodach. Po chwili zniknęła w drzwiach obok naszej klasy. Sunya sobie poszła.

Moje palce powędrowały do uszu. Zaciśnąłem mocno powieki. Koszulka wydała mi się nagle o wiele za duża, rękawy zaczęły się majtać wokół moich rąk. Nie byłem odważny. I nie byłem Spider-Manem. Jak dobrze, że mama nie mogła mnie zobaczyć.

Ryan pierwszy się znudził. Kopnął mnie w łydkę i powiedział *Do zobaczenia później, ofermo*. Odszedł, a pozostali poszli jego śladem i dziesięć sekund później został tylko Daniel. *Wszyscy cię nienawidzą*, powiedział, a ja wbiłem wzrok w ziemię. Nadepnął mi na stopę i splunął w twarz, sycząc *Wynoś się z naszej szkoły i wracaj do Londynu*. Jaka szkoda, że nie mogłem tego zrobić. Bardzo chciałbym wyjechać natychmiast, ufając, że mama ucieszy się na mój widok. *Wracaj do Londynu*, powtórzył Daniel, jakby to było proste. Jakby ktoś tam na mnie czekał.

Jakaś dziewczyna w kitkach postukała Daniela w ramię. *Pani Farmer prosi, żebyś przyszedł do klasy*, powiedziała, liżąc różowego lizaka. *Po co* zapytał. *Nie mówiła*. Wzruszył ramionami i odszedł. Wytarłem ślinę z twarzy. Skończyło się. Usiadłem na ławce, ale nadal cały się trząsałem. Daniel zapytał opiekunkę czy może wejść do środka. Skinęła głową, a on wszedł po schodach i zniknął w drzwiach.

Po przerwie obiadowej pani Farmer kazała nam usiąść na dywanie. Całe ciało mnie bolało, ale starałem się nie dać tego po sobie poznać. Sunya zajęła miejsce jako ostatnia. Oczy jej błyszczały jeszcze bardziej niż zwykle. Chociaż siedziałem zupełnie z tyłu, przeszła nad nogami wszystkich uczniów i opadła na dywan tuż obok mnie. Uśmiechnęła się szeroko, chociaż nie miałem pojęcia, dlaczego. Cztery włoski wysunęły się jej spod chusty, zaczęła je okręcać na poplamionych czerwonym tuszem palcach.

Na interaktywnej tablicy pojawiły się zagadki liczbowe. Popatrzyłem na Daniela. Wyglądał normalnie, więc chyba nie naraził się w żaden sposób naszej wychowawczynie. Kiedy Maisie rozwiązała trudne zadanie, pani Farmer podeszła do tablicy za biurkiem. Palce Sunyi zamarły i chyba wstrzymała oddech. *Doskonale, Maisie*, powiedziała pani Farmer i sięgnęła ręką w stronę anioła. *Jesteś o chmurkę bliżej...* pani Farmer jęknęła, aż wszyscy podskoczyli. Jej ręka zatrzymała się w powietrzu, usta otworzyły się szeroko, a wzrok wbił w coś na ścianie.

W dolnym lewym narożniku tablicy znajdowało się sześć czerwonych liter: PIEKŁO.

Na nich ktoś umieścił obrazek diabła i podpisał starannie PANI FARMER.

Kto to zrobił, głos nauczycielki był niewiele bardziej słyszalny od szeptu. Wzrok nadal miała utkwiony w diable. Ja też nie mogłem przestać na niego patrzeć. Był świetny. Miał ostre rogi, złe spojrzenie i długi ogon. Nie licząc brązowego kółka na szpiczastej brodzie, podejrzenie przypominającego pieprzyk, był jaskrawoczerwony.

Nikt się nie odezwał, kiedy pani Farmer wyparowała z klasy. Niecałe dwie minuty później wróciła z grubą opiekunką i dyrektorem, ubranym w czarny garnitur, połyskujące buty i jedwabny krawat. *To musiało się stać w czasie przerwy obiadowej*, powiedziała pani Farmer, głośno wydmuchując nos. *Czy ktoś opuszczał boisko*, zapytał dyrektor, spoglądając w moją stronę. Gruba opiekunka zaczęła bawić się swoim wi-siorkiem i przypatrywać naszym twarzom. Ręka Sunyi zadrżała nieznacznie. Opiekunka skinęła głową. *On, panie dyrektorze*, powiedziała wskazując na Daniela.

Chodź ze mną, młody człowieku, powiedział dyrektor, ale Daniel się nie ruszył. *Pani Farmer chciała mnie widzieć*, zaprotestował Daniel, blednąc. *To dlatego wszedłem do szkoły*. Dyrektor zapytał panią Farmer, czy to prawda, a ona zaprzeczyła. *Proszę zapytać jego*, Daniel pokazał na mnie. *Jamie był przy tym*. Ruch był prawie niezauważalny, ledwie drgnięcie łokcia Sunyi, ale od razu zrozumiałem. W głosie Daniela pojawiła się błagalna nuta. Bał się. *Powiedz im, Jamie. Powiedz, co powiedziała tamta dziewczyna w kitkach*. Po raz pierwszy tego dnia spojrzałem mu prosto w oczy. *Przykro mi, Danielu, ale nie wiem, o czym mówisz*.

Pani Farmer zbyt się zdenerwowała, żeby prowadzić zajęcia, więc zamiast tego gruba opiekunka zaczęła czytać nam bajki. Kiedy skończyły się lekcje, wszyscy wybiegli z klasy. Wszyscy, oprócz Sunyi. Chciałem coś powiedzieć, jednak nie wiedziałem, jak zacząć. Otworzyłem tylko piórniki, żeby upewnić się, czy wszystkie pisaki są równo ułożone. Kiedy nie miałem już nic innego do zrobienia, spojrzałem na Sunyę. Obserwowała mnie, liżąc różowego lizaka, dokładnie takiego samego jak tamten, który miała dziewczyna w kitkach. *Przekupstwo*, wzruszyła ramionami, jakby jej plan był zupełnie zwyczajny, a nie najlepszy na całym świecie, który - jak twierdzi pani Farmer - ciągnie się bez końca.

Pokiwałem głową, jednocześnie czułem strach i radość, coś takiego, co czuje się, wsiadając na rollercoastera. Sunya włożyła rękę do kieszeni i wyjęła dwa pierścionki z Blu-Tacku. Jeden z nich miał doczepiony brązowy kamyk, drugi - biały. Podeszła do mnie bez słowa, a jej błyszczące oczy rzucały na moją twarz światło reflektorów. Wsunęła brązowy pierścionek na palec i podała mi biały z bardzo poważną miną. Zawahałem się na ułamek sekundy, a potem go założyłem.

Liście w kałużach przypominają martwe złote rybki. Wszystko, co było dotychczas zielone zrobiło się brązowe i fioletowe, jakby wzgórze pokryły się sińcami. Podoba mi się taki świat, lato jest dla mnie zbyt jaskrawe. Odrobinę za radosne. Kwiaty tańczą i ptaki śpiewają, jakby przyroda urządziła sobie wielki bal. Jesień jest lepsza, wszystko opada, a ja nie czuję się taki wyobcowany.

Zbliża się koniec października, moja ulubiona pora roku. Ze wszystkich świąt, moim ulubionym jest nie Boże Narodzenie czy Wielkanoc, ale Halloween. Uwielbiam się przebierać i dostawać cukierki, a poza tym jestem całkiem dobry w robieniu psikusów. Kiedy byłem mały mama nie pozwalała mi kupować żadnych rekwizytów, więc musiałem wymyślić własne sztuczki. *Wszyscy i tak dadzą ci cukierki, nikt nie wybierze psikusa*, powiedziała, co było największym kłamstwem w jej życiu, nie licząc tego, które dotyczyło taty. W trzecią rocznicę śmierci Rose, tata upił się i zaatakował mamę. Chodziło o to, co zwykle, o Trafalgar Square i gołębie, i o to, że gdyby była bardziej surowa, Rose być może nadal by żyła. Mama malowała w kuchni, ale oczy miała tak pełne łez, że w ogóle nie widziała kolorów. Przez pomyłkę namalowała czarne jak smoła serce. Zwróciłem jej uwagę, wziąłem pędzel i domalowałem intensywnie czerwoną obwódkę. *Czy wy z tata kończycie ze sobą*, zapytałem, gdy skończyłem. *My już jesteście skończeni*, mruknęła mama, pociągając nosem. Upuściłem pędzel do zlewu. *To miała być odpowiedź przecząca*, zapytałem, żeby się upewnić, a mama zawahała się i pokiwała głową. No i to było jej największym kłamstwem, chociaż to z Halloween było niemal tak samo straszne, bo oznaczało, że byłem nieprzygotowany i najadłem się wstydu.

Kiedy groźny sąsiad z buldogiem powiedział *Psikus*, nie wiedziałem, co zrobić. *Głuchy jesteś*, zapytał, a ja pokręciłem głową. *No to dawaj psikusa*. Poprosiłem go, żeby zamknął oczy, a wtedy go po prostu uszczypnąłem w rękę. Powiedział słowo na „k”, a gdy uciekałem, jego pies na mnie czekał. Tamtego dnia nie chodziłem już więcej po domach, bałem się, że sytuacja może się powtórzyć. Ale rok później nie miałem zamiaru przepuścić koło nosa wszystkich tych słodczy, więc sam wymyśliłem własne sztuczki.

Tegoroczne Halloween będzie lepsze niż kiedykolwiek. Sunya ma bogatszą wyobraźnię niż najbardziej kreatywna osoba, jaka przychodzi mi do głowy, czyli Willy Wonka. Do tej pory nie mogę się otrząsnąć po sztuczce z diabłem. Nikt nie wpadł na to, że to była jej robota, a Daniel został zawieszony w prawach ucznia na trzy dni. Jego anioł zniknął z tablicy, wyrzucony do pojemnika na makulaturę.

Nie miałem pojęcia, że muzułmanie świętują Halloween. *Myślałem, że to chrześcijański zwyczaj*, powiedziałam Sunyi, a ona wybuchnęła śmiechem. A z Sunią jest tak, że jak zacznie się śmiać, to wszystkich zaraża. Wiec siedzieliśmy na ławce na boisku i zrywaliśmy boki, chociaż nie wiedziałem, co nas właściwie tak rozbawiło. Sunya powiedziała *Halloween to tradycja brytyjska i nie ma nic wspólnego z tym, czy się jest chrześcijaninem, czy nie*. Już prawie zapytałem *W takim razie, dlaczego ją obchodzicie*, bo ciągle zapominam, że ona urodziła się w Anglii.

Znów się spotykamy, Spider-Manie, powiedziała. *Ile osób uratowałaś dzisiaj, Superbohaterko*, zapytałem w odpowiedzi. Udała, że liczy na palcach. *Sto trzydzieści siedem*, wzruszyła ramionami. *To był spokojny dzień. Zaczęliśmy się śmiać. A ty, Spider-Manie?* Podrapałem się po głowie. *Osiemset trzydzieście. Ale zacząłem późno i skończyłem wcześniej.* Wybuchnęliśmy śmiechem. Powtarzamy ten scenariusz codziennie, jednak nigdy nam się nie nudzi.

Dziwnie było spotkać się z Sunią poza szkołą w weekend. Siedziała pod kasztanowcem, z boku leżał biały koc, w rękę trzymała plastikowy woreczek. Zanim zająłem miejsce obok, rozejrzałem się po drzewach. Wydawały się pomarańczowe i zasuszone, zupełnie jak staruszkowie, którzy zbyt długo przebywali na słońcu. Tata poszedł gdzieś daleko od lasu kupić alkohol, ale i tak byłem nerwowy.

O mało co, a nie przyszedłbym. Co innego przyjaźnić się z muzułmanką w szkole, a co innego spotykać się z nią w weekend. Sunya poprosiła, żebyśmy obeszlą razem domy, a ja się zgodziłem, nie zaprzatając sobie w ogóle głowy tatą. Myślałem jedynie o tym, ile zgromadzimy cukierków i jak to będzie fajnie, o wiele lepiej niż na Halloween w Londynie, bo tym razem nie będę sam. Jednak rano, kiedy wykradłem bandaże, żeby przebrać się za mumię, ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Jedliśmy płatki przed telewizorem i jakaś pani o takim samym kolorze skóry, jaki ma Sunya, zaczęła czytać wiadomości. *Cholerne Pakistanki na BBC*, powiedział tata, jakby to było coś złego. *Może wcale nie jest z Pakistanu*, odpowiedziałem, zanim zdołałem się powstrzymać. Jas uniosła brwi tak wysoko, że zniknęły pod jej różową grzywką. Tata przełączył kanał. Na jakąś kreskówkę. *Co powiedziałaś*. Głos miał spokojny, ale kostki mu zbieleły, tak zaciskał palce na pilocie. Odchrząknąłem. *Co powiedziałaś, James*. Jas położyła palec na ustach, dając mi do zrozumienia, że mam się przyknać. I chociaż nie pomalowała się tym razem na biało, i tak wydawała się bardzo blada. *Nic*, odparłem. Tata pokiwał głową. *Tak myślałem*, powiedział i skinął brodą w stronę urny.

Poczułem ulgę, kiedy Sunya założyła sobie koc na głowę. Wycięła dziury na oczy i długi, podobny do kielbaski kształt na usta, ale za otworami nie było widać jej skóry. *Fajne przebranie*, powiedziałem. *Twoje też*, odparła. Moje było dość dziwne, bo zabrakło mi bandaży i musiałem użyć różowego papieru toaletowego. *Mam nadzieję, że nie zacznie padać*, stwierdziłem. *Wtedy zostaniesz splukany*, zaśmiała się.

Trzy godziny później, po obejściu wszystkich domów, jakie udało nam się znaleźć, mieliśmy dwie wypchane torby słodyczy. Usiedliśmy pod kasztanowcem, żeby zjeść zdobycze. Wszystko wydawało się czarne, oprócz nieba, połyskującego milionem gwiazd. Wyglądały jak mikroskopijne świeczuszki i przez ułamek sekundy zastanawiałem się, czy zostały zapalone specjalnie dla mnie i Suni na nasz Halloweenowy piknik. W boku mnie bolało od ciągłego śmiechu i stwierdziłem, że był to chyba najlepszy dzień w moim życiu. Chciałem powiedzieć to Suni, jednak bałem się, że uzna mnie za mięczaka, więc zacząłem tylko *Ten facet* i znów wybuchnęliśmy śmiechem. Jako ostatni wybrał psikus, a wtedy ja wyjąłem zza pleców pistolet na wodę. Uchylił się, ale oczywiście nic nie poleciało. Sunya nazwała to przynętą, co miało oznaczać, że pistolet odwrócił jego uwagę, a wtedy ona zrobiła prawdziwego

psikusa. Wrzuciła mu do domu bombę zapachową. Mężczyzna nie widział tego, bo spodziewał się oblania wodą i miał zamknięte oczy. Sunya zawołała *Mamy cię*, a wtedy ten facet zamknął nam drzwi przed nosem. My jednak nie uciekliśmy. Podeszliśmy na palcach do okna salonu i przyglądaliśmy się, jak siada na sofie. Minutę później zmarszczył nos, a po kolejnych dziesięciu sekundach wyprostował głowę i zaczął wachać powietrze. Po upływie następnych dziesięciu sekund obejrzał sobie podeszwy, jakby się martwił, że wdepnął w psią kupę. Sunya musiała zasłonić mi usta dłonią, bo śmiałem się zbyt głośno. I chociaż miała lodowate palce, moje usta aż płonęły.

Dlaczego to nosisz, zapytała z buzią pełną cukierków. *Bo jestem mumia*, odparłem. *Mumie są owinięte bandażami, tylko że mi zabrakło i musiałem...* Pokręciła głową. *Nie to*, powiedziała, pokazując na papier toaletowy. *To*, dotknęła palcem koszulki Spider-Mana. *Jestem superbohaterem*, wyjaśniłem. *Zwalczam przestępców*. Westchnęła, a jej oddech zapachniał coca-colą. W wyciętych w kocu otworach widziałem jej oczy, świeciły jaśniej niż wszystkie gwiazdy na niebie. *Dlaczego to nosisz tak naprawdę*, zapytała, po czym przyciągnęła nogi do siebie i oparła brodę na kolanach. Ssała lizaka bardzo powoli, jakby miała mnóstwo czasu, by wysłuchać mojej opowieści. Próbowałem coś powiedzieć, ale mi się nie udało.

Gdy wyjechaliśmy z Londynu, tata spędził chyba z godzinę, próbując wepchnąć szafę ubraniową przez drzwi sypialni. Odwrócił ją na bok, próbował do góry nogami. Przechylił najpierw na jedną stronę, potem na drugą, ale w żaden sposób nie chciała wejść. Słowa takie jak Mama i Romans czy Tata i Picie były zupełnie jak ta szafa - zbyt wielkie, żeby mogły mi przejść przez usta. Bez względu na to, jak się starałem, w żaden sposób nie chciały się zmieścić między moimi zębami.

Sunya już prawie skończyła lizaka, kiedy się odezwałem. *Po prostu ją lubię i tyle*, powiedziałem, po czym zmieniłem temat. *Dlaczego nosisz tę chustę na głowie*. *Hidżab* odparła. *Hi-co*, zapytałem. *Hidżab, tak to się nazywa*. Powtarzałem to słowo raz za razem, podobało mi się jego brzmienie. A potem zacząłem się zastanawiać, co tata powiedziałby, gdyby zobaczył jak siedzę pod kasztanem z muzułmanką w przebraniu ducha i szepczę w ciemności muzułmańskie słowa. Nagle dotarło do mnie, co by dokładnie powiedział, a co więcej, zobaczyłem w wyobraźni, jak to mówi, jak twarz mu się skręca, oczy zachodzą łzami, a w dłoniach drży mu urna.

Wstałem. Od tych wszystkich słodkości zrobiło mi się niedobrze. Zjadłem zaledwie jedną czwartą zawartości torby, ale rzuciłem resztę Sunyi. *Weź je sobie*, powiedziałem. *Wracam do domu*. Ruszyłem na drogę, ściągając bandaż z twarzy, odrywając od siebie papier toaletowy. Jakaś część mnie nie chciała już nigdy widzieć Sunyi, a jeszcze większa część pragnęła, żeby pobiegła za mną i zapytała *Co się stało*. Dotarłem do zakrętu. Gdybym zrobił jeszcze pięć kroków, zniknąłbym jej z oczu. Od razu zwolniłem, starając się powstrzymać chęć odwrócenia się, jednak moja szyja nie słuchała mózgu. Zanim ją powstrzymałem, moja głowa przekręciła się. Jak się okazało, Sunya biegła za mną.

Boisz się, Spider-Manie, zapytała. *Superbohaterzy nie powinni tak uciekać*. Ledwo znalazła się u mojego boku, przyspieszyłem, jakbym chciał przed nią uciec, co było jednocześnie prawdą i nieprawdą. *Nie boję się*, powiedziałem. *Jest późno, tata kazał mi*

wrócić przed ósmą. Sunya wcisnęła mi do ręki moją torebkę ze słodyczami. *Jesteś najgorszym kłamcą pod słońcem,* powiedziała. *Chcesz się zamienić. Dam ci czekoladowe myszki za żelki coca-colowe.*

Zza rogu wyłoniły się reflektory samochodowe. Rozpoznałem ten samochód. Chwyciłem Sunyę za rękę i próbowałem odciągnąć ją w bezpieczne miejsce. Tata zwolnił. Serce mi biło coraz szybciej. Nigdzie dookoła nie było żadnych budynków. Murów. Żadnej kryjówki. *O co chodzi,* zapytała Sunya. Chciałem krzyknąć *UCIEKAJ,* ale było już za późno. Rozległ się pisk hamulców, opuściła się szyba i auto zatrzymało się tuż obok. Tata wychylił się przez okno i tylko patrzył. *Cukierek albo psikus,* powiedziałem, puszczając dłoń Sunyi. Wyciągnąłem przed siebie ręce, jak zombie i przybrałem nieruchomą minę. *Cukierek albo psikus cukierek albo psikus,* powtarzałem, za wszelką cenę próbując zwrócić na siebie uwagę taty. Sunya nadal miała koc na głowie, wiedziałem, że jeśli tata nie będzie się przyglądał zbyt uważnie, może nie zauważyć, że pod przebraniem kryje się muzułmanka.

Kim jest twoja koleżanka, zapytał, wymawiając słowa bełkotliwie. *Jestem Sunya,* odpowiedziała mu, zanim zdołałem wymyślić jakieś angielsko brzmiące imię. Tata się nawet uśmiechnął. *Miło mi cię poznać,* powiedział, a jego oddech śmierdział piwem. *Jesteś koleżanką Jamesa ze szkoły,* zapytał. *Chodzimy do jednej klasy siedzimy razem w ławce, dzielimy się cukierkami i sekretami.* Tata wydawał się zaskoczony, ale zadowolony. *Mam nadzieję, że oprócz tego także się uczycie,* zakpił, a Sunya zaśmiała się i powiedziała *Oczywiście, panie Matthews.* A ja tylko się gapiłem, jak tata uśmiecha się do muzułmanki i proponuje, że podwiezie ją do domu.

Zapięliśmy pasy. Mój wrzynał mi się w klatkę piersiową, aż mnie paliło. Jeżeli rodzice Sunyi będą przed domem, albo będą mieli odsunięte zasłony, albo jeśli wyjdą na zewnątrz, żeby podziękować, tata zauważy ich ciemną skórę i wpadnie w szal. Samochód zatoczył się na jezdni, a ja rozmyślałem o tych wszystkich reklamach w telewizji, pokazujących pijanych kierowców i mnóstwo trupów, i zrobiło mi się głupio, że pozwoliłem Sunyi wsiąść do samochodu, skoro tata ewidentnie za dużo wypił. Ale ona tylko jadła słodycze i rozmawiała z tatą. Słyszałem w jej głosie radość, jakby wszystkie wypowiedane przez nią słowa były uśmiechnięte. Powiedziała, że mieszka w Lake District od urodzenia, że jej tata jest lekarzem, a mama weterynarzem i że jeden brat uczy się w liceum, a drugi studiuje w Oxfordzie. *Jaka mądra rodzina,* tata był chyba pod wrażeniem. *To ten dom po prawej,* powiedziała Sunya i zatrzymaliśmy się przed wielką bramą. Za zasłonami świeciły się lampy, na szczęście przed domem nie było nikogo.

Dziękuję za podwiezienie, powiedziała Sunya i wyskoczyła z auta, machając reklamówką ze słodyczami. Ja jednak widziałem tylko jej ciemne ciemne palce i modliłem się bardziej niż kiedykolwiek w życiu, żeby tata niczego nie zauważył. Ale on się uśmiechnął, powiedział *Polecam się na przyszłość, skarbie,* a Sunya odbiegła, i tylko białe koc powiewał na wietrze.

Tata zawrócił i odjechał spod domu Sunyi. Odwróciłem się, popatrzyłem przez tylną szybę, jak Sunya znika za bramą. Tata zerknął w lusterko wsteczne. *To twoja dziewczyna,* zapytał. Zaczerwieniłem się, powiedziałem *Nie,* a on się zaśmiał. *Mogłeś gorzej trafić, synu. Sonia wydaje się miłą dziewczynką.* Nagle miałem ochotę krzyknąć *MA NA IMIĘ*

SUNYA, NIE SONIA I JEST MUZUŁMANKĄ, choćby po to, by przekonać się, jak zareaguje. Dobrze wiedziałem, że gdyby tata zobaczył Sunyę w hidżabie, a nie w kocu, w życiu nie uznałby jej za miłą dziewczynkę.

Tego ranka mieliśmy zajęcia w bibliotece, a ja przeglądałem książkę o ludziach z epoki wiktoriańskiej, według której dawne damy zostawały w domu, żeby opiekować się dziećmi, nigdy nie szły do pracy i nie zostawiały mężów, bo rozwody były kosztowne i trudne do przeprowadzenia. Właśnie rozmyślałem o tym, jak fajnie byłoby żyć w tamtych czasach, kiedy poczułem czyjąś rękę na plecach. Byłem przekonany, że to Daniel, więc zawołałem *Proszę pani*, chociaż napis głosi *Prosimy o ciszę. To biblioteka*. Pani zapytała *Co się dzieje*, a wtedy odparłem *On mi wbija palce w łopatkę*. Dyrektor odchrząknął i wypchnął mnie na korytarz, a pani Farmer mruknęła *Musisz szanować starszych, miody człowieku*. Dyrektor popatrzył na mnie z góry, widziałem jego nozdrza i zacząłem się zastanawiać, czy trudno jest oddychać, kiedy ma się tyle włosów w nosie. *Jesteś zajęty jutro po południu*, zapytał. *Nie*, odparłem. *W takim razie, będziesz. Zwolniło się miejsce w drużynie piłkarskiej. Craig Jackson doznał kontuzji*.

Jas powiedziała, że za żadne skarby nie opuści tego meczu. Uważa, że strzełę zwycięską bramkę. Mój horoskop w tym tygodniu obiecuje same pozytywy, a poza tym Jas twierdzi, że mam zaczarowane buty i dzięki nim będę grał jak Wayne Rooney. Zapytałem tatę, czy też przyjdzie, ale tylko beknął. Nie wiem, czy to miało oznaczać *tak czy nie*.

Testy piłkarskie odbyły się ponad miesiąc temu. Starłem się naprawdę mocno, ale prawie w ogóle nie dostawałem piłki. Grałem na lewym skrzydle, a potem na ataku i chociaż niewiele zrobiłem, uważałem, że zrobiłem dosyć. W nocy przed ogłoszeniem składu, nie mogłem zasnąć z nerwów, czułem tysiące motylków w brzuchu. Rano miałem wrażenie jakby motylki rozmnożyły się i każdy z nich miał teraz dziesięć motylątek. Dyrektor oznajmił, że skład zostanie wywieszony na tablicy przed jego gabinetem podczas dużej przerwy, a to oznaczało, że musiałem przetrwać jeszcze dwie lekcje. Na angielskim pisaliśmy wiersz pod tytułem *Moja wspaniała rodzina*. Jedyne rym, jaki przychodził mi do głowy, to bzdurna i urna, jednak skoro pani Farmer nie wie, że Rose nie żyje, nawet tego nie mogłem użyć. Na matematyce przerabialiśmy ułamki i chociaż zwykle jestem z tego dobry, motylki przeniosły mi się z brzucha do mózgu i wszystkie myśli mi trzepotały

Pani Farmer powiedziała *Załóżcie kurtki i idźcie na boisko*, a wtedy Daniel i Ryan wybiegli z budynku i nawet nie zerknęli na listę. Wiedzieli, że zostaną wybrani, bo byli jedynymi uczniami naszego rocznika, którzy dostali się do drużyny w zeszłym sezonie. Nie chciałem wyglądać, jakbym patrzył na listę, więc poszedłem do biblioteki i zabrałem z półki pierwszą książkę, nie patrząc nawet na tytuł. Wpatrywałem się w kartkę na tablicy: widniało na niej jedenaście nazwisk, a pod spodem trzech rezerwowych. Zbliżyłem się do tablicy, gwizdząc pierwszą piosenkę, jaka przysłała mi do głowy: *Courage To Fly*. To dlatego, że tata puszczał ją na okrągło wtedy, gdy jechaliśmy do St. Bees.

Pismo było zakręcone, niemożliwe do odczytania, więc zrobiłem krok do przodu. Teraz rozpoznawałem wielkie litery na początku każdej linijki, dwie z nich to były J.

Podszedłem bliżej, nadal wydymając usta, chociaż przestałem już gwizdać. Przeczytałem siódme imię na liście. James.

James. James Mabbot. Młodszy o rok. A więc nie zostałem nawet rezerwowym.

Wybiegłem na boisko, otworzyłem drzwi kopniakiem, ruszyłem po schodach w dół, obiegłem narożnik i wpadłem prosto na Sunyę. Książka z biblioteki poszybowała w powietrze, a potem prześlizgnęła się po żwirze. Sunya podniosła ją i spojrzała na okładkę. Napisany dużą, czarną czcionką tytuł brzmiał „Cud istnienia: o jajeczkach, spermie, narodzinach i niemowlętach”. Zaczęła się śmiać, więc wyrwałem jej książkę.

Wieczorem usiadłem na parapecie z Rogerem zwiniętym w kłębek u moich stóp i czytałem o cudzie istnienia. Autor ciągle powtarzał, jaki to jestem wyjątkowy i jedyny w swoim rodzaju, bo istniała jedna szansa na milion trylionów, że stanę się mną. Gdyby ten jeden plemnik mojego taty nie spotkał akurat w tamtym momencie jednego z jajeczek mojej mamy, byłbym kimś zupełnie innym. Jak dla mnie, nie było w tym żadnego cudu. Raczej pech.

Nie będziesz głupio wyglądał, powiedziała Sunya, gdy już znalazła mnie pod szatnią. Byłem zbyt przestraszony, żeby wejść do środka, *jesteś przecież Spider-Manem*. Chciałem powiedzieć, że Spider-Man nie uprawiał sportu, ale ona starała się tylko być miłą, więc się nie odezwałem. *A poza tym, masz magiczny pierścień*. Spojrzałem na owinięty wokół środkowego palca Blu-Tack i dotknąłem białego kamyka. Poczułem się odrobinę lepiej. *Pójdzie ci wspaniale*, uśmiechnęła się Sunya. Wzięłem głęboki oddech i otworzyłem drzwi.

Zanim Daniel został zawieszony w prawach ucznia na trzy dni, był kapitanem drużyny. Teraz patrzył z zazdrością, jak dyrektor omawia strategię gry z Ryanem. Ryan cały czas potakiwał, miał poważnie założone ręce, i trzymał piłkę przy stopie tak, jakby się z nią urodził. Daniel siedział wściekły na ławce i machał prawą nogą. Na mój widok pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć, że pozwolono mi wejść do szatni, a co dopiero mówić o wstąpieniu do drużyny. Zignorowałem go i wyjąłem z worka spodenki.

Na podłodze leżała sterta koszulek. Wybrałem taką z długim rękawem, żeby zakryła mój tiszert ze Spider-Manem. Dyrektor kazał nam stanąć w kółku, a wtedy dwaj chłopcy objęli mnie ramionami i musiałem przygryźć wargę, żeby się nie uśmiechnąć. *To najważniejszy mecz w tym sezonie*, powiedział dyrektor, a wszyscy słuchali go w milczeniu. Nikt nawet nie oddychał, tylko patrzyliśmy na niego, jak *mówi*. *Jeśli pobijemy dzisiaj drużynę z Grasmere, znajdziemy się na pierwszym miejscu tabeli*, powiedział, a ja spojrzałem na zawodników i aż mnie serce zabolalo, tak bardzo chciałem, żebyśmy wygrali. *Nie ma z nami dzisiaj niektórych najlepszych graczy, będziemy musieli sobie poradzić z rezerwą*, dodał, a ja nagle stwierdziłem, że podłoga jest niezmiernie interesująca. Wpatrywałem się w nią tak mocno, że nie usłyszałem, co jeszcze powiedział dyrektor.

Z boku boiska stali rodzice i dziadkowie. Wśród brązowych, czarnych i rudych głów zauważyłem jedną różową, jedną zieloną i jedną zakrytą hidzabem. Starałem się wyglądać, jakbym wiedział, co robię, zrobiłem trzy wyskoki do przodu i dziesięć

podskoków do góry w czasie, gdy czekaliśmy na przeciwnika. Potem biegałem wzdłuż lewej strony boiska i udawałem, że kozłuję, chociaż w ogóle nie miałem piłki.

W końcu weszła drużyna z Grasmere. *Kapitanowie wystąp*, powiedział sędzia i Ryan wystąpił, a Daniel aż poczerwieniał z zazdrości. Ryan powiedział *Orzełek*, a sędzia oznajmił *Jest reszka*, więc to tamta drużyna miała zacząć. Sędzia zagwizdał, a ja po raz pierwszy w życiu zacząłem grać na pozycji innej niż bramkarz.

Pierwsze trzy razy, kiedy miałem piłkę, zostałem zablokowany. Chłopak, który mnie krył wyglądał na trzynaście lat, miał nawet włoski nad górną wargą i wybrzuszenie na szyi, które nazwałbym raczej melonem Adama niż jabłkiem. Był silny, mocny i pachniał dezodorantem jak dorosły mężczyzna. Po pięciu minutach miałem całe ubłocone nogi, rzepka mnie strasznie bolała w miejscu, w którym wcześniej zostałem kopnięty, stopy mi mrowiały w za ciasnych butach, ale i tak czułem się najszcześliwszy na świecie. Mój obrońca był wielki, lecz powolny i z łatwością mogłem go wyminąć.

Przykładałem się do gry mocniej niż kiedykolwiek do czegokolwiek innego i miałem nadzieję, że Jas, Leo i Sunya uważają mnie za dobrego gracza. Zastanawiałem się, czy tata też siedzi gdzieś w tłumie widzów i czy jest ze mnie dumny. Za każdym razem, gdy przejmowałem piłkę, w wyobraźni słyszałem grzmiący głos komentatora. *Wspaniałe podanie Jamesa Matthews'a do bramki albo Matthews okrąża jednego obrońcę, potem kolejnego i jeszcze następnego oraz Nowy zawodnik w drużynie, Matthews, zagrał świetnie pierwszą połowę.*

Po czterdziestu pięciu minutach przegrywaliśmy jeden do zera. Nasz bramkarz wpuścił samobója. Daniel wyzywał go od ciot, które w ogóle nie potrafią grać w piłkę, a Ryan się śmiał, ale ja się do nich nie przyłączyłem. Dobrze wiedziałem, jak to jest być bramkarzem przegrywającej drużyny, Zjedliśmy przepyszne cząstki pomarańczy, po których ręce zaczęły mi się kleić, a potem trzeba było wyjść na drugą połowę.

Mieliśmy mnóstwo okazji, jednak nie strzeliliśmy ani jednej bramki. Daniel uderzył w słupek. Ryan trafił w poprzeczkę główką z mojego narożnika. W żołądku czułem pęczniejący balon paniki, bo mieliśmy coraz mniej czasu. A potem chłopak o nazwisku Fraser przewrócił się w bramce i sędzia ogłosił rzut karny. Daniel chciał strzelać, ale Ryan powiedział *Nie, ja to zrobię*. Trafił w górny prawy róg siatki, po czym pobiegł w stronę widzów z rękoma uniesionymi nad głową, a wszyscy pobiegli za nim. Zanim do nich dotarłem, skończył się popis radości i musiałem pędzić ile sił w nogach na lewą stronę boiska, żeby zdążyć, zanim przeciwnik wybije piłkę. Nie miałem już siły, ale jakimś cudem dalej biegałem. Chociaż bolały mnie stopy, nie dałem za wygraną ani na moment. Dyrektor chodził w tę i we w tę wzdłuż boiska, błocąc sobie swoje wypolerowane buty i krzyczał coś, czego nie słyszałem. W głowie huczała mi krew i czułem to, co słyszy się, gdy się przystawi do ucha muszle. Sędzia spojrział na zegarek i wiedziałem, że do końcowego gwizdka została już tylko minuta i nagle dostałem pitkę i wyminąłem obrońcę. Znajdowałem się na granicy pola karnego, nadal miałem w posiadaniu piłkę, a przede mną został już tylko bramkarz. Komentator powiedział *Jamie Matthews ma okazje do strzelenia bramki, która zapewniłaby jego drużynie zwycięstwo*, a ja pomyślałem o mamie i tacie, o Jas i Sunyi i lewą nogą kopnąłem piłkę najmocniej jak potrafiłem.

Dalej wszystko działo się jak na zwolnionym filmie. Bramkarz skoczył. Jego stopy

oderwały się od ziemi. Wyprostował ręce. Siatka zachwiała się. Tłum wyrzucił ręce do góry. Piłka wpadła do bramki.

Piłka wpadła do bramki. Wpatrywałem się w siatkę bez mrugnięcia okiem i nawet się nie poruszyłem, bojąc się, że to tylko sen i że za chwilę się obudzę. Zniknął szum muszli, teraz słyszałem krzyki, oklaski i wiwaty, a co najlepsze, wszystko to było przeznaczone dla mnie. Nie wiedzieć czemu przyszła mi do głowy tamta książka z biblioteki i poczułem się wyjątkowy i jedyny w swoim rodzaju, co może nie wyglądało jak cud, ale też nie było tak zupełnie pozbawione magii. Setki rąk pociągnęły mnie ku ziemi. Wszyscy gracze skoczyli na mnie i chociaż twarz miałem wciśniętą w błoto i cały przemokłem od wilgotnej ziemi, zupełnie mi to nie przeszkadzało. W tamtej chwili nie chciałbym się absolutnie z nikim zamienić, ze wszystkich miejsc na świecie pragnąłem znajdować się właśnie na boisku szkolnym, zmiażdżony do utraty tchu przez dziesięciu wrzeszczących kolegów z drużyny.

Dziewięciu wrzeszczących kolegów z drużyny, bo Daniel nie przyłączył się do wiwatów. Zdałem sobie z tego sprawę dopiero po tym, jak się podniosłem, a sędzia zagwizdał koniec meczu. Daniel stał sam na środku boiska i nawet nie wyglądał na zadowolonego ze zwycięstwa.

Sunya skandowała moje imię i pocałowała pierścionek na palcu. Popatrzyłem dookoła, szukając taty i też pocałowałem swój pierścionek. Sunya pomachała mi i odbiegła, a balon w żołądku zrobił się jeszcze większy, ale tym razem było to całkiem miłe, zupełnie jak rękawek do pływania, materac wodny, czy cokolwiek innego, co unosi na wodzie. Ramiona mi się poszerzyły, klatka piersiowa urosła i po raz pierwszy koszulka Spider-Mana wydawała się mieć idealny rozmiar.

Do chłopaków podeszli rodzice i przez mikrosekundę nie wiedziałem, co mam robić. Nadal się uśmiechałem, jednak poczułem nagle, że bolą mnie policzki, usta mam spękane i wysuszony język. Utrzymałem uśmiech na twarzy, bo nie chciałem, żeby cokolwiek - nawet fakt, że beknięcie taty oznaczało *nie* - zepsuło mi tę magiczną chwilę. Jas i Leo całowali się, lecz oderwali się od siebie i pomachali do mnie. Puściłem się biegiem w ich stronę. Jas nie przestawała powtarzać, jakim jestem bohaterem, nawet lepszym niż Wayne Rooney, a Leo znów uściśnął mi dłoń. Tym razem dobrze wiedziałem, jak się zachować. *Nie najgorsza bramka jak na rybę*, powiedział Leo, a ja odparłem *Lepsza niż byłby w stanie strzelić jeź*, a wtedy on zaśmiał się, ale tak normalnie, a nie na sztuczny, dorosły sposób, i błysnęło srebro kolczyków w wardze i języku.

Inne rodziny gapily się na różowe włosy Jas i zieloną czuprynę Leo, ich czarne czarne ubrania i białe białe twarze. Odpowiedziałem im takim samym spojrzeniem i patrzyłem, dopóki nie odwrócili wzroku. Czuję się odważny i niezłomny, jakbym mógł pokonać nawet Zielonego Goblina ze Spider-Mana, gdyby właśnie wbiegł na nasze boisko. Jas powiedziała *Do zobaczenia w domu*, a Leo rzucił *To na razie, mały* i zostałem sam. Otworzyłem oczy najszerzej jak tylko się dało, żeby zarejestrować każdy, nawet najmniejszy szczegół mojego najlepszego dnia w życiu. Zobaczyłem błoto na kolanach, siatki powiewające na wietrze i obrońcę, którego pokonałem, a który szedł ze zwieszonymi ramionami i to z mojego powodu. Uśmiechnąłem się skrycie do lwa na niebie i mogę przysiąc, że usłyszałem jego ryk.

Dyrektor powiedział *Dobra gra*, ścisnął mnie za ramię, dodał *Fantastyczna bramka* i zmierzwił mi włosy. A gdy sądziłem, że już nie może być lepiej, wszedłem do szatni i wszystkie chłopaki, oprócz Daniela, uśmiechnęli się do mnie, mówiąc *Świetne uderzenie*, *Boski mecz* albo *Nie wiedziałem, że masz taką mocną lewą nogę*. Bramkarz krzyknął nawet *Jamie Matthews, bohater meczu*, bo dzięki mojej bramce wszyscy zapomnieli o jego błędzie i już nikt nie nazywał go *Ciotą*. Parę osób przytaknęło, a Daniel prychnął i wymaszerował wściekle z szatni. Sądziłem, że poszedł do domu, ale kiedy na twarz padł mi pierwszy cios, zrozumiałem, jak bardzo się myliłem.

Znajdowałem się jakieś osiemset metrów od szkoły, na cichej ulicy. Wokół nie było żywej duszy. Daniel musiał czekać pod szatnią i śledzić mnie w drodze do domu. Nie słyszałem, jak się skrada, bo w głowie prowadziłem rozmowę z mamą, opowiadałem jej o meczu, mówiłem *Nie płacz. Jestem pewien, że następnym razem pan Walker cię puści*.

Poczułem stuknięcie w plecy, a kiedy odwróciłem się, zobaczyłem pięć kostek. Walnęły mnie w twarz, a gałka oczna uderzyła mi o tył czaszki jak o ścianę. Ręce poszybowały mi ku głowie, a wtedy czyjaś noga kopnęła mnie w brzuch i upadłem na ziemię. Noga kopała mnie po udzie, łokciu, a potem żebrach. W ustach czułem metaliczny smak, to musiała być krew.

Odwróciłem się, żeby chronić brzuch, a wtedy Daniel grzmotnął mnie na plecy. Chwycił mnie za włosy i zaczął potrząsać, aż krew trysnęła na chodnik. Krzyczał mi prosto do ucha *To za to, że miałem przez ciebie kłopoty u dyrektora*. Próbowałem odpowiedzieć, ale usta miałem pełne krwi, wnętrzności i czegoś twardego, co mogło być zębem. Powiedział *Jesteś kutas* i *Wszyscy cię nienawidzą* oraz *Jeden przypadkowy gol niczego nie zmieni*. A ja leżałem tylko i słuchałem, dopóki nie powiedział *Wracaj do Londynu i zabierz ze sobą tę swoją pogankę*. Nie wiedzieć czemu, to słowo rozwścieczyło mnie tak, że próbowałem wstać, tylko ciało odmówiło mi posłuszeństwa.

Daniel nadepnął mi na palce i uciekł. Leżałem na chodniku, patrząc jak jego tenisówki znikają za rogiem. Bolały mnie wszystkie kości, w głowie mi pulsowało i czułem, że ogarnia mnie zmęczenie. Zamknąłem oczy i skupiłem się tylko na tym, żeby oddychać. Powietrze wpływało ze świstem do moich nozdrzy i wypływało z takim samym dźwiękiem. Musiałem zasnąć, bo następną rzeczą, jaką pamiętam, było czarne niebo, ciemny zarys gór i widok czarnych, szpiczastych drzew na tle jasnego księżyca.

Pokuśtykałem do domu. Na podjeździe nie zauważyłem niebieskich kogutów, nie widać też było auta mamy. Nie miałem pojęcia, która jest godzina, ale wiedziałem, że musi być późno i pomyślałem sobie, że tata mógł się zaniepokoić i podzwonić tu i tam.

Otworzyłem drzwi wejściowe i nasłuchiwałem. Jas pędzącej po schodach na dół oraz taty krzyżącego *Gdzieś ty u licha się podziewał*. W hallu panowała cisza. Spod drzwi do salonu sączyło się szare światło, więc ruszyłem w tamtą stronę, czując ból z każdym krokiem. Tata spał na sofie, na kolanach miał otwarty album i w świetle rzucanym przez włączony telewizor zobaczyłem zdjęcie Rose. Miała na sobie sukienkę w kwiatki, sweterek i płaskie buty ze sprzączkami. Wpatrywałem się długo w tatę i chociaż miałem obite ciało, a oko mi spuchło tak, że podwoiło swój rozmiar, czułem się niewidzialny jak nigdy wcześniej. Jak się okazuje, to wcale nie jest taka fajna umiejętność.

Telewizor miał wyłączony dźwięk, ale i tak zauważyłem, że pojawiła się ta reklama. Największy Brytyjski Talent. Mnóstwo dzieci tańczyło bezgłośnie, miały radosne, uszczęśliwione twarze, a na widowni siedzieli rodzice i je oklaskiwali. A kiedy na ekranie ukazał się symbol telefonu, wokół którego zatańczyły słowa *Zadzwoń pod ten numer, by całkowicie odmienić swoje życie*, chwyciłem za leżący na kominku długopis i zapisałem cyfry na obolałej dłoni.

Wychodzi na to, że nie spałem wcale tak długo na chodniku. Teraz tak szybko robi się ciemno, że trudno określić, która jest godzina. Było dopiero wpół do siódmej, kiedy wyłączyłem telewizor, zostawiłem tatę w salonie i poszedłem do siebie. Ledwo wszedłem do pokoju, a Roger zeskoczył z parapetu i zaczął ocierać się o moje siniaki. A więc chociaż ktoś cieszył się na mój widok. Chociaż ktoś cieszył się, że wróciłem do domu żywy. Nagle przed oczami stanął mi obraz Rogera, który wybiera łąpą numer 999 i swoim pyszczkiem zgłasza moje zaginięcie. Uśmiech przesunął moje policzki ku oczom i zabolalo tak, że nigdy byście nie uwierzyli.

Jas wróciła dwadzieścia po dziesiątej. Drzwi zaskrzypiały powoli, od razu poznałem, że próbuje wejść do domu niepostrzeżenie i trzymałem kciuki, żeby jej się udało. Usłyszałem ciężkie kroki, a potem krzyk. Naciągnąłem kołdrę na uszy i zacząłem naprawdę głośno nucić. Tata brzmiał tak, jakby był pijany.

Powtarzał w kółko *Gdzieś ty była*, a Jas powiedziała *Spotkałam się z koleżankami*, co oczywiście było kłamstwem. Nie miałem jej jednak za złe, że nie chce mówić o Leo. Tacie nie spodobałoby się, że ma chłopaka, zwłaszcza zielonowłosego. Zapytał *Dlaczego nie zadzwoniłaś*, a ja usłyszałem słowa, które Jas chciała wypowiedzieć. Widziałem, jak przelatują jej przez głowę, ale powiedziała tylko *Następnym razem zadzwonię*, na co tata odparł *Nie będzie następnego razu. CO TAKIEGO* zawołała, a tata powiedział *Masz szlaban*.

To było tak głupie, że wybuchnąłbym śmiechem, gdyby nie to, że starałem się nie ruszać twarzą, bo zbyt mnie bolała. Tata od miesiący się nami nie zajmował. Nie zrobił nam nawet herbaty, nie zapytał, jak nam minął dzień, nie mówiąc o tym, że dotąd w ogóle nas nie ochrzanią!. Jas musiała zareagować podobnie, bo tata powiedział *Zabieraj ten głupkowaty uśmieszek*. A wtedy krzyknęła *Nie możesz dać mi szlabanu*, na co tata powiedział *Skoro zachowujesz się jak małe dziecko, tak właśnie będę cię traktował*. Jas powiedziała *Jestem bardziej dorosła niż ty kiedykolwiek będziesz*, a on odparł *Idiotyzm. Wcale nie*, szepnąłem Rogerowi do ucha. Zamruczał, a jego wąsy polaskotały mnie w usta. Leżał zwinięty obok, a jego ciało dotykało mojego niczym futrzany termofor. Na dole zapanowała cisza, pełna słów, których Jas nie mogła powiedzieć.

Kiedy Lukę Branston był moim przyjacielem przez cztery dni, obejrzelśmy horror pod tytułem Candyman. To film o facecie z hakiem zamiast ręki, który pojawia się wtedy, gdy człowiek patrzy w lustro i wypowiada pięć razy jego imię. Od czasu obejrzenia tego filmu, wielokrotnie miałem ochotę wypróbować, czy to działa. Nie-kiedy podczas mycia zębów mówię *Candyman Candyman Candyman Candyman Candy...* i nigdy nie kończę, tak na wszelki wypadek.

Z tatą jest podobnie. Nikt nigdy nie wspomina o jego picciu. Jas nie rozmawia o tym ze mną, a ja nie rozmawiam z nią i nigdy nie rozmawiamy na ten temat z tatą. Boję się. Nie wiem, co by się stało, gdybyśmy wypowiedzieli głośno słowo PIJANY.

Trochę żałowałam, że nie wykrzyczała mu tego w twarz. Rogerowi zrobiło się za gorąco i wyskoczył z łóżka. Zegar kościelny zabił jedenaście razy, a ja wyobraziłem sobie starego człowieczka, który ciągnie za sznur w wieży zegarowej pod gwiazdami. Na dole nadal trwała cisza. Przygryzłem wargę i wtedy zauważyłem szparę. Daniel wybił mi ostatniego mleczaka.

Kroki na schodach przerwały ciszę. Poczulem jednocześnie ulgę, ale i rozczarowanie. Drzwi do mojego pokoju otworzyły się i weszła Jas, rzucając torbę na podłogę. Usiadła na moim łóżku i rozplakała się. Czarne od makijażu łzy zostały jej na policzkach ciemne smugi. Przytuliłem ją, wyczuwając kośćistość jej pleców. *Ja już dłużej nie mogę*, szepnęła, a mnie aż zmroziło. To samo powiedziała mama, zanim odeszła. Chwyciłem Jas za rękę, myśląc o latawcu na plaży w St. Bees, o tym jak szarpał i okręcał się, próbując się uwolnić. Wsunąłem palce pomiędzy palce mojej siostry i przytrzymałem ją mocno. *Wszystko się zmieni*, powiedziałem. *Jakim cudem*, zapytała. *Nie martw się*, odparłem, *mam plan*.

Ale zanim zdołałem jej powiedzieć o Największym Brytyjskim Talencie, złapała swoją torbę i ją otworzyła. *Masz*, powiedziała podając mi pojemnik. *Dla twojej koszulki. Żebyś nie musiał jej zdejmować*. Dezodorant. Od razu przypomniałem sobie tamtego chłopaka na boisku, który pachniał jak dorosły mężczyzna i cały się nim popsikałem. *Lepiej*, zapytałem. *O wiele*, odparła z cieniem bladego uśmiechu na twarzy. *Już naprawdę zaczynałeś śmierdzieć*.

Pani Farmer weszła do klasy i pierwsze, co zrobiła, to przesunęła anioły członków drużyny na wyższe chmurki. Ponieważ aniołek Daniela został zniszczony, napisała jego imię na samoprzylepnej karteczce i umieściła na pierwszej chmurce. Sunya próbowała przyciągnąć mój wzrok, ale ją ignorowałem. Po tym, co zrobił mi Daniel, bałem się go rozzłościć.

Mój anioł podskoczył o dwa miejsca, ponieważ strzeliłem zwycięską bramkę, i teraz znajduje się na trzeciej chmurce. Pani Farmer powiedziała *Wstańcie, chłopcy* i wstaliśmy, a ona powiedziała *Jesteście wszyscy o jeden stopień bliżej nieba* i cała klasa zaczęła klaskać. Popatrzyła na mnie dziwnie i pokręciła głową, postanawiając, że powstrzyma się od komentarzy. Mam sino-zielone oko, spuchnięte dookoła i posiniaczone.

Przy śniadaniu Jas zapytała *Co się stało z twoją twarzą*, a wtedy odparłem *Dostałem łokciem w czasie meczu*. Chciałem jej powiedzieć o Danielu, ale wydawała się taka smutna, nie chciałem jej martwić jeszcze bardziej. Zastanawiałem się, czy tata zapyta o wynik, lecz on tylko krzywił się, słuchając radia. Jas podniosła wzrok znad laptopa. *Źle się czuję*, mruknęła i wróciła do łóżka. Wychodząc z kuchni, zauważyłem otwarty horoskop na ekranie jej komputera. Przeczytałem *Przygotuj się na wielką niespodziankę*. Pewnie się przestraszyła.

W czasie geografii Sunya zagadywała mnie o mecz. Ciągle wspominała gola, którego strzeliłem i powtarzała, że to była najlepsza bramka, jaką widziała, włącznie z tymi w telewizji i że wiedziała, że pójdzie mi świetnie, bo przecież jestem Spider-Manem. Ja jednak, z całym ciałem obolałym pod koszulką i rękawami mającymi mi się wokół dłoni, czułem, że Spider-Man jest mi tak odległy jak nigdy wcześniej. A kiedy dodała, że jej zdaniem dyrektor powinien ustanowić mnie kapitanem drużyny na

następny mecz, kazałem jej się zamknąć. *Co powiedziałaś*, zapytała, a ja odparłem *Nie masz pojęcia o piłce nożnej*. Jej oczy zwęziły się tak, że przypominały szparki, a usta zacisnęły się w wąską linię, jakby ktoś namalował ją dobrze naostrzonym ołówkiem.

Nie odzywała się do mnie przez cały angielski i apel i wcale nie klaskała, gdy dyrektor przyznał mi tytuł Zawodnika Meczu. To powinna być najlepsza chwila w moim życiu, ale czułem się jak Dominik z mojej starej szkoły w Londynie. Dominik jest niepełnosprawny i za każdym razem, kiedy cokolwiek mu się udawało, nawet napisać własne imię wielkimi kulfonami, wszyscy wołali *Ooo* albo *Super*, jakby napisał powieść czy coś w tym stylu. Tak właśnie się czułem, gdy dyrektor opisał mój strzał, jakby nie miało to znaczenia dla nikogo, oprócz dziwacznego rudzielca, który zdaniem całej szkoły był zbyt wielkim kretynem, żeby grać w piłkę.

W czasie przerwy podszedłem do naszej ławki. Nie spodziewałem się, że Sunya będzie na niej siedziała. Myślałem, że jest wściekła. A jednak tam była, z nosem uniesionym wysoko, stukająca stopą w ziemię. Oczy miała tak czarne jak hidżab na głowie, a trzy pojedyncze włoski powiewały jej na wietrze. Powiedziała *Nie zwracam na ciebie uwagi*, a wtedy zapytałem *Dlaczego więc ze mną rozmawiasz*, na co odparła *Tylko po to, żebyś wiedział, że nie zamierzam z tobą rozmawiać do końca dnia*. Powiedziałem *Przykro mi*, na co powiedziała *Powinno ci być przykro*, a ja oznajmiłem *Myślałem, że ze mną nie rozmawiasz* i wtedy uderzyła mnie w nogę. Nie powinno zaboлеć, a jednak. *Zakląłem* głośno i położyłem ręce na udzie. Wtedy Sunya przeniosła wzrok z mojej nogi na oko, a potem na zadrapania na ręce i szczęka jej opadła. Zeskoczyła z ławki, mówiąc *Chodź*. Chusta powiewała jej z jednej strony na drugą, a bransoletki pobrzękiwały, gdy maszerowała w dół zbocza, którego wcześniej w ogóle nie widziałem. Ścieżka prowadziła do zielonej szopy za szkołą.

Gdzie jesteśmy, zapytałem, kiedy Sunya rozejrzała się dookoła, w potem chwyciła za klamkę ukrytych drzwi. Wszedłem za nią do środka, mrugając kilkakrotnie, żeby wzrok przyzwyczaił mi się do ciemności. W pomieszczeniu czuć było zapach pajęczyn i błota. *To magazyn gimnastyczny*, powiedziała, zamykając drzwi i usiadła na wielkiej piłce. *Chowałam się tu zawsze, kiedy wyzywali mnie od pogańskiej pluskwy*, oznajmiła. Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc podniosłem piłeczkę tenisową i zacząłem odbijać ją od ziemi. Sunya wyciągnęła rękę i zabrała mi piłkę. *Co się stało, Jamie*, zapytała. Próbowałem się śmiać, ale zabrzmiało to sztucznie. Odczekała, aż spoważnieję i powtórzyła szeptem *Co się stało*.

Gorąca krew napłynęła mi do twarzy i poczułem pulsowanie w sińcach. Chciałem jej wszystko powiedzieć, ale zbyt się wstydzilem. Gruba opiekunka zagwizdała na koniec przerwy, a wtedy odwróciłem się do drzwi. Sunya chwyciła mnie za rękę, a ja opuściłem wzrok. Moje białe palce wyglądały fajnie w jej ciemnej dłoni. Sunya wstała. Stała teraz tak blisko, że widziałem maleńki pieprzyk tuż nad jej wargą, którego wcześniej nigdy nie zauważyłem. Opuściła moją rękę i położyła palce na prawym rękawie mojej koszulki, Krzyknąłem *ZOSTAW*, ale odsunęła materiał powoli i delikatnie, jakby wiedziała, że cała ręka mnie boli. A kiedy zobaczyła sińce nad łokciem, w jej oczach pojawiły się łzy. *Daniel*, zapytała. Skinąłem głową.

Znów rozległ się dźwięk gwizdka, więc nie mogliśmy już rozmawiać. Wyszliśmy ukradkiem z szopy, wspięliśmy się na wzgórze i niepostrzeżenie dołączyliśmy do

reszty. Przez całą historię i przyrodę Sunya wpatrywała się w Daniela, aż się bałem, że powie coś, co tylko pogorszy sytuację. Jednak zdawała sobie chyba sprawę z tego, co czuję, bo nie odzywała się, a w czasie przerwy obiadowej znów schowaliśmy się w magazynie.

Podobało mi się tam. Było to ciche, fajne, tajemne miejsce. Siedzieliśmy na macie, jedliśmy razem kanapki, a ja opowiedziałem jej o bójce. Przygryzała wargę, kręciła głową, a w najbardziej dramatycznych miejscach, przeklinała. Powiedziała *Zemścijmy się na nim*, a ja odparłem *Daj spokój*, a wtedy ona powiedziała *Przecież nazwał cię kutasem. Pobił cię. Musimy coś zrobić*. Już się bałem, że chce naskarżyć nauczycielce, ale ona powiedziała *Moi bracia stłuką mu głowę*. Sunya wie, że moim zdaniem nauczyciele tylko pogarszają sprawę. Pomyślałem o tym, jak Daniel zostaje skopany przez starszego chłopaka i jednocześnie była to miła i paskudna myśl. Chciałem, żeby dostał manto, ale jednocześnie pragnąłem być na tyle odważny, żeby spuścić mu je samemu.

Na chwilę zapanowała cisza, jadłem okruszki kanapki, a Sunya wpatrywała się w moją koszulkę ze Spider-Manem. Dotknęła jej ręką, przybrała zamyślony wyraz twarzy, a ja wiedziałem, o co zapyta. Tym razem słowa takie jak Mama i Romans, Tata i Picie wcale nie były tak wielkie, by nie przejść mi przez usta.

Powiedziałem jej prawie wszystko. Nie przerywała. Tylko słuchała i kiwała głową. Opowiedziałem o butelkach taty w koszu na śmieci i o tym, jak mama wyprowadziła się do Nigela. Powiedziałem, jak mama zapomniała o moich urodzinach i z jaką radością przywitałem dwa dni później prezent, jaki mi przysłała. Na pokrytej kurzem posadzce magazynu napisałem to, co mama zamieściła w przypisku na kartce z życzeniami i Sunya zgodziła się, że mama zapewne wkrótce mnie odwiedzi. Zrozumiała też, kiedy wyjaśniłem, dlaczego nie mogę zdjąć koszulki, dopóki mama do mnie nie przyjedzie.

Przez cały czas, gdy mówiłem, wpatrywałem się w złoty kwadrat światła pod drzwiami do naszej kryjówki. A kiedy Sunya odezwała się, popatrzyłem na jej twarz. Uśmiechnęła się, więc i ja się uśmiechnąłem, a nasze ręce dotknęły się i przeszył mnie gorący dreszcz. Zaczęło padać, ale stukot kropli na dachu nie był w stanie zagłuszyć BUM, jakie robiło moje serce. Chciałem przyjrzeć się pieprzykowi Sunyi, więc pochyliłem się do przodu i spojrzałem na brązową kropkę nad jej wargą. *To przesąd*, powiedziała głosem odrobinę wyższym niż zwykle. Przysunąłem się jeszcze bliżej, aż jej oddech łaskotał mnie w twarz. *Przesąd*, powtórzyła szeptem. *To co masz*. Mój nos już prawie dotykał jej trzech błyszczących kosmyków, gdy zapytałem *Prze-co*, a ona powiedziała *ci piłkarze, co strzelają gole i muszą na każdy mecz zakładać te same przepocone majtki, bo przynoszą im szczęście*. Wtedy zaczęliśmy chichotać i pieprzyk zniknął, bo usta Sunyi rozciągnęły się w uśmiechu.

Nagle poczułem, że nasze twarze znajdują się zbyt blisko siebie, więc wstałem i zacząłem szukać jakiejś piłki. Znalazłem w kącie magazynu i trochę pokopałem. Sunya odezwała się. *Opowiedz mi o siostrze*, a ja walnąłem piłkę zbyt mocno i uderzyła w drzwi. *Ma różowe włosy*, odparłem, a ona powiedziała *Chodziło mi o tę drugą*.

Sunya jest muzułmanką, a muzułmanie zabili moją siostrę, Nie wiedziałem, co powiedzieć. Już chciałem skłamać, tylko wcale mi się to nie podobało, żalowałem, że Rose po prostu nie utonęła albo nie spłonęła, byłoby mi łatwiej wyjaśnić. A potem

zaczęłam się śmiać, bo ten żal był taki idiotyczny, a Sunya przyłączyła się do mnie i nie mogliśmy przestać.

Przez śmiech udało mi się wypowiedzieć cztery słowa. *Moją siostrę zabili muzułmanie*. Sunya nie wydawała się zszokowana, nie powiedziała *Przykro mi*, ani nie starała się przybrać smutnej miny, jak wszyscy, którzy się o tym dowiadywali. Powiedziała *To wcale nie jest śmieszne, wcale nie jest śmieszne*, po czym śmiała się jeszcze głośniejszym głosem, trzymając się pod boki, a po ciemnych policzkach płynęły jej łzy. Ja też się śmiałem i po raz pierwszy od pięciu lat miałem mokre oczy. Zastanawiałem się, czy to właśnie miała na myśli tamta pani psycholog, kiedy powiedziała *Któregoś dnia dotrze to do ciebie, a wtedy będziesz plakat*. Miałem wrażenie, że jednak nie chodziło jej o łzy ze śmiechu.

Lubię smak kopert, więc polizałem błyszczący pasek pięć razy, zanim sklepiłem obie części. Wyobrażałem sobie, jak mama otwiera list w domu Nigela, dotykając palcami mojej zaschniętej śliny i od razu zrobiło mi się miło. Pani Farmer powiedziała nam, że to bardzo ważne, żeby nasze mamy i tatusiowie przyszli na grudniowe zebranie szkolne. Powiedziała *To ich ostatnia szansa, żeby ze mną porozmawiać, zanim skończycie naszą szkołę. Przyjdźcie z mamą, ale zabierzcie z sobą także i tatę.*

Wziąłem dwa listy ze stosu w klasie, jeden prze-kazałem tacie, a drugi wysłałem mamie. Dopisałem jeszcze dwa zdania najładniejszym pismem, na jakie mnie było stać, starannie łącząc litery. *Spotkamy się pod moją nową szkołą, Ambleside Church of England Primary, 13 grudnia o 15.15. Proszę, nie zabieraj Nigela.* Chciałem jeszcze dodać *Będę miał na sobie koszulkę ze Spider-Manem*, jednak się rozmyśliłem. Niech to będzie niespodzianka. Starannie złożyłem kartki, które wydarłem z bloku rysunkowego i włożyłem do koperty. Obrazek przedstawiający mnie oraz rysunek złotej rybki. Mamie się ogromnie spodobają.

List wpadł do skrzynki, a ja poczułem podekscytowanie. Do zebrania zostały dwa tygodnie, to mnóstwo czasu, żeby mama poprosiła pana Walkera o dzień wolny. Na pewno będzie chciała przyjechać. Mama zawsze powtarza, jak ważna jest szkoła i że dobre oceny to podstawa. Powiedziała *Teraz ciężko pracuj, a w późniejszym życiu będziesz czerpał z tego korzyści.* Postaram się teraz bardzo przed trzynastym grudnia, żeby pani Farmer mogła powiedzieć o mnie mnóstwo dobrych rzeczy.

Wysłałem list i usiadłem na murku przy poczcie, żeby zaczekać na Sunyę. Miałem wyrzuty sumienia, że zostawiłem tatę, bo rano zapytał, co chcę robić. *Masz jakieś plany na dzisiaj*, powiedział, a ja mało się nie udławiłem płatkami. Wybąkałem *Spotykam się z przyjaciółmi*, a tata odparł *Och* z takim rozczarowaniem w głosie, że poczułem się, jakbym zrobił coś złego. Co było prawdą, bo miałem zjeść lunch z muzulmanką, ale tata o tym nie wiedział. Powiedział *Myślałem, że moglibyśmy wybrać się na ryby*, a wtedy Jas wypiła wielki haust herbaty i poparzyła sobie język.

Powiedziałem *Przepraszam*, a tata odparł *Tylko wróć przed piątą, przygotuj podwieczorek.* Jas wachlowała sobie język ręką, a oczy miała szerokie jak spodki ze zdziwienia.

Po awanturze z Jas tata jest w dużo lepszej formie. Chyba zdał sobie sprawę, że nie za bar-dzo się nami zajmuje. Nadal pije, jednak już nie rano i cztery razy w tym miesiącu odwiózł nas do szkoły. Zaczął nawet wypytywać mnie o lekcje i takie tam. Co prawda, nie zawsze wysłuchuje moich odpowiedzi, ale i tak lubię mu opowiadać. Kiedy powiedziałem mu, że strzeliłem zwycięską bramkę w meczu i moja drużyna zajmuje dzięki temu pierwsze miejsce w tabeli ligowej, stwierdził *Czemu mi nie powiedziałeś, przyszedłbym ci pokibicować*, co było denerwujące, ale i miłe. Kiedy to powiedział, Jas malowała sobie właśnie paznokcie i tylko pokręciła głową i mrugnęła do mnie, po czym zaczęła dmuchać na lakier, żeby szybciej wysechł.

To dobrze, że tata się zmienił, bo Jas uznała mój plan za denny. Powiedziałem jej o Największym Brytyjskim Talencie i o tym, że zostawiłem im nasz adres, żeby mogli

przysłać nam informację o castingu. Stwierdziła *Żeby dostać się do Talentu trzeba mieć talent*, a ja powiedziałem *Umiesz śpiewać*, na co odparła *Ale nie tak jak Rose*, co mnie rozzłościło, bo to nieprawda. Kiedy przysłała informację pokazałem ją Jas. Wskazałem datę, piątego stycznia i najbliższe nam miejsce castingu, Manchester Palace Theatre. Jas powiedziała *Ty znowu o tym samym*, na co oparłem, *To może zmienić nasze życie*. Odparła *Przestań pieprzyć* oraz *Wynoś się z mojego pokoju*.

Zauważyłem Sunyę, zanim jeszcze ona zauważyła mnie. Biegła w dół ulicy w stronę poczty. Hidżab powiewał jej za plecami i teraz naprawdę wyglądała jak superbohaterka, pędząca w powietrzu. W piątek na matematyce zapytałem ją, czy kiedykolwiek zdejmuje hidżab, a ona parsknęła śmiechem. Noszę go tylko poza domem, albo gdy mamy gości. Zapytałem *Dlaczego musisz się zakrywać*, a ona odparła *Bo tak mówi Koran. A co to jest Koran*, zapytałem. *To coś w rodzaju Biblii*, wyjaśniła. I tak to właśnie wygląda w kwestii chrześcijan i muzułmanów - jedni i drudzy mają Boga, jedni i drudzy mają swoją księgę. Tylko inaczej je nazywają.

Sunya przybiegła sprintem do skrzynki pocztowej, chwyciła mnie za rękę i pociągnęła z powrotem pod górę, cały czas coś mówiąc. Byłem śmiertelnie zdenerwowany. Nigdy wcześniej nie odwiedzałem domu muzułmanów, bałem się, że będzie śmierdział curry tak, jak tata mówił w Londynie. Bałem się, że jej rodzina będzie się modlić i rozmawiać w obcym języku. I przerażała mnie myśl, że tata Sunyi może robić bomby w swojej sypialni. Tata mówił, że tak właśnie postępują muzułmanie. I chociaż zdziwiłbym się, gdyby ojciec Sunyi okazał się terrorystą, to jednak tata mówił, że nigdy nie wiadomo i że nawet pozornie niewinnie wyglądający ludzie mogą mieć środki wybuchowe ukryte w turbanie.

Ledwo weszliśmy do środka, a na Sunyę rzucił się w podskokach pies. Miał czarno-białą sierść, długie uszy, mokry nos i małe ogon, którym machał jak oszalały. Sammy wyglądał jak normalny angielski pies, a nie jakieś muzułmańskie zwierzę. Westchnąłem z ulgą. Był zwyczajny. Tak jak i cała reszta. Dom Sunyi nie różnił się specjalnie od mojego. W salonie stała kremowa sofa, leżał ładny dywanik, a na kominku stały właściwe rzeczy - zdjęcia, świeczki i wazon z kwiatami, a nie resztkami rodzeństwa. Jedyнным muzułmańskim akcentem w całym pomieszczeniu był obraz wymyślnych budowli z kopułami i wieżyczkami. Sunya powiedziała, że to święte miejsce zwane Mekką, a ja się zaśmiałem, bo tak nazywał się klub bingo niedaleko naszego domu w Finsbury Park.

Najciekawsza okazała się kuchnia. Oczekiwałem zapachu przypraw korzennych i mnóstwa wielkich mis pełnych egzotycznych warzyw. Jednak wszystko wyglądało podobnie jak u nas tylko, że było fajniejsze, bo na półce stały moje ulubione płatki, ale nie było śladu butelek wódki, a kosz na śmieci śmierdział zwykłymi śmieciami.

Mama Sunyi zrobiła nam czekoladowego milkshake'a i włożyła do mojej szklanki zakreconą słomkę. Miała na sobie niebieską chustę, jej oczy przypominały oczy Sunyi, tylko miała jaśniejszą skórę i wolniejszą twarz. Poważniejszą. Twarz Sunyi jest szybka i zmienia się dziesięć razy na minutę. Jej oczy powiększają się i kurczą, pieprzyk podskakuje, brwi się ruszają, kiedy coś mówi. Mama Sunyi jest spokojna, miła i mądra. Ma wyraźnie obcy akcent, nie tak jak Sunya i w jej ustach moje imię brzmi zupełnie inaczej. Ale nie wydaje się być typem osoby, która wyszłaby za męża za terrorystę. Z drugiej

strony, nigdy nie wiadomo.

Wypiliśmy milkshake'i w pokoju Sunyi. Chciało nam się pić, bo skakaliśmy na łóżku, sprawdzając, kto z nas wytrzyma dłużej w powietrzu. Ponieważ jestem Spider-Manem, musiałem dotknąć sufitu i spróbować przykleić się do niego jak długo było to możliwe. A ponieważ Sunya jest Girl M, musiała zatrzepotać hidzabem i postarać się unieść ponad podłogą. Ostatecznie uznaliśmy remis.

Spod różowej chusty Sunyi wydostał się teraz cały wielki pukiel włosów, najwięcej, ile kiedykolwiek widziałem. Były gęste, połyskujące i ładniejsze niż wszelkie włosy w reklamach szamponów, gdzie kobiety potrząsają głowami z jednej strony w drugą. Powiedziałem, że to szkoda, że Koran zmusza ją do zakrywania włosów, jakby to było coś złego. Sunya wysiorbała ostatni łyk swojego napoju czekoladowego i odparła *Nie zakrywam włosów, bo to coś złego. Zakrywam je, bo to coś dobrego*. Nic z tego nie zrozumiałem, więc milczałem, robiąc bąble w czekoladzie. *Mama zachowuje swoje włosy dla taty*, powiedziała, odstawiając szklankę. *Żaden inny mężczyzna nie może ich zobaczyć. Dzięki temu są czymś wyjątkowym. Jak prezent*, zapytałem. *Właśnie*, odparła. Pomyślałem sobie, o ile fajniej byłoby, gdyby mama zachowała swoje włosy dla taty i nie pokazywała ich Nigelowi. *Rozumiem*, powiedziałem.

Sunya uśmiechnęła się. Ja też odpowiedziałem uśmiechem i zacząłem się zastanawiać, co zrobiłyby nasze ręce, kiedy do pokoju weszła jej mama z kanapkami. Część była z serem, część z indykiem, wszystkie pocięte na trójkąty, ale nie mogłem zjeść ani jednej. Zawsze nienawidziłem zabawy w podawanie paczki, ponieważ muzyka nigdy nie zatrzymywała się na mnie i nigdy niczego nie mogłem rozpakować. A hidzab Sunyi wyglądał dokładnie jak różowy papier pakowy, wyobraziłem sobie, jak znika, błyszcząca, idealna, zanim uda mi się zajrzeć pod wierzchnią warstwę.

Sunya miała pełne usta, więc na początku nie rozumiałem, co mówi. Po chwili przełknęła i powtórzyła *Czy tęsknisz za Rose*. To był pierwszy raz od czasu tamtej rozmowy w magazynie dziewięć dni wcześniej, kiedy pojawił się temat mojej siostry. Skinąłem głową, otworzyłem usta i już miałem powiedzieć *Tak*, zupełnie jak robot. Nagle zdałem sobie jednak sprawę, że nikt nigdy nie zadał mi takiego pytania. Zawsze pada *Musisz tęsknić za Rose* albo *Na pewno ci jej brakuje*, ale nigdy nie jest to pytanie. Nikt jeszcze nie dał mi wyboru. Więc przestałem potakiwać i zmieniłem słowo, cisnące mi się na język i powiedziałem *Nie*. A potem uśmiechnąłem się, bo nie stało się nic złego, świat nie rozpadł się na kawałki, a Sunya nie sprawiała nawet wrażenia zszokowanej. Więc powtórzyłem odpowiedź. Tym razem głośniej. *Nie*. A potem poczułem napływ odwagi i rozejrzawszy się dookoła, powiedziałem coś innego. *W ogóle za nią nie tęsknię nic a nic*.

Sunya odparła *A ja nie tęsknię za swoim królikiem*. Zapytałem *A kiedy umarł*, na co powiedziała *Patch został zjedzony przez lisa dwa lata temu*. Zapytałem *Ile lat ma Sammy*, a ona odparła *Dwa. Tata mi go kupił, gdy Patch zginął, bo wiedział, że będę to przeżywać*. To w ogóle nie wyglądało na zachowanie godne terrorysty, a kiedy mijaliśmy sypialnię jej rodziców w drodze do łazienki, nie zauważyłem ani śladu bomb.

Po obiedzie łaziliśmy po drzewach i siadaliśmy na gałęziach, które kołysały się na wietrze. Liście wirowały w ogrodzie, chmury pędziły po niebie, wszystko wydawało się takie świeże i wolne, jakby Ziemia była tylko dużym psem, wystawiającym łeb z okna

pędzącego samochodu. Zapytałem Sunyę, czyjej tata jest Anglikiem, odpowiedziała *Urodził się w Bangladeszu*. Zapytałem *Gdzie to jest*, na co odparła *Koło Indii*. Nie mogłem sobie tego wyobrazić. Najdalej od domu byłem na Costa del Sol w Hiszpanii, gdzie jest cieplej niż w Anglii, ale całkiem podobnie. W restauracjach podają śniadanie angielskie i przez całe dwa tygodnie codziennie jadłem parówki z keczupem. Zapytałem *Jak tam jest*, na co odparła *Nie mam pojęcia, jednak mojemu tacie bardziej podoba się tutaj*. *A czemu się przeprowadził*, zapytałem. *Mój dziadek przyjechał w 1974 roku do Londynu w poszukiwaniu pracy*, odparła. Uznałem, że musiał w tym celu pokonać strasznie długą drogę. *A nie mógł iść do urzędu pracy w Bangladeszu*, zapytałem, a Sunya tylko się zaśmiała. Nagle zapragnąłem dowiedzieć się wszystkiego na jej temat. Wszystkie te pytania rzuciły mi się z głowy do ust i pierwsze, jakie wydostało się na zewnątrz brzmiało *A jak twoja rodzina znalazła się w Lake District*. Sunya zamachała nogami zwisającymi z gałęzi. *Mój dziadek kazał tacie ciężko pracować i nie pakować się w żadne kłopoty, a potem iść na studia medyczne jak najdalej od Londynu*. *Tata pojechał do Lancaster, spotkał mamę, wzięli ślub i się tu przeprowadzili*. *To była miłość od pierwszego wejrzenia*, dodała, po czym spojrzała na mnie, przestając zupełnie machać nogami. Wszystkie pozostałe pytania, jakie chciałem zadać, wyparowały mi z głowy, jak para wodna, o której uczyliśmy się na przyrodzie. *Miłość od pierwszego wejrzenia*, powtórzyłem, a ona pokiwała głową, uśmiechnęła się, a potem zeskoczyła z drzewa.

Do domu wróciłem przed piątą. Kiedy wszedłem do środka, Roger wybiegł na zewnątrz, jakby tylko czekał, aż ktoś go wypuści. W hallu kłębił się gęsty dym. *Mam nadzieję, że lubisz na chrupko*, powiedział tata, gdy pojawiłem się w kuchni. Nakrył do stołu, zapalił świeczkę, a Jas już zajęła miejsce i siedziała w tych swoich wywiniętych, zabawnych włosach z wielkim uśmiechem od ucha do ucha. Nie mogłem uwierzyć, że tata przygotował kolację. Nie miało nawet znaczenia, że kurczak był z wierzchu czarny.

Pieczone ziemniaki okazały się zbyt tłuste, sos za słony, a warzywa zbyt wodniste, ale zjadłem wszystko do ostatniego kęsa, by zrekompensować fakt, że Jas nie tknęła swojej porcji. Zjadłbym nawet Yorkshire puddingi, gdyby nie to, że przywarły do blachy. Było świetnie i nawet rozmawialiśmy, a potem tata zaczął gadać o Sunyi. *Wiedziałaś, że Jamie ma dziewczynę*, zapytał. Jas aż się zapowietrzyła, a ja poczułem ścisk w żołądku. *Niemożliwe*, zapiszczała, a ja się zaczerwieniłem. *To ten dezodorant*, zaśmiała się. *To dlatego*. Tata mrugnął do Jas. *Ma na imię Sonia i wydaje się naprawdę miła*. *Szczenięca miłość*, zażartował, a ja powiedziałem *Taaaaaato* w taki jękliwo-dumny sposób, wcale nie prosząc go, żeby przestał.

Jas odchrząknęła. Wiedziałem, co się stanie, więc rzuciłem się na kość kurczaka jak Sammy, pies Sunyi. *Skoro już jesteście w temacie, powinnam ci coś powiedzieć*. Tata upuścił widelec. *Mam chłopaka*.

Tata zaczął wpatrywać się w blat stołu. Jas pocięła marchewkę na drobniutkie kawałki.

Zanurzyłem palce w sosie na talerzu i ssalem je do czysta, kiedy tata powiedział *Okej*, nie

podnosząc wzroku. A Jas pisnęła *Okej*, a tata westchnął *Okej*. Poczujęm się odtrącony, więc też powiedziałem to samo. Nikt mnie jednak nie usłyszał, bo moja siostra poderwała się z miejsca, objęła tatę i uściskała go po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Była zarumieniona i szczęśliwa, ale twarz taty była pełna smutku, którego nie rozumiałem. Jas śpiewała, zmywając naczynia. Przerwałem wycieranie talerzy i spojrzałem na nią. *Naprawdę masz świetny głos*, powiedziałem. *Nie zamierzam brać udziału w tym głównianym konkursie*, odparła. Powiedziałem *Wiem*, a ona poprosiła *Opowiedz mi o tej swojej dziewczynie*. Pomyślałem o pieprzyku Sunyi, o jej błyszczących włosach, iskrach w oczach, o śmiejących się ustach i brązowych palcach i powiedziałem *Jest śliczna*, zanim zdołałem ugryźć się w język. Jas udała, że wymiotuje do zlewu, więc uderzyłem ją ścierką i wybuchnęliśmy śmiechem. Tata wszedł do kuchni, żeby odstawić garnki na miejsce i kazał nam przestać się wydurniać. Zachowywaliśmy się jak normalna rodzina i po raz pierwszy nie brakowało mi mamy. Srebrny lew patrzył na nas przez okno. Może to tylko Roger, ale wydawało mi się, że słyszę mruczenie.

Nad naszym domem wisiały tysiące gwiazd, niebo było bezchmurne, a księżyc okrągły. Przypominał spodeczek z mlekiem, pokazałem go więc Rogerowi. Wyszedł z mną na dwór, siedział mi na kolanach i wpatrywał się w niebo swoimi mądrymi, zielonymi oczami. Nie mogliśmy oboje zasnąć, cieszyłem się, że może dotrzymać mi towarzystwa. Palce wsunąłem w jego sierść, dzięki czemu nie marzły, czułem na kolanach bicie jego serca. Noc pachniała zimnem i tajemnicą, zupełnie jak magazyn szkolny, byłem ciekawy, czy Sunya śpi pod niebieską kołdrą, którą widziałem u niej w pokoju dwa dni temu. A potem poczułem wyrzuty sumienia, że o niej myślę, więc potrząsnąłem głową i zamrugałem trzy razy, po czym zacząłem patrzeć na staw, przypominając sobie zasady spisane na kamieniu, którym Bóg rzucił w tego dziwaka o imieniu Mojżesz.

Dzisiaj pani Farmer powiedziała, że jeśli chcemy iść do nieba, musimy przestrzegać Dziesięciu Przykazań. Powiedziała *Bóg dał je Mojżeszowi na górze, spisane na kamieniu, to zasady, którymi wszyscy powinniśmy kierować się w życiu.* Początkowo niezupełnie słuchałem, bo szczerze mówiąc, niebo wcale nie wydaje mi się takie fajne. O ile się orientuję, jest pełne aniołów śpiewających kolędy, wszystko jest odrobinę za jasne, więc muszę zrobić wszystko, żeby pochowano mnie z okularami słonecznymi. Ale gdy pani Farmer oznajmiła *Jednym z najważniejszych jest Przykazanie Czwarte: czcij ojca swego i matkę swoją,* nagle poczułem się paskudnie. Jedzenie trójkątnych kanapek z muzułmanką to całkowity brak szacunku dla taty.

W klasie rozległ się brzęk bransoletek i ręka Sunyi poszybowała do góry. *Co się stanie, kiedy ktoś złamie te zasady,* zapytała, zanim pani Farmer pozwoliła jej mówić. *Nie przerywaj,* odparła nauczycielka. *Czy wtedy idzie się do piekła,* ciągnęła Sunya, otwierając szeroko oczy. *I czy w piekle jest diabeł.* Pani Farmer pobladła i skrzyżowała ręce na piersi. Jej spojrzenie powędrowało ku chmurkom na tablicy, a potem ku Danielowi. Ten zaś patrzył na Sunyę, jakby nie mógł uwierzyć, że znów poruszyła ten temat. Ona go jednak zignorowała i podrapała się po skroni. *Jak wygląda diabeł,* zapytała niewinnym głosem, a cała klasa wybuchnęła śmiechem. Sunya nawet się nie uśmiechnęła, cały czas otwierała szeroko oczy z zaciekawieniem. Usta Daniela wyglądały jak wielkie czarne O na czerwonej jak burak twarzy. *Dość tego,* powiedziała pani Farmer i zabrzmiało to dziwnie, bo słowa musiały przedostać się na zewnątrz przez maleńkie szpary między jej zaciśniętymi zębami. Przypominało mi to ścieranie sera na tarce. *Spójrzmy teraz na pozostałe przykazania.*

Sunya mrugnęła do mnie jednym okiem, a ja odpowiedziałem jej tym samym, chociaż przykazanie czwarte przypawiło mnie o wyrzuty sumienia. *Czczij ojca swego i matkę swoją,* tak powiedział Bóg. A ja mrugam do muzułmanki, jakby zupełnie w porządku było robić coś, co tacie bardzo by się nie podobało. Nagle zrozumiałem, że nie ma znaczenia, czy mój aniołek będzie piął się po chmurkach na sam szczyt. Jeśli niebo istnieje, tak naprawdę, a nie wycięte ze złotego brystolu, to nie trafię do niego, bo łamię przykazanie. Nie wiedzieć czemu pomyślałem o Rose. Nie mam pojęcia, gdzie znajduje się jej dusza, ale jeśli w niebie, to pewnie czuje się tam bardzo samotnie.

Wyobraziłem sobie Rose samą na białym obłoku, bez łokcia, obojczyka, bez rodziny i przyjaciół. Nie mogłem pozbyć się tego obrazu, prześladował mnie przez cały dzień aż do mdłości i nie pozwolił zasnąć wieczorem.

Krzak zaszeleścił, a Roger zeskoczył mi z kolan i popętlzył gdzieś w ciemną noc, ocierając brzuchem o długą trawę. Pochyliłem się nad stawem, próbując znaleźć w srebrnej wodzie moją rybkę. Tkwiła pod liściem lilii wodnej, zupełnie samotna, więc ją pogłaskałem. Podpłynęła mi do palców i zaczęła skubać, jakby było to coś jadalnego. Byłem ciekawy, co się stało z jej rodzicami. Może zostali w morzu albo rzece. Albo może ten staw stanowił coś w rodzaju rybiego nieba i reszta jej rodziny po prostu jeszcze nie umarła. I chociaż wiedziałem, że to niemożliwe, zrobiło mi się tak żal mojej samotnej rybki, że bardzo długo dotrzymywałem jej towarzystwa i pewnie przesiedziałbym tak całą noc, gdyby jakiś królik nie zaczął piszczeć.

Zakryłem uszy dłońmi i zacisnąłem szczelnie powieki, jednak ciężko było nie słyszeć tego dźwięku. Chwilę później Roger znalazł się obok mnie, pocierając łbem o mój łokieć, a martwy królik leżał mi u nóg. Nie chciałem na niego patrzeć, ale nie mogłem się powstrzymać, zupełnie tak, jak się patrzy na czyjeś jedzenie albo znamię na twarzy, jakby zupełnie przypadkowo. Królik był malutki. Miał drobne ciało, puszyste futerko, a jego uszka wyglądały na nowe. Próbowałem dotknąć jego nosa, lecz za każdym razem, gdy mój palec zbliżał się do jego pyszczka, podskakiwałem, jakby poraził mnie prąd. Nie chciałem tak zostawiać zwierzątko, ale nie byłem w stanie go dotknąć, więc ostatecznie znalazłem dwie gałązki i użyłem ich jak japońskich pałeczek. Chwyciłem królika za ucho, zaniósłem z dala od stawu i upuściłem przy krzaku. Przykryłem go trawą, liśćmi i czymkolwiek znalazłem. Roger mruczał, jakby zrobił mi przyjemność.

Ukucnąłem, spojrzałem mu prosto w oczy i opowiedziałem mu o piątym przykazaniu. *Nie zabijaj, Roger.* Zamruczał jeszcze głośniejsze i dumnie uniósł ogon. On po prostu kompletnie nic nie zrozumiał, byłem na niego zły. Wpuściłem go do domu, ale zamknąłem mu przed nosem drzwi do mojego pokoju i próbowałem zasnąć. Po raz pierwszy śniła mi się Rose.

Pani Farmer przytwierdziła Dziesięć Przykazań do ściany naprzeciwko mojego krzesła. Nawet, gdybym chciał zapomnieć o zasadzie numer pięć, byłoby to niemożliwe. Zupełnie jakby na tablicy wisiały oczy taty i wpatrywały się we mnie bez ustanku.

Na początku matematyki Sunya ciągle pytała *Co się stało*, a ja odpowiadałem *Nic*, ale nie mogłem na nią spojrzeć, żeby nie pomyśleć o Rose. W końcu stwierdziła *Nie, to nie* i zapytała, czy mam jakieś plany zemsty. Jej bracia powiedzieli, że stłuczenie dziesięcioletniego chłopca nie wchodzi w grę, więc potrzebowaliśmy innego pomysłu. Sunya uwzięła się, żeby pokonać Daniela, lecz ja wcale nie chcę tego robić. Powtarza *Jeśli pozwolisz, żeby uszło mu na sucho, znów to robi*, ale ja nie sądzę, żeby tak było. Daniel lubi wygrywać, a teraz, kiedy już wygrał, stracił całe zainteresowanie. Od dawna mnie nie prześladował. Od wielu dni nie kopnął mnie, ani nie uderzył, ani nie nazwał *Kutasem*. Skończyło się, przegrałem, jednak nie ma sprawy.

To znaczy, jest sprawa, ale nie wygram, więc nauczyłem się przegrywać. Na Wimbledonie jest taki tenisista, który dostaje się do finału, ale nigdy nie udaje mu się wygrać turnieju. Wszyscy powtarzają *To gentleman* albo *Fantastyczny duch sportowy*, bo on tylko uśmiecha się, wzrusza ramionami i przyjmuje fakt, że zajął drugie miejsce. Ja też tak robię, bo gdybym próbował pokonać Daniela, dostałbym tylko po głowie.

W połowie matematyki, pani Farmer oznajmiła, że ma coś Bardzo Ważnego do powiedzenia. Włoski na jej pieprzyku zaczęły się trząść i podbródek jej zadrżał. Powiedziała *Przychodzi Ofsted* i spojrzała na drzwi, jakby właśnie mieli przez nie wtargnąć do środka. Ofsted zabrzmiało jak jakaś armia czy coś w tym stylu i już się zastanawiałem, czy są uzbrojeni, kiedy Pani Farmer dodała *To inspektorzy*. Ręka Daniela poszybowała w górę. *Mój tata jest głównym inspektorem policji*, powiedział. Pani Farmer powiedziała *Dość tych przechwałek* i Sunya specjalnie głośno się zaśmiała. Pani Farmer oznajmiła *Ci inspektorzy nie są z policji. To specjaliści wizytatorzy, którzy badają szkoły i przyznają im oceny - celującą, dobrą, dopuszczającą lub niedostateczną*. Twarz nauczycielki bladła z każdym słowem i nawet jej bezbarwne oczy jeszcze bardziej wypłowywały. *W następnym tygodniu będą przyglądali się, jak was uczyć, więc to Bardzo Ważne, żebyśmy im udowodnili, jak dobrze nam się razem pracuje. To Bardzo Ważne, żebyście byli grzeczni, mądrzy i mówili same mile rzeczy o naszych lekcjach*. Sunya uśmiechnęła się szeroko, dobrze wiedziałem, o czym myśli i nawet chciałem odpowiedzieć uśmiechem, ale nie zrobiłem tego.

W czasie przerwy, spędziłem dwanaście minut w toalecie, w wyrazie szacunku dla taty.

Podstawiłem ręce pod suszarkę, udając, że jestem potworem ziejącym ogniem. Palilo mi w dłonie, płomienie były bardzo gorące, ale okazałem się wytrzymały i nawet nie krzyknąłem. Zabawa była fajna, chociaż nie tak fajna jak siedzenie na ławce albo wchodzenie do szopy-kryjówki z Sunyą. Nie mogę jednak tego kontynuować. Na wypadek, gdyby niebo istniało i dusza Rose tkwiła w nim samotnie. Bóg musi mnie tam wpuścić. W tym celu muszę przestrzegać Dziesięciu Przykazań. Wszystkich, co do jednego. Łącznie z piątym.

Minęły już dwa dni, odkąd odezwał się po raz ostatni do Sunyi. Od czasu tamtego kurczaka, tata codziennie wozi nas do szkoły i przygotowuje podwieczorek, więc uważam, że postępuję właściwie. Jest mi jednak ciężko i żołądek mi się skręcił, kiedy znalazłem pierścionek z Blu-Tacka w szufladzie. Powinno mi być łatwiej, skoro już się nie przyjaźnimy, ale woląłem, kiedy ciągle pytała *Co się stało* albo *Dlaczego tak się dziwnie zachowujesz*. Wtedy przynajmniej słyszałem jej głos.

Czuję się jak narkoman z filmu, jeden z tych, którzy nic nie robią, tylko marzą o tabletkach, a im mniej ich mają tym bardziej ich pragną, aż tracą rozum i okradają supermarket, żeby zdobyć pieniądze. Nie mówię, że zamierzam okraść sklepik szkolny czy coś takiego. Po prostu nie sędzę, żeby Sunya chciała się ze mną przyjaźnić, nawet gdybym dał jej wszystkie czekolady z szafki w recepcji, gdzie sklepik jest prowadzony w dużą przerwę w środę i piątek.

Dzisiaj wieczorem przyszedł Leo. Tata zrobił pizzę. Kupił je w sklepie, ale pokroił szynkę i dodał ananasy z puszki, żeby miały tropikalny smak. Mama tak robiła. Przy stole nikt specjalnie nie rozmawiał. Tata ignorował Leo, Leo wyglądał na zdenerwowanego i widziałem, że Jas też czuje się niezręcznie. Ciągle pytała mnie o rzeczy, o które pytała mnie już wcześniej. Na przykład *Jak ci idzie w grze w piłkę*, chociaż tydzień wcześniej powiedziałem jej, że następny mecz dopiero po Bożym Narodzeniu. A potem zapytała *Jaki jest wasz dyrektor*, chociaż zna go lepiej ode mnie, bo sama rozmawiała z nim przez telefon. Mimo wszystko odpowiadałem dokładnie na jej pytania. Jas po prostu pragnęła za wszelką cenę usłyszeć cokolwiek innego niż drapanie noży o talerze i westchnięcia taty na widok zielonych włosów Leo.

Po deserze, Leo powiedział *Dziękuję* i *Było pyszne, naprawdę pyszne*, jakbyśmy mieli prawdziwą ucztę, a nie pizzę z supermarketu. Tata coś mruknął pod nosem, czego nie usłyszałem i ogarnęła mnie złość, bo babcia zawsze powtarza, że *Dobre maniery nic nie kosztują*. Jas chwyciła Leo za rękę i oczy taty wyszły z orbit na widok tego, jak ciągnie go po schodach na górę. Oznajmił *Nie sądzę* i pokazał na salon. Twarz Jas przypominała gotowanego pomidora, jakiego dostaje się, gdy się zamawia śniadanie angielskie w hotelu w Hiszpanii. Było mi jej żal, ale postanowiłem okazać szacunek tacie. Nie powiedziałem ani słowa, tylko pomogłem pozmywać naczynia. Tata mył za ostro, piana chlapała na podłogę. Chciałem zapytać, dlaczego jest zły, jednak nie odważyłem się. Zamiast tego, opowiedziałem mu o Mojżeszu i kamiennej tablicy, ale odszedł zanim skończyłem i sięgnął po piwo.

Zeszłej nocy śniła mi się Sunya. Ciągle ją prosiłem, żeby pokazała mi włosy i próbowałem dotknąć jej hidżabu, a ona robiła uniki i obwiązywała sobie szczelniej głowę. Znów ją prosiłem. I znów. Błagałem i błagałem, z coraz większą desperacją, ale z każdą prośbą, hidżab zaciskał się mocniej na jej włosach, a jej twarz malała, aż w końcu miała zakryte wszystko, oprócz jednego oka. Nie było w nim widać żadnej iskry, tylko gapiło się na mnie, a potem zamieniło w usta, które powiedziały *Wracaj do Londynu*. Gdy się obudziłem, byłem cały spocony, miałem sklezione włosy i tak bardzo tęskniłem za Sunyą, że aż mnie serce bolało.

W samochodzie, w drodze do szkoły, tata powtarzał *Nie*, a Jas boczyła się. Mówiła *Przecież powiedziałaś Okej*, a tata odparł *Zgodziłem się na chłopaka, ale nie na randki. My tylko chcemy iść do kina*, stwierdziła Jas, na co tata powiedział *Leo ma zielone włosy*. A Jas zapytała *No i co z tego*. Tata odparł *To dziwne*, a ona powiedziała *Wcale nie* i ja się z nią zgadzałem, ale trzymałem buzię na kłódkę. Tata oznajmił *Chłopcy, którzy farbują włosy są nieco...*, po czym zawiesił głos. Jas spojrzała na niego z wściekłością. *Nieco JACY konkretnie* wrzasnęła, a ja zacząłem się modlić, żeby Bóg spuścił na ziemię kolejną kamienną tablicę, by pozbawiła tatę przytomności i przestał się odzywać. Odparł *Są nieco zniewieściali*, a Jas zapytała *Chcesz powiedzieć, pedalscy*, na co tata stwierdził *To ty to powiedziałaś, nie ja*.

A potem zapanowało milczenie, które ciągnęło się w nieskończoność, aż w końcu Jas zażądała *Zatrzymaj samochód*. Tata powiedział *Nie bądź śmieszna*, a moja siostra wrzasnęła *Zatrzymaj ten PIEPRZONY samochód*. Tata zahamował i ktoś zatrąbił. Jas wyskoczyła na zewnątrz. Zatrzasnęła drzwi z płaczem, tata coś krzyczał, okna całe zaparowały. Ktoś znów zatrąbił. Tata spojrzał w lusterko wsteczne i powiedział *Nie będziesz mi mówić, co mam robić we własnym kraju*. Starłem parę z szyby i spojrzałem do tyłu. W aucie za nami siedziała Sunya z mamą. Tata odjechał za szybko, zostawiając Jas na deszczu i ciągle gadał o muzułmanach, jak to tylko siedzą w domu przez cały dzień i zamiast pracować ciągną pieniądze od rządu, a potem wysadzają w powietrze kraj, który ich utrzymywał.

Nagle, kiedy zrobiliśmy gwałtowny skręt, żeby ominąć owcę, skubiącą trawę tuż przy drodze, w głowie usłyszałem ósme przykazanie. *Nie będziesz mówił fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu*. Wczoraj, gdy pani Farmer zapytała, co to oznacza, Daniel podniósł rękę i powiedział *Nie wolno kłamać o innych ludziach*.

Wyprostowałem się na siedzeniu. *Nie wolno kłamać*. Serce zaczęło mi łomotać. *O innych ludziach*. Włączyło się radio i rozległa się głośna muzyka, ale ja tylko słyszałem kłamstwa opowiedane przez tatę. *Wszyscy muzułmanie to mordercy. Są zbyt leniwi, żeby nauczyć się angielskiego. Robią bomby w swoich sypialniach*. Serce mi stanęło. Tata składał fałszywe świadectwo. Złamał przykazanie, bo ono mówi *Nie będziesz mówił fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu*, a nie *Nie będziesz mówił fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu, którego dobrze znasz*, bo to by zmieniało postać rzeczy.

Samochód zatrzymał się pod szkołą, a tata powiedział *To co, wysiadasz*, na co

skinąłem głową, jednak moje ciało się nie ruszyło. Tata składał fałszywe świadectwo. *No pospiesz się*, warknął, patrząc jak wycieraczki rozbryzgują wodę na obie strony. Odpiąłem pas i wysiadłem. Tata odjechał bez pożegnania. Kiedy pędził szosą, uniosłem środkowy palec do nieba. Miałem na nim dwa pierścionki, zamiast jednego, a biały kamień niemal stykał się z brązowym. Przekląłem Boga i Mojżesza. A potem przechyliłem rękę, przekląłem tatę, łamiąc czwarte przykazanie i poczułem się dobrze. Auto zniknęło za rogiem, a ja pobiegłem do szkoły, żeby odszukać Sunyę.

Pani Farmer powiedziała *Ponieważ zbliża się Boże Narodzenie, zaczniemy omawiać narodziny Jezusa*. Wszyscy jęknęli, a ja zrozumiałem, że ta szkoła nie różni się wcale od poprzedniej. W Londynie też zawsze w grudniu zajmowaliśmy się Jezusem i nawet przygotowaliśmy szopkę dla rodziców, którzy pewnie nudzili się, oglądając w kółko ten sam występ. Jak dotąd byłem owcą, tyłem osła i gwiazdą betlejemską, ale nigdy człowiekiem. Pani Farmer powiedziała *To bardzo ważne, żeby zrozumieć Prawdziwe Znaczenie Świąt Bożego Narodzenia*, a my zaśpiewaliśmy pod nosem *Wśród nocnej ciszy dziadek nie słyszy a po pokoju latają myszy niech ten dziadek weźmie kija i je wszystkie powybija z wielkiej radości*. Sunya nawet się nie uśmiechnęła.

Pani Farmer powiedziała *Napiszemy historię narodzin Pana z punktu widzenia Jezusa*. Jezus nic by nie widział, oprócz wewnętrznej strony brzucha Maryi, mnóstwa siana i kilku owłosionych nosów, kiedy pasterze pochylali się nad żłóbkiem. Ale potem pani Farmer dodała *To będzie wasza najważniejsza praca w całym roku szkolnym. Chciałabym, żebyście naprawdę się postarali, żebyśmy mogła postawić wam dobre oceny i pokazać je rodzicom na wywiadówce*. Napisałem cztery strony, kiedy pani Farmer kazała nam odłożyć długopisy. Mamie bardzo się spodoba moje wypracowanie, zwłaszcza scena, w której brzuch Maryi świeci się w środku jaskrawą czerwienią od światłości archanioła Gabriela, którego w moim opowiadaniu przerobiłem na panią, na wypadek, gdyby tata też miał przeczytać to wypracowanie. Skoro uważa, że chłopcy o zielonych włosach to pedały, nie mam pojęcia, co by powiedział na mężczyznę ze skrzydłami.

Wydarłem kartkę z bloku i napisałem liścik do Sunyi. *Spotkajmy się na przerwie w magazynie*. Moimi specjalnymi kredkami dorysowałem uśmiechniętą buźkę z diabelskimi rogami. Przeczytała liścik, ale twarz jej nawet nie drgnęła. Kiedy pozwolono nam wyjść na dwór, pobiegłem szybko do recepcji. Jednak nie przytrzymałem pani Williams na muszce, żądając żeby oddała mi wszystkie batoniki. Nie, kupiłem jednego Crunchie za pieniądze od babci, a potem popędziłem na boisko i zniknąłem za drzwiami magazynu.

Odbiłem piłeczkę tenisową pięćdziesiąt jeden razy, zanim do mnie dotarło, że Sunya nie przyjdzie. Byłem zły, że ma fochy, więc rozerwałem opakowanie batonika i już miałem zjeść wielki kęs, ale się powstrzymałem. Śliniłem się jak szalony, a mimo to owinąłem czekoladę w papierek i włożyłem do skarpety, bo w spodniach nie miałem żadnej kieszeni. Na matematyce napisałem kolejny liścik i poprosiłem Sunyę o spotkanie w magazynie podczas dużej przerwy. Tym razem dodałem *Proszę* i dopisałem

P.S. Mam dla ciebie niespodziankę, żeby ją zachęcić do przyjścia.

Jadłem kanapkę, siedząc na piłce. Ciągłe spode mnie uciekała i trudno było mi utrzymać równowagę, aż skórka od chleba spadła mi na podłogę. Za każdym razem, gdy coś skrzypiało, a nawet jeśli nic nie skrzypiało, czułem eksplozję w głowie, drgała mi prawa noga, a w ustach tak zasychało, że nie mogłem przełknąć kanapki. Wzrok miałem wbity w szparę światła pod drzwiami, cały czas łudziłem się, że szpara zmieni się w kwadrat i moim oczom ukaże się zarys Sunyi na tle jasnego słońca. Jednak klamka nie ruszała się, a drzwi pozostawały zamknięte.

Chwyciłem rakiętę do tenisa i uderzyłem z całą siłą w piłeczkę, aż odbiła się od ściany. Zrobiłem to jeszcze raz. I jeszcze jeszcze jeszcze. Uderzałem coraz mocniej i szybciej. Pot spływał mi po plecach, miałem zadyszkę, aż tu nagle poczułem klepnięcie w plecy i nie trafiłem rakiętą w piłkę. Uderzyła mnie prosto w twarz. Sunya zapytała *Nic ci nie jest* i chociaż wiedziałem, że powinno mnie boleć, to czułem wyłącznie szczęście na jej widok.

Pokręciłem głową i zsunąłem z palca należący do niej pierścionek. Podałem jej na otwartej dłoni, popatrzyła długo, bardzo długo i przez sto lat się nie odzywała. Powiedziałem więc *Zalóż*, na co zapytała *To wszystko*, a ja odparłem *Ale co wszystko*. Pokiwała głową z dezaprobatą i odeszła. Już była pod drzwiami, kiedy krzyknąłem *Nie idź*, a ona zapytała *A niby dlaczego*. *Niespodzianka*, odparłem, po czym zsunąłem skarpetę i dałem jej batonika.

Jej mina wyglądała dokładnie tak samo jak spojrzenie, jakim obdarzyłem Rogera, gdy przyniósł mi martwego królika. Sunya uniosła wysoko brodę, wymaszerowała z magazynu i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Ściany się zatrzęsły, w magazynie zapanowała ciemność. Popatrzyłem na trzymanego w dłoni Crunchie. Był zgnieciony i klejący, a z rozpuszczonej czekolady wystawały białe kłaczkiki.

Rozejrzałem się po magazynie w poszukiwaniu czegoś, co mógłbym jej podarować. Jedynym interesującym prezentem wydawał się oszczep, za duży jednak, by można go było niepostrzeżenie wynieść. Siedzenie w kryjówce samemu nie stanowiło żadnej frajdy, więc wyszedłem na deszcz i coś złotego przykuło moją uwagę. Wpadłem na pewien pomysł.

Zostało dziesięć minut do końca przerwy. Ruszyłem wokół boiska, w poszukiwaniu Sunyi, z niespodzianką ukrytą za plecami. Zauważyłem ją w towarzystwie Daniela i przez ułamek sekundy poczułem ukłucie zazdrości, ale potem zdałem sobie sprawę, że się kłóć. Nie zbliżałem się, bo nie chciałem oberwać, ale usłyszałem jak Daniel mówi *Pogańska pluskwa* i *Śmierdzisz*, a potem odbiega. Podeszedłem do Sunyi, dłonie miałem wilgotne, a serce podskakiwało mi tak szaleńczo jak Sammy, gdy ją witał. Powiedziałem *Ta-dam* i wyjąłem zza pleców bukiet zebranych kwiatów. I chociaż większość to były mlecze, jednak wyglądały naprawdę ładnie i dlatego byłem zaskoczony, kiedy zaczęła płakać.

Sunya jest silna, to Girl M, dziewczyna pełna słońca, uśmiechu i iskier. Ta Sunya wyglądała zupełnie inaczej, i pies w moim sercu zwiesił smutno ogon. *Co jest nie tak*, zapytałem, ale ona tylko pokręciła głową. Łzy płynęły jej po policzkach, jedna za drugą, pociągnęła nosem i przygryzła drżącą wargę. Zapytałem *To chcesz je czy nie* i zabrzmiało to trochę za głośno, jakbym był na nią wściekły czy coś, a ja tylko czułem

złość do Daniela, że zepsuł mi niespodziankę. Wyrwała mi kwiaty z ręki i cisnęła o ziemię. A potem podeptała je jak najmocniej się dało i przeciągnęła po nich stopą, rozsmarowując płatki po boisku. *NIE chcę twoich idiotycznych kwiatów ani twojej głupiej czekolady*, krzyknęła, a ja utkwilem w martwym punkcie, bo nie przychodziło mi do głowy, co jeszcze mógłbym jej dać. *W takim razie, co byś chciała*, zapytałem. *Żebyś mnie PRZEPROSIŁ*, wrzasnęła.

Popatrzyłem na nią, ale tak poważnie popatrzyłem, a ona odpowiedziała spojrzeniem pełnym krzywdy, prawdziwej i głębokiej. I nagle zobaczyłem przed oczami wszystko to, co zrobiłem złego i usłyszałem w głowie wszystkie paskudne rzeczy, jakie powiedziałem. Przypomniałem sobie, jak uciekłem, kiedy chciała dać mi pierścionek. Przypomniałem sobie, jak powiedziałem *Zostaw mnie w spokoju* pod gabinetem dyrektora. Jak odszedłem w Halloween, jak kazałem jej się zamknąć po meczu i jak ignorowałem ją bez powodu po wizycie w jej domu. To znaczy, niezupełnie bez powodu. Wtedy próbowałem dostać się do nieba, ale to dość kiepska wymówka.

Chwyciłem ją za rękę, a Daniel krzyknął *Spider-Man-baba dotyka pogańskiej pluskwy*, jednak nie zwracałem na niego uwagi. Powiedziałem *Przepraszam* naprawdę szczerze, a Sunya skinęła głową, ale się nie uśmiechnęła.

Zapytałem Sunyę, czy chce, żebym ją odprowadził do domu. Odparła *Nie, dziękuję*. Znow się przyjaźniliśmy, bo pożyczyła moje fajne kredki, żeby narysować mapę na geografii, jednak coś było nie tak. Opowiedziałem jej trzy dowcipy, w tym jeden najśmieszniejszy na świecie, ale nawet się nie zaśmiała. A kiedy dałem jej na historii pierścionek z Blu-Tacku, założyła go na ołówek, a nie na palec.

Ze szkoły wracałem bardzo długo, bo nogi i plecak miałem jak z ołowiu. Dwie minuty przed domem Roger wyskoczył z krzaka, więc jego też przeprosiłem. Polowania to druga natura kotów, nie powinienem się wściekać, że zabija zwierzęta. Towarzyszył mi do końca, a potem siedzieliśmy długo na ganku, ja opierałem się plecami o drzwi, a Roger grzbietem o podłogę. Pomarańczowe łapy wystawił do góry. Zamajtałem sznurówką, zaczął się nim bawić, miaucząc, jakby zupełnie zapomniał o naszym nieporozumieniu. Jaka szkoda, że dziewczyny nie są rak nieskomplikowane jak koty.

W domu było jakoś tak dziwnie. Pusto. Ciemno. Deszcz ochlapał okna, grzejniki były lodowate. W kuchni nic się nie gotowało, a tata nie zapytał *Jak minął dzień*. I chociaż zapytał tak zaledwie kilka razy, zaczynałem się już przyzwyczajać, więc ta szara cisza mnie przeraziła. Chciałem krzyknąć *Tato*, ale bałem się, że odpowie mi milczeniem. Zacząłem gwizdać i włączyłem światło. Martwiłem się, że na stole w kuchni zobaczę kartkę ze zdaniem *Ja już dłużej nie mogę*. Liściku nie znalazłem, a taty też nigdzie nie było widać.

Wtedy zauważyłem drzwi do piwnicy. Otwarte. Nie mocno, w zasadzie tylko uchylone. Panowała za nimi ciemność. Pstryknąłem włącznik światła, jednak nic się nie zmieniło. Nie mogłem przestać myśleć o Candymanie, więc na wszelki wypadek wyjąłem z szuflady drewnianą łyżkę. Po chwili zdałem sobie sprawę, że drewniana łycha nie przyda się na wiele w starciu z hakiem, więc zamieniłem ją na korkociąg. Zszedłem jeden stopień. Beton był tak zimny, że zaboląły mnie palce stóp. *Tato*, szepnąłem. Żadnej odpowiedzi. Zszedłem kolejny stopień. Na samym dole widziałem żółty promień światła latarki. *Tato*, powtórzyłem.

Jesteś tam. Ktoś ciężko sapał. Pomału postawiłem stopę na kolejny schodek, ale uznałem, że dłużej tak nie dam rady i ruszyłem do ataku.

Włamanie. To było jedyne sensowne wyjaśnienie. Nie widziałem w ogóle posadzki, tak była zavalona różnymi rzeczami. Zdjęciami, książkami, ubraniami, zabawkami i nogami taty, wystającymi z wielkiego pudła. *Jak się tu dostali*, zapytałem, balansując na ostatnim stopniu, bo dalej nie było gdzie postawić stopy. Szyby nie zostały wybite. *Kto to zrobił*. Tata pochylał się głęboko nad kartonem, a ja dostrzegłem napis. NIE WOLNO DOTYKAĆ. Ręce taty poruszały się energicznie, nagle trafiły na jakiś przedmiot i cisnęły nim ponad głowę, aż spadł na podłogę. *Ty to zrobiłeś*, wyszeptalem.

Tata wystawił głowę z pudła. W świetle latarki wydawał się blady, a czarne włosy sterczały mu na wszystkie strony. Do poplamionej koszuli miał przypiętą broszkę z napisem DZISIAJ KOŃCZĘ SIEDEM LAT. *Znalazłem*, powiedział, machając obrazkiem. *Wspaniały, prawda*. To nawet nie był obrazek, tylko pięć plam na

pogniecionej kartce, ale ugryzłem się w język i pokiwałem głową. *Są takie malutkie. Zobacz, James, jakie malutkie.*

Przeszedłem ponad bucikiem z klamrą, małą sukienką w kwiatki i starą kartką urodzinową, w której brakowało przypinki. Przysunąłem się bliżej. Plamki okazały się być odciskami dłoni. Dwie duże miały w środku wpisane mama i tata, małe były podpisane Jas i Rose, a maleńka została podpisana moim imieniem. Wszystkie otaczały dookoła serce, w którym ktoś napisał *Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Ojca*. Pewnie mama, bo pismo było równiutkie.

Obrazek był, owszem, ładny, ale całowanie go to już przesada. Usta taty dotknęły najpierw dłoni Jas, potem Rose, a potem znów Jas. *Śliczne imiona*, powiedział drżącym głosem, który działał mi na nerwy. Jasmine i Rose. Tata pogłaskał odciski dłoni bliźniaczek. *Takimi właśnie je zapamiętałem*. Przestałem cokolwiek rozumieć i powiedziałem *Przecież Jas żyje*, ale tata mnie nie słyszał. Głowa opadła mu na rękę i ramiona zaczęły się trząść. Okropnie chciało mi się śmiać, bo czkał bardzo głośno i bardzo zabawnie, jednak powstrzymałem się i próbowałem myśleć o czymś naprawdę smutnym, jak wojna i te wszystkie dzieci w Afryce, które mają wielkie brzuchy, chociaż nic nie jedzą.

Tata się odezwał, ale przez smarki i łzy dotarło do mnie tylko *Zawsze i Moje małe dziewczynki*. Jas jest duża, śliczna, różowa i ma kolczyki w różnych miejscach i tata przegapił chyba te wszystkie lata, skoro wydaje mu się, że moja siostra ma nadal dziesięć lat.

Babcia powtarza, że *Ludzie zawsze chcą tego, czego nie mogą mieć* i to chyba prawda. Tata chce, żeby Rose żyła, a Jas miała dziesięć lat, a przecież ma mnie. Jestem w odpowiednim wieku, lecz niewłaściwej płci, Jas ma odpowiednią płć, ale nieodpowiedni wiek i tylko u Rose wszystko się zgadza. Tylko, że Rose nie żyje. *Niektórym ludziom nigdy nie można dogodzić*, to jeszcze mówi czasami babcia.

Moja siostra wróciła do domu dopiero o jedenastej, więc to ja musiałem zrobić wszystko to, co ona zwykle robi. Sprzątnąłem ubikację po tym, jak tata wymiotował i zaprowadziłem go do łóżka. Wsunąłem mu pod poduszkę tamten obrazek na Dzień Ojca, czując jakiś bolesny ścisk w żołądku. Tata szybko zasnął. Cała twarz mu się trzęsła i chrapał. Przyniosłem mu szklankę wody na później i obserwowałem przez jakąś minutę, a potem poszedłem do siebie i usiadłem na parapecie z informatorem Największego Brytyjskiego Talentu. Roger mruczał tak głośno, że jego gardło grzało i łaskotało mnie w palce. Na samej górze listu napisali *Przyjedź do Manchesteru, żeby odmienić życie*, a ja wyobraziłem sobie, jak wchodzimy z Jas do teatru, wkraczamy na scenę i śpiewamy dla sędziów przed mnóstwem kamer telewizyjnych. Widziałem na widowni twarz mamy. Siedziała obok taty i trzymali się za ręce, bo byli z nas bardzo dumni. Zapomnieli o wcześniejszych kłótniach, zapomnieli o Rose i zupełnie nie miało znaczenia, że Jas urosła i się zmieniła. Po konkursie, mama zadzwoniła do Nigela, mówiąc *Odchodzę od ciebie*. Nazwała go nawet *Cholernym gnojkiem* i wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, wsiedliśmy do jednego auta i pojechaliśmy razem do naszego domu. Tata rzucił picie. Mama powiedziała *Wyglądasz świetnie w tej koszulce* i wreszcie mogłem ją zdjąć i założyć piżamę. A potem leżałem w łóżku i mama otuliła mnie kołdrą jak kiedyś, zanim sto sześćdziesiąt osiem dni temu uciekła z facetem z grupy wsparcia.

Pani Farmer weszła do klasy ubrana w czarny garnitur, który był na nią za mały. Brzuch jej zwisał nad paskiem spodni i wyglądał blado i mięsiście, jak surowe ciasto. Powiedziała *Dzień dobry kochani*, co zabrzmiało inaczej, zbyt łagodnie i zbyt przyjacielsko. Dodała *Obudźmy nasze umysły* i musieliśmy wstać i robić te dziwaczne rzeczy z rękoma, dzięki czemu różne części mózgu zaczynają ostro pracować. Zastanawiałem się już, czy nie oszalała, kiedy do sali wszedł jakiś pan z notatnikiem. Pani Farmer powiedziała *To pan Price, jest z Ofsted*.

Na tablicy pani Farmer napisała coś, co się nazywa Celem Lekcji i długo gadała o tym, co będziemy robić do południa. Po tym jak spoglądała ciągle na pana Price, widać było, że chce mu zaimponować, ale on nawet się nie uśmiechnął. Miał długie palce, długą brodę i długi nos, na końcu którego tkwiły okulary. W dalszym ciągu zajmowaliśmy się Jezusem, teraz mieliśmy usiąść w parach i z gliny ulepić scenę z betlejemskiej szopki. Jedna osoba miała zająć się postaciami ludzkimi oraz żłóbkiem, druga stajnią i zwierzętami.

Sunya ulepiła krowy i owce oraz bardzo grube zwierzę, które mogłoby być świnią, gdyby nie róg na głowie. Pani Farmer przeszła obok naszego stolika, spojrzała, upewniła się raz jeszcze i szepnęła *A co to do licha ma być* i Sunya odparła *Nosorożec*. Pani Farmer zerknęła przez ramię, by sprawdzić, czy pan Price patrzy w naszą stronę, po czym zgmiotła zwierzę pięścią. Nosorożec przykleił się do stolika, a w oczach Sunyi pojawił się niebezpieczny błysk. *Narodziny Pana Naszego Jezusa Chrystusa nie miały miejsca w zoo*, wysyczała pani Farmer, a Sunya zapytała *Skąd pani wie*. Inspektor z Ofsted podszedł do naszego stolika i zapytał *Co lepicie*. Sunya otworzyła usta, ale nauczycielka wykrzyknęła *Owcę*, zanim Sunya zdążyła odpowiedzieć. *Lepisz owcę, prawda kochanie*, zapytała, a Sunya nie odezwała się, tylko zrolowała glinę, tworząc szpiczastą parówkę, idealnie przypominającą róg.

Pani Farmer zostawiła nasz stolik i podchodziła do kolejnych par, pytając *jak wam idzie*, co było dziwne, bo zwykle siedzi przy biurku i pije kawę. Pan Price porozmawiał z Danielem i Ryanem, którzy lepili idealną stajenkę z idealnymi zwierzętami i perfekcyjnym małym Jezuskiem. Daniel gadał na okrągło, jaką to dobrą nauczycielką jest pani Farmer, a ona udawała, że nic nie słyszy, ale na policzkach zakwitły jej rumieńce zadowolenia. Daniel popatrzył na tablicę, jakby wiedział, że jego karteczka wkrótce powędruje na chmurkę numer dwa. Sunya z wściekłością kulała glinę, robiąc pięć kolejnych rogów.

Pod koniec lekcji Pani Farmer zdjęła żakiet i pod pachami ukazały się dwie plamy od potu. *Doskonałą pracą, moi kochani*, oznajmiła. *Postawcie wasze stajenki na tym stole, podczas dużej przerwy je upiekę*. Na co odezwał się pan Price: *Chciałbym wrócić i obejrzyć modele, kiedy już będą gotowe*. Pani Farmer zamrugnęła nerwowo, ale odparła *Będzie nam niezwykle miło*. Inspektor wyszedł z klasy, a ona opadła na krzesło i rzuciła *Posprzątajcie ten bałagan* już swoim zwyczajnym głosem.

Sunya zaniósła naszą szopkę na stół i zaczęła oglądać prace innych dzieci. Stała tam i stała, zostawiając mnie z całym sprzętaniem, i pewnie bym się zezłościł, gdyby nie to, że starałem się być miły. Kiedy klasa była czysta, mogliśmy wyjść na boisko. Sunya

zniknęła w łazience dla dziewczyn i nie wyszła aż do końca przerwy.

W trakcie, gdy Jezus piekł się w piekarniku, my mieliśmy angielski. Pani Farmer ciągle zerknęła na drzwi, jakby oczekiwała, że w każdej chwili może pojawić się w nich inspektor. Mieliśmy napisać wiersz pod tytułem *Moje Magiczne Święta* i zawrzeć w nim wszystkie te cudowności, które najbardziej lubimy w Bożym Narodzeniu. Kompletnie nic nie przychodziło mi do głowy. Gwiazdka w mojej rodzinie to zawsze smutny czas. W zeszłym roku tata powiesił skarpetę obok urny i nawrzeszczał na mamę, kiedy nie wypełniła jej prezentami. A w tym roku będzie jeszcze gorzej, bo mama nie ugotuje nam świątecznego obiadu, a to najlepsza rzecz w całym Bożym Narodzeniu, nawet jeśli oznacza konieczność zjedzenia brukselki.

Pani Farmer powiedziała *Pospiesz się, James*, więc zacząłem coś gryzmolić. Wyobraziłem sobie najlepsze święta na świecie i to o nich napisałem. Opisałem zapach gorącego indyka i jak gra świąteczna muzyka. Napisałem o bombkach z rysunkiem kaczek i śmiechu moich sióstr bliźniaczek. Nie mogłem znaleźć rymu do fajnej zabawy, nie licząc kawy, która mi nie smakuje, ale i tak to napisałem. Jednak skoro cały wiersz był jednym wielkim kłamstwem, nie miało to żadnego znaczenia.

Po raz pierwszy Sunya męczyła się nad tekstem i napisała tylko cztery linijki. *Co się stało*, szepnąłem, a ona powiedziała *My nie obchodzimy Bożego Narodzenia*. Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć. Nie wyobrażam sobie zimy bez świąt, nie licząc Narnii, gdzie Biała Czarownica nie pozwala Świętemu Mikołajkowi dostarczyć bobrom prezentów. Sunya dodała *Jak ja chciałabym być normalna* i wtedy do klasy wszedł pan Price.

Glina już się upiekła i pani Farmer wyjęła stajenki z piekarnika. *Ostrożnie, są gorące*, przestrzegła, gdy zaczęliśmy gromadzić się dookoła. Inspektor wystawił nos ponad swoim notesem. Nasza szopka prezentowała się ładnie. Maryja była co prawda większa od Józefa, a Jezuskowi odpadły ręce i prawa noga tak, że wyglądał jak ropucha, ale oprócz tego wszystko było idealne. Żadne ze zwierząt nie miało rogów i już się zacząłem zastanawiać, gdzie się podziały szpiczaste parówki, kiedy inspektorowi zaparło dech z wrażenia. Popatrzyłem w ślad za jego wzrokiem i zobaczyłem stajnię Daniela. Wszystkie znajdujące się wewnątrz zwierzęta miały coś przyklejone na środku czoła. I nie tylko zwierzęta. Pomiędzy oczami Maryi, Józefa, a nawet Jezusa tkwiła parówka. Spojrzałem na Sunyę, miała niewinną minę, lecz oczy płonęły jej jak węgiel. Szpiczaste parówki nie przypominały w ogóle rogów, wyglądały raczej jak małe siusiaki. Zakryłem usta dłonią, żeby powstrzymać śmiech. Nie ośmieliłem się zerknąć na Daniela, na wypadek, gdyby to mnie winił. Pomyślałem sobie jednak *I kto jest teraz kutasem*.

Pan Price wyszedł z klasy, czerwony jak burak, a długopis trząsnął się w jego długich palcach, gdy pisał coś okropnego w swoim notesie. Daniel nie został ukarany, nauczycielka nie miała dowodu na to, że on to zrobił. Zresztą, nie miało to znaczenia. Zemsta się udała. Cała klasa musiała zostać w sali podczas przerwy obiadowej, bo nikt nie przyznał się do *Pohańbienia Syna Bożego*, cokolwiek to miało oznaczać. Wszyscy się wkurzyli, ponieważ z nieba spadły pierwsze białe płatki i inne klasy świetnie się bawiły w bitwę na śnieżki.

Mnie to zupełnie nie przeszkadzało, bo dzięki temu, mogłem spędzić przerwę z Sunyą, zamiast czekać, aż wyjdzie z toalety dla dziewczyn.

Zanim Jas przestała jeść, uwielbiała kielbaski z puree ziemniaczanym. Kielbasę

zawsze kroїła i ukrywała w ziemniakach. Właśnie ta potrawa przysła mi do głowy po lekcjach. Z jednej strony dlatego, bo byłem wściekle głodny, a z drugiej, ponieważ świat wyglądał jak ogromny talerz Jas, tylko wszystko ukryte było nie pod ziemniakami, a pod grudkami białego śniegu.

Sunya nie czekała, aż pani Farmer każe nam zniknąć jej z oczu. Wybiegła ze szkoły i ruszyła przed siebie jak najszybciej się dało. Poślizgnąłem się, próbując ją dogonić. Kiedy zawołałem ją po imieniu, zatrzymała się i odwróciła. Jej twarz wydawała się ciemna na tle płatków śniegu, a ona sama wyglądała tak ślicznie, że aż zapomniałem, co chciałem powiedzieć. *Czego chcesz, Jamie*, zapytała i nie była zła, raczej zmęczona i zniechęcona. Może nawet znudzona, a to wydało mi się najgorsze. Przeszedł po mnie lodowaty dreszcz, jednak wcale nie od śniegu. Tak bardzo pragnąłem powiedzieć coś niezwykle zabawnego, żeby w jej oczach zamigotały wesołe iskierki, ale w głowie czułem pustkę i tylko wpatrywałem się, jak śnieg wiruje wokół nas. Po dłuższej chwili zapytałem *Ile osób uratowałaś dzisiaj, Superbohaterko*, a ona przewróciła oczami. *Ja tysiąc czterech, ale to był spokojny dzień*. Sunya skrzyżowała ręce na piersi i westchnęła zniecierpliwiona. Hidżab miała upstrzony płatkami śniegu i powiewał jej na wietrze. Wydawała się rozgniewana, więc powiedziałem *Dziękuję*, a ona zapytała *Za co*. Podeszedłem bliżej. *Za to, że Jezus dostał kutasa, a Daniel dostał za swoje*. W głowie dodałem jeszcze / *w ogóle za wszystko*. Wzruszyła ramionami. *Nie zrobiłam tego dla ciebie, tylko dla siebie*. A potem odwróciła się i odeszła, a jej stopy zostawiły w śniegu głębokie ślady.

Przez cały tydzień powtarzałem tacie, że jutro musi przyjść do szkoły na piętnastą piętnaście. Mam nadzieję, że nie pije, nie chciałbym, żeby przyniósł wstyd mnie lub mamie. Nie odpowiedziała na mój list, ale wiem, że przyjedzie. Tak, myślę, że przyjedzie. Mam taką nadzieję. Wczoraj przez godzinę i trzynaście minut trzymałem zaciśnięte kciuki, żeby mieć pewność. Jas powiedziała *Nie nastawiaj się zbyt*, a ja odparłem *Mama nie opuściłaby wywiadówki*. Wypracowanie, jakie napisałem z punktu widzenia Jezusa dostało A i teraz mój anioł znajduje się na siódmej chmurce. Nie mogę się doczekać, kiedy mama je przeczyta.

Wróciłem ze szkoły wcześniej i zauważyłem, że na aparacie miga jakaś wiadomość. Pomyślałem, że to mama nagrała się w sprawie jutrzejszego dnia i musiałem się powstrzymać, żeby nie odtworzyć wiadomości od razu. Tata spał na sofie z urną na poduszce i obrazkiem na Dzień Ojca przytrzymywanym podwójnym podbródkiem. Kartka trzepotała za każdym razem, kiedy wydychał powietrze z płuc. Zamknąłem drzwi, nakarmiłem Rogera, a potem umyłem zęby, pochlapałem sobie twarz i uczesałem włosy palcami. Od miesiący nie słyszałem głosu mamy, chciałem dobrze się prezentować. Koszulka ze Spider-Manem jest już cała pognieciona i brudna, więc wytarłem ją zwilżonym ręcznikiem i po-psikałem dezodorantem.

Gdy byłem gotów, zaciągnąłem krzesło do telefonu i usiadłem, zdenerwowany. Wyciągnąłem dłoń. W migoczącym światełku automatycznej sekretarki moja ręka rozblęła na czerwono. Mój palec zawisł nad przyciskiem Odtwórz. Tak bardzo chciałem usłyszeć głos mamy, ale nagle poczułem przerażenie. Może zadzwoniła, żeby odwołać. Próbowałem policzyć do trzydziestu, jednak mój palec uderzył w przycisk zanim dotarłem do siedemnastu.

Kobiecy głos. O, *dzień dobry*, odezwała się, zaskoczona, że rozmawia z automatyczną sekretarką. Nie brzmiała jak mama, ale z drugiej strony ludzie przyjmują inny ton podczas, gdy do kogoś dzwonią. Zacisnąłem kciuki.

Dzień dobry, nazywam się Lewis, jestem wychowawczynią Jasmine. Nie ma powodu do niepokoju, ale Jasmine nie chodzi do szkoły od piątku i chciałam się tylko upewnić, że jest z państwem w domu. Rozumiem, że nie czuje się dobrze i stąd ta nieobecność. Bardzo proszę o telefon po południu, z informacją, co się dzieje. Jeśli jest rzeczywiście chora, mam nadzieję, że szybko wyzdrowieje i że za kilka dni zobaczymy ją w szkole. Bardzo państwu dziękuję.

Moją pierwszą myślą było *To nie mama to nie mama to nie mama* i dlatego w ogóle nie mogłem się skupić na tym, co mówi pani Lewis. Wybrałem ponowne odtwarzanie i wysłuchałem wiadomości jeszcze raz, a z każdym kolejnym zdaniem szczęka opadała mi coraz niżej. Jas nie jest chora. Rano wyszła do szkoły w swoim mundurku.

Siedziałem w milczeniu, zbyt zszokowany, żeby się poruszyć. Roger wskoczył mi na kolana, a jego ogon skręcił się w powietrzu jak jeden z tych zaklinanych węży, jakie można zobaczyć w pełnych kurzu krajach, na przykład w Afryce, albo w filmie o Aladynie. Nie wiedziałem, co robić, wagary to poważna sprawa.

Gdzie byłaś, zapytałem, kiedy klamka drgnęła i moja siostra weszła do hallu.

Popatrzyła na mnie jak na kretyna. *W szkole*. Uderzyło mnie to kłamstwo prosto w twarz, a moje policzki zupełnie jak automatyczna sekretarka, zapaliły się na czerwono czerwono czerwono. *Mów prawdę*, nakazałem, a ona odparła *Nie bądź taki wścibski*, zupełnie sarkastycznym tonem. *Pani Lewis zostawiła wiadomość*, oznajmiłem, a wtedy wzrok Jas powędrował w stronę telefonu, a jej dłoń powędrowała w stronę ust. Zapytała *Czy tata...*, a ja odpowiedziałem *Nie*, więc zapytałaś *zamierzasz...*, na co odparłem *Oczywiście, że mu nie powiem*.

Skinęła głową, zrobiła sobie herbatę i zapytała, czy mam ochotę na Ribenę² na ciepło. To chyba mój ulubiony napój, niestety nie rymował się z żadnym słowem związanym z Bożym Narodzeniem. Powiedziałem *Tak*, ale nie dodałem *Poproszę*. Nadal byłem na nią zły za to, że mnie okłamała i przeżywała przygody beze mnie. Jas usiadła przy stole i powiedziała *Przepraszam*. *W porządku*, rzuciłem, chociaż wcale nie było w porządku i zezłościło mnie, że od razu poczuła się lepiej, jakby to jedno słowo wszystko cofnęło. Od razu pomyślałem o Sunyi i wreszcie zrozumiałem, dlaczego nie chce nosić pierścionka. Nie wybaczyła mi, bo przeprosiłem ją tylko raz, a to za mało.

² Popularny w Wlk. Brytanii zagęszczony sok, głównie z czarnej porzeczki, produkowany przez GlaxoSmithKline [przyp. tłum.]

Miałem ochotę wybiec z kuchni i przebiec całą drogę pod górę, do domu Sunyi. Chciałem stanąć pod jej oknem i krzyknąć *Przepraszam przepraszam przepraszam*, aż popatrzy na mnie oczami pełnymi iskierek, powie *W porządku* i tak rzeczywiście będzie. Ale nie mogłem wybiec, więc tego nie zrobiłem, tylko siedziałem przy stole czekając, aż Jas zacznie opowiadać.

Zakochałam się. Tego się nie spodziewałem. Aż się zakrztusiłem Ribeną i Jas musiała mnie poklepać po plecach. Kiedy znów byłem w stanie oddychać, zapytałem *W Leo*, a ona tylko obgryzała paznokcie, więc stwierdziłem *O*. Poruszyła się nerwowo na krześle. *To, co tata powiedział*, zaczęła, a oczy napełniły jej się łzami. Wstałem, żeby podać jej chusteczkę, ale nie mogłem znaleźć, więc dałem jej ścierkę do naczyń. Zaśmiała się, jednak wcale nie wydawała się szczęśliwa. *To, co tata powiedział w samochodzie*. *To wszystko o Leo, że jest zniewieściałą*. *Pedalski*. *Nigdy mu tego nie wybaczę*. *Musisz mu wybaczyć*, powiedziałem, a ona pociągnęła nosem i zapytała *Dlaczego*. *Bo to nasz tata*, na co powiedziała *I co z tego*, a ja utknąłem w martwym punkcie. *To nasz tata*, powtórzyłem i nie wiedziałem, co jeszcze dodać. A Jas rzuciłaś *my jesteśmy jego dziećmi*. Nie rozumiałem, o co jej chodzi, więc tylko ścisnąłem ją za rękę. Była zimna i taka koścista.

Po tym, jak tata odjechał i zostawił mnie w deszczu, nie mogłam iść do szkoły, powiedziała Jas, wpatrując się w plamkę na stole. *Zadzwońłam do Leo, urwał się z zajęć i przyjechał po mnie*. *Spędziliśmy tamten dzień razem i to były moje najszczęśliwsze chwile w życiu*. *Po tym szkoła nie wydawała mi się już tak ważna*, przysunąłem się bliżej i pokręciłem głową. *Szkoła jest ważna*, oznajmiłem. *Bardzo ważna*. *Mama mówiła, że dobre oceny pomogą nam uzyskać wszystko, co tylko będziemy chcieli*. *Powiedziała, że wykształcenie...*

Jas podniosła wzrok znad stołu i popatrzyła mi prosto w oczy. *Jamie, mamy tu nie ma*.

Znów chciałem jej powiedzieć o wywiadówce, o tym, że mama z pewnością właśnie się pakuje, podekscytowana spotkaniem ze mną. Chciałem powiedzieć *Mama przyjeżdża. Jutro o piętnastej piętnaście będzie stała pod moją szkołą. Bez Nigela*. Nie zrobiłem tego jednak. Nie powiedziałem ani słowa i poczułem po raz pierwszy cień czegoś, co mnie przerażało.

Jutro wracam do szkoły, oświadczyła Jas. *Podrobię usprawiedliwienie od taty, będzie dobrze.*

Zapytałem *Obiecujesz*, a ona odparła *Przysięgam na moje ży-* i przerwała. Oboje pomyśleliśmy o nieżywej Rose na kominku. Jas wstała i umyła kubki w zlewie. *Przepraszam*, powtórzyła, a płyn do mycia naczyń utworzył bąbelki, które wyglądały jak śnieg i morska piana i pianka na Fancie. *Za kłamstwa, wagary i tak dalej*. Powiedziałem *W porządku* i tym razem, tak naprawdę było. *Tak mi trudno*, powiedziała, wycierając kubki do sucha. *Myśleć o czymkolwiek innym. Być daleko od niego. Kiedyś zrozumiesz*. Nic nie powiedziałem, ale pomyślałem sobie, że rozumiem i to doskonale.

Przeprosiłem Sunyę ponad trzysta razy. Kiedy tylko pani Farmer przestawała gadać, mówiłem *Przepraszam przepraszam przepraszam przepraszam przepraszam przepraszam* na jednym oddechu. Z jakiejś przyczyny okazało się to nieskuteczne, Sunya była smutna i milcząca. Podczas przerwy obiadowej usiedliśmy na naszej ławce, ale Daniel krzyknął *Jak obchodzą święta takie pogańskie pluskwy jak ty* i rzucił ją śnieżką w głowę. Chciałem coś odpowiedzieć, ale tego nie zrobiłem, Sunya uciekła i resztę przerwy spędziła w toalecie. Daniel chyba wie, że to ona przyczepiła jego postaciom kutasy, bo staje się wobec niej coraz gorszy.

Przez cały dzień nie mogłem się skupić, wiedząc, że mama już do mnie jedzie. Nie byłem w stanie czytać mapy, omawiać epoki wiktoriańskiej ani pisać ładnych akapitów. Wpatrywałem się tylko w zeszyty i nic nie napisałem. W palcach trzymałem jednak długopis, żeby pani Farmer na mnie nie nakrzyczała i nie przekazała mamie, że jestem leniwy. Gdy lekcje się skończyły, czułem się okropnie zmęczony, jakbym na tę piętnastą piętnaście czekał od stu lat bez zmrużenia oka.

My wchodziliśmy na konsultacje jako pierwsi. Pani Farmer powiedziała *Idź do rodziców, dołączę do was za pięć minut*. Wszedłem na zewnątrz i zobaczyłem auto taty. Poczułem ulgę, kiedy opuścił szybę i powiedział *Cześć* niezbyt pijanym głosem. Zapytał *Co jest grane*, bo serce mi waliło, kolana się trzęsły, głowa obracała się na wszystkie strony i zupełnie zaschło mi w ustach. Na parkingu stało mnóstwo samochodów, ale w żadnym nie było mamy.

Tata musiał skorzystać z ubikacji, więc weszliśmy do budynku. Pokazałem mu toaletę chłopców, a sam popędziłem na zewnątrz, żeby upewnić się, co widnieje na tablicy. Zdecydowanie było tam napisane *Ambleside Church of England Primary*, a więc mama nie mogła przejechać obok i nie zauważyć mojej szkoły. Koszulka ze Spider-Manem przemokła na wylot, bo padał śnieg i przykleiła mi się do ciała, przez co wyglądałem idiotycznie. Rękawy wydawały się dłuższe niż w rzeczywistości a pod czerwono-niebieskim materiałem miałem gęsią skórę.

Czekałem i czekałem. Śnieg walił, płatki przyklejały mi się do rzęs. Nagle zawiął

lodowaty wiatr, więc otuliłem się ramionami. Wtedy usłyszałem nadjeżdżający samochód.

Za kierownicą siedziała kobieta. Miała długie włosy, tak jak mama. Pobiegłem w jej stronę, machając ręką. Poślizgnąłem się i uderzyłem kolanem w śnieg, pokryty pomarańczowymi kropkami, bo woźny wysypał piasek. Auto skręciło na parking.

Mama, zawołałem. Przyjechała. Czuję się taki szczęśliwy, że nie mogłem się ruszyć, chociaż nadal tkwiłem na czworakach na drodze. *Mama*. Kobieta jechała powoli, pochylała się nad kierownicą, a wycieraczki pracowały bez wytchnienia, usuwając padający na przednią szybę śnieg. Znow jej pomachałem i spojrzałem dokładniej. Kobieta też na mnie popatrzyła, mrużąc oczy za szklami, jak gdyby nie wiedziała, o co chodzi.

Mama nie nosi okularów.

Spojrzałem jeszcze raz. Mama nie ma brązowych włosów. Ta kobieta, mama jakiegoś innego dziecka, pokazała na chodnik. Chciała, żebym się usunął z drogi, a ja nie mogłem wstać. Na kolanach trzymało mnie nie szczęście, lecz coś o wiele bardziej przerażającego. Kobieta zatębiła trzykrotnie, więc podpełzłem do krawężnika.

Tata znalazł mnie pod ścianą. Powiedział *Co ty wyczyniasz do jasnej cholery* i chwycił mnie za ramiona. Postawił mnie na nogi i nie wiem, co było potem, bo mój umysł przebywał prawie pięćset kilometrów dalej, w Londynie, ale nagle znalazłem się na krześle, a przede mną siedziała pani Farmer i mówiła o tym, jak dostałem A za wypracowanie o narodzinach Jezusa.

Mama znowu mnie okłamała. Powiedziała, że dobre oceny dadzą mi to, co będę chciał. A ja chciałem tylko, żeby przyjechała na wywiadówkę.

Tata był pod wrażeniem, zapytał *Czy mogę zobaczyć* i nawet udał, że czyta fragment, bo powiedział *Doskonale*. Ja jednak nic nie czułem. Byłem zupełnie odrętwiały i wcale nie z powodu śniegu. Pani Farmer miała mały grzejnik pod biurkiem i od razu rozgrzała mi nogi. Pani Farmer coś powiedziała, a potem tata coś powiedział i pani Farmer powiedziała *coś* jeszcze i popatrzyła na mnie, jakby oczekiwała odpowiedzi. Odparłem *Tak* i nic mnie nie obchodziło, że nie słyszałem pytania. Uśmiechnęła się, więc widocznie to była prawidłowa odpowiedź, a potem zapytała *Jaką szkołę wybierze w przyszłym roku*, a tata odparł *Grasmere*, na co zapytała *Czy to szkoła, do której chodzą bliźniaczki*, a tata powiedział *Słucham* i nagle zacząłem zwracać uwagę.

Czy to szkoła, do której chodzą bliźniaczki, powtórzyła nauczycielka, a tata potarł sobie brodę, aż zazgrzytała mu szczecina. *Bliźniaczki*, powtórzył, jakby nie zrozumiał, a pani Farmer wydawała się zagubiona. *Rose*, powiedziała *i... jak ma na imię druga siostra*. Tata nie odzywał się, ja milczałem, tylko wiatr hulał na zewnątrz.

Jas chodzi do Grasmere, powiedział tata w końcu. Miałem ochotę kopnąć moją wychowawczynię, żeby przestała zadawać pytania, ale takie rzeczy zdarzają się tylko w książkach. *A Rose*, zapytała.

Rose jest w lepszym miejscu, na co pani Farmer zapytała *W prywatnej szkole*, a tata przełknął ciężko ślinę i nic nie powiedział. Nauczycielka poczerwieniła, *stwierdziła Tak, no dobrze*, i zaczęła kartkować stos moich prac. *James napisał kilka bardzo ładnych wypracowań o państwa rodzinie*, powiedziała, wyjmując mój zeszyt do angielskiego. Chciałem krzyknąć *NIEEEEEEEEE*, jednak już go podała tacie. Przeczytał *Moje*

cudowne wakacje letnie, Moją wspaniałą rodzinę oraz Moje magiczne święta i zeszyt zadrżał mu w dłoni. Pani Farmer czekała, aż mnie pochwali. Patrzyła na mnie, ja patrzyłem na tatę, a tata wpatrywał się w kłamstwa, które nawypisywałem o Rose.

Pod drzwiami słyhać było jakiś hałas. Pojawili się kolejni rodzice. Pani Farmer odchrząknęła i powiedziała *Reasumując, James to bystry chłopiec, czasem pracuje dobrze, chociaż ma tendencje do myślenia o niebieskich migdałach. Pod względem społecznym, wolalabym, żeby zadawał się trochę bardziej z innymi dziećmi, ale chyba zaprzyjaźnił się zjedną dziewczynką, z Sunią.* Rozległo się pukanie do drzwi. *Z Sunią,* powtórzył tata, a pani Farmer powiedziała *Proszę wejść. Nie Sunią, panie Matthews, Sunią.*

Klamka drgnęła, drzwi się otworzyły. *O, to jest właśnie Sunya,* oznajmiła radośnie moja wychowawczyni. Okręciłem się na krześle, koszulka ze Spider-Manem przykleiła mi się do pleców, po których pociekła stróżka potu. *Cześć, Jamie,* odezwała się mama Sunyi tym swoim zabawnym akcentem. *Miło cię znów widzieć.*

Dwa białe hidżaby zajaśniały w świetle klasowych lamp. Dwie ciemne twarze wydały się zszokowane, gdy tata poderwał się na nogi. *Skąd znasz mojego syna*, wrzasnął i uderzył pięścią w biurko pani Farmer. Książki zsunęły się ze sterty, przewróciły filiżankę i wylały kawę na jakieś poważnie wyglądające papiery. Pani Farmer wydała z siebie odgłos przestraszonego psiaka i spojrzała na mnie, jakby to była moja wina. Mama Sunyi powiedziała *Ekhm*, a ja potrząsnąłem głową najdelikatniej jak mogłem, a ona odpowiedziała *Nie znam go*. Zamknąłem oczy i otworzyłem je powoli. Miałem nadzieję, że to czytelny znak podziękowania.

Szepnąłem *Chodźmy*, ale tata krzyknął *Miło cię znów widzieć. ZNÓW. Tak powiedziałaś*. Podszedł do mamy Sunyi, a ona zrobiła krok do tyłu i chwyciła Sunyę za rękę. Pani Farmer wstała i położyła dłoń na sercu. *Panie Matthews, proszę się uspokoić*, zaskrzeczała. Tata ją jednak przekrzyczał. *Gdzie widziałeś mojego syna*. Mama Sunyi zrobiła kolejny krok w tył i pociągnęła za sobą córkę. *Gdzie spotkałaś mojego syna*. Sunya strąciła rękę mamy i odparła *Na szkolnym meczu piłki nożnej*. Miała spokojny głos, niewinną twarz i było to najlepsze kłamstwo na świecie. *Zamknij się*, wrzasnął tata, a wtedy mama Sunyi wybuchła. *Jak pan śmie*, powiedziała, a jej brwi zniknęły pod białym hidżabem. *Jak pan śmie odzywać się do mojej córki w ten sposób*. Tata zaśmiał się, ale był to śmiech pełen zła, tak jak w filmie czarny charakter zaciera dłonie, oczy mu się robią czerwone, a z ust wydobywa się *HAHAHAHAHA*. *Będę mówił co będę chciał w moim własnym kraju*, odparł tata. Chciałem zawołać *To też jest kraj Sunyi*, lecz tata sprawiał wrażenie szaleńca. Pani Farmer zapiszczała *Idę po dyrektora*, po czym trzasnęła drzwiami o ścianę i wybiegła z klasy.

Muzułmanie zabili moją córkę, powiedział tata, pokazując palcem na siebie. Podbiegłem do niego, próbując chwycić go za rękę, ale mnie odepchnął. *Zabili moją córkę*, powtórzył, przy każdej sylabie uderzając się w żebra. *To idiotyzm*, powiedziała mama Sunyi, a głos jej drżał i widziałem, że się boi. Pomyślałem o krętej słonce w milkshake'u i poczułem nienawiść do taty za to, że ją przestraszył. *Prawdziwi muzulmanie nigdy, przenigdy nikogo nie krzywdzą. To, że ktoś nazywa siebie...* zaczęła, jednak tata wrzasnął *ZAMKNIJ SIĘ*. Cały się trząsł i zrobił się fioletowy na twarzy. Pot mu spływał ze skroni i leciał ciurkiem po policzkach. Krzyknął coś, co brzmiało jak *Terroryści i Wszyscy tacy sami*, a mama Sunyi odwróciła głowę, jakby ją spoliczkował.

Sunya stała przed dekoracją świąteczną, zaciskając dłonie w pięści. Na ścianie tuż za nią połyskiwały wycięte ze srebrnego papieru śnieżynki. Po lewej widać było anioły, po prawej Świętego Mikołaja z brzuchem wystającym z czerwonego płaszcza i prezentami wystającymi z czarnego worka. Na środku znajdowała się wycięta z niebieskiej tektury Maryja, wycięty z brązowego kartonu Józef oraz mały Jezus z tektury zbyt różowej, żeby wyglądała jak skóra. Zrobiło mi się bardzo smutno, kiedy patrzyłem na Sunyę na tle tego wszystkiego, w co nie wierzy i z czego nie może się cieszyć. Pomyślałem o jej wierszu, o tym, że napisała tylko cztery linijki, bo dla niej w grudniu nie ma nic magicznego. I chociaż tata nadal krzyczał, wiatr szarpał oknami, a kawa kapiała kap kap i tworzyła na podłodze kałużę, ja słyszałem tylko słowa Sunyi, *Chciałabym być*

normalna. Pragnąłem podejść do niej, chwycić za pięści, wsunąć jej na palec pierścionek i powiedzieć *Cieszę się, że nie jesteś*.

W lewym oku Sunyi zamigotała łza. Zaskrzyła się srebrem jak wielka kropla deszczu, gdy tata nazwał jej rodzinę złymi ludźmi. Wyobraziłem sobie, jak krzyczę *Nie słuchaj go*. Jak mówię *Jesteś inna i to jest wspaniałe*. Wyobraziłem sobie, że walę tatę w twarz za to, że przez niego Sunya płacze i przez ułamek sekundy nawet wierzyłem, że mogę to zrobić. Ale stałem tylko na środku klasy z łomoczącym sercem i trząsałem się w tej mojej koszulce ze Spider-Manem, za dużej na takiego chłopca jak ja.

Do sali wszedł dyrektor, a jego błyszczące buty zastukały na podłodze. Powiedział *Na czym polega problem*. Mama Sunyi nie odezwała się, widziałem tylko czubek jej hidżabu, bo wpatrywała się w ziemię. Chciałem, żeby podniosła głowę, chciałem ją przeprosić wzrokiem, ale nie ruszyła się. Tata powiedział *Nie ma żadnego problemu*, po czym chwycił mnie za rękę, pociągnął w stronę drzwi i skinął dyrektorowi na pożegnanie, jakby ostatnie pięć minut w ogóle się nie zdarzyło. Miałem nadzieję, że wszystko złe już za nami, ale kiedy szliśmy korytarzem, tata wbił paznokcie w moją rękę i to bolało. A więc czekały mnie kłopoty.

W samochodzie nikt się nie odzywał. Opony zatańczyły na śniegu i śniegowe błoto rozprysnęło się na wszystkie strony. Ledwo podjechaliśmy pod dom, tata powiedział cicho *Do środka*, więc wyskoczyłem, poślizgnąłem się na lodzie, po czym wpadłem do domu i pobiegłem do salonu. Jas i Leo leżeli na sofie, mieli czerwone twarze, a ich czarne ubrania były pogniecione. Jas powiedziała *Myślałam, że macie wywiadówkę*, a ja odparłem *Koniec*, dodałem *Tata* i pokazałem ręką na dwór. Moja siostra z krzykiem zepchnęła Leo z sofy.

Tata wmaszerował do domu. *Szybko*, powiedziałem ciągnąc Jas za rękę. Leo przygryzł kolczyk, który tkwił mu w wardze. Kroki zatrzymały się. *Schowaj się*, syknęła Jas. Klamka drgnęła, a Leo zanurkował za sofę w tej samej chwili, w której tata wszedł do pokoju.

Nie jestem dobry w zabawę w chowanego. Nie lubię małych, ciemnych miejsc, bo od razu wydaje mi się, że zostałem zakopany pod ziemią, wpadam w panikę i ostatecznie kryję się za drzwiami albo za czymś równie idiotycznym. Ale nawet ja jestem w tym lepszy niż Leo, który nie zwinął się wcale, żeby zajmować mniej miejsca. Zza zagłówek wystawała jego zielona czupryna, a na dywanie widać było czarne buty.

Kiedy tata go zobaczył, twarz z fioletowej zrobiła mu się czarna i wrzasnął *Wstawaj*. Leo chyba nie domyślił się, że tata mówi do niego, bo siedział tam wieki, wstrzymując oddech i zamykając oczy, jakby sądził, że nikt nie zobaczy. Wtedy tata podszedł do sofy, chwycił Leo za koszulkę na plecach i pociągnął z całej siły. Leo poderwał się na nogi, a tata krzyknął *Wynoś się z mojego domu*. *Nie mów tak do niego*, powiedziała Jas, na co tata odparł *Będę mówił jak będę chciał pod własnym dachem* i pokazał drżącym palcem na sufit.

Leo uciekł, a tata krzyknął jeszcze *Masz zakaz wstępu do mojego domu i zakaz spotykania się z Jasmine*, po czym trzasnął drzwiami tak, że spadło stare rodzinne zdjęcie i rozbiło się w drobny mak. *Nie możesz tego zrobić*, Jas była wściekła i rozgorączkowana i machała bezwładnie rękoma w powietrzu. *Owszem, mogę i właśnie to zrobiłem*, odparł tata i odwrócił się do mnie.

Kochasz Rose, zapytał, a ja bez wahania odpowiedziałem Tak. Tata przysunął się krok bliżej. Pamiętaj, jak zginęła. Jego głos był cichy, delikatny, groźny. Chciałem przełknąć ślinę, lecz w ustach miałem zupełnie sucho. Pokiwałem głową. Tata zamknął oczy i chyba próbował zapanować nad czymś, ale okazało się to silniejsze od niego, bo zaczął krzyczeć i kopać sofę. KŁAMCA. JESTEŚ KŁAMCĄ, JAMESIE. Przycisnąłem się do ściany, a tata rzucił poduszkę, która uderzyła w lampę. Klosz zatrzasnął się i zaskrzypiał. Nie jestem kłamcą, odpowiedziałem i opadłem na kolana, bo tata ruszył przez dywan. Na kominku zadrżała urna. W takim razie, jak możesz to robić, wrzasnął tata, a jego głos zagrzmiął w moich uszach jak włączony zbyt głośno iPod. Skoro mówisz prawdę, jak możesz przyjaźnić się z tą dziewczyną.

Jas powiedziała *Daj mi spokój* i podpełzła do mnie. Płakała i ręce jej się trzęsły, gdy mnie obejmowała. *Wiedziałaś o tym*, huczał tata, pochylając się nad Jas i krzycząc jej prosto w twarz. *Wiedziałaś, że Jamie ma dziewczynę muzułmankę.* Jas spojrzała na mnie, ale nie była rozczarowana ani zła, raczej zaciekawiona. Ścisnęła mnie ukradkowo i powiedziała *Mnie to nie przeszkadza. Pieprzoną TERRORYSTKĘ*, wrzeszczał tata, opryskując sobie brodę śliną. Chciałem mu powiedzieć, że się myli, bo wszyscy terroryści, jakich widziałem w telewizji, to mężczyźni powyżej dwudziestego roku, a nie dziewczynki, które nie mają jeszcze jedenastu lat, ale tata walnął w ścianę tuż nad moją głową i musiałem schować twarz.

Oczy wcisnąłem w kolana, ale słyszałem, że tata płacze. Pociągał nosem i gluty pociekły mu do gardła, więc kiedy się odezwał, jego głos wydawał się gęsty i klejący. *Nigdy nie płaczesz z jej powodu*, powiedział, a ja poczułem wyrzuty sumienia, jakby wszystko, co poszło nie tak w naszej rodzinie, było moją winą. Ukłulem się w oko, żeby pociekły mi łzy.

Nie potrafisz jej kochać, ciągnął tata, ścisząc nagle głos. Spojrzałem poprzez szpary między palcami. Tata podszedł do kominka i wpatrywał się w urnę. *Nie potrafisz, skoro napisałeś te wszystkie kłamstwa, udając, że ona żyje, podczas gdy jej nie ma już od pięciu lat. Nie, jeśli przyjaźnisz się z muzułmanką.* Tata zdjął urnę z półki nad kominkiem. Zadrżała w jego rękach, a spocone palce zostawiły ślady na złotym naczyniu. *Zobacz, co oni jej zrobili*, powiedział, unosząc urnę. *Zobacz, James, co muzułmanie zrobili twojej siostrze.* Teraz nie wydawał się już wściekły, tylko smutny. Bardziej niż najsmutniejszy człowiek pod słońcem, a aktualnie jest nim Spider-Man, kiedy umiera wujek Ben. Jas rozplakała się jeszcze mocniej, żałowałem, że ja też nie jestem do tego zdolny.

Zapanowała cisza i wiedziałem, że to koniec awantury, ale nie miałem pojęcia, czy znów można się odzywać. Więc siedziałem oparty o ścianę, ręka mnie piekła, głowa bolała, przyglądałem się, jak wskazówki zegara tykają dookoła tarczy. Po trzech minutach i trzydziestu jeden sekundach, tata odstawił urnę na kominek i wyszedł z salonu. Dobiegł mnie brzęk szklanek i dźwięk otwieranej puszki. Jas pomogła mi wstać. *Chodźmy do twojego pokoju*, powiedziała.

Usiedliśmy na parapecie i wpatrywaliśmy się w gwiazdy. Widać było Bliźnięta i Lwa. Srebrna poświata z nieba oświetlała śnieg i przeobrażała trawnik w skrzące się diamenty. *Według horoskopu, to miał być okropny dzień*, odezwała się Jas. *Ale nie sądziłam, że będzie aż tak straszny.* Jej oddech zostawił na szybie kółka pary, napisałem w niej duże J, a potem imię mojej siostry, i z tego samego J napisałem moje imię.

Wszystkie litery się połączyły i wyglądało to naprawdę fajnie. *Wszystko w porządku*, zapytała. *Taaa*, odparłem.

Tęsknię za mamą, powiedziała nagle i to było dziwne, bo sam pomyślałem dokładnie o tym samym. *Chciałabym, żeby była z nami*. Wbiłem wzrok w podłogę. *Nie przyjechała na zebranie*, odezwałem się cicho. Jas oparła się o okno. *Nie sądziłam, że to zrobi*, powiedziała. Zaczęłem pocierać dywan palcami stóp. *Może utknęła w korku na autostradzie*, powiedziałem. *Jeśli był wielki, mogła zrezygnować i wrócić do Londynu, wiesz, jaka ona jest. Może tak właśnie zrobiła*. Jas bawiła się różowym kosmykiem. *Może*, odparła, ale nie patrzyliśmy sobie w oczy. Znów ogarnął mnie ten sam cień, taki ogień, zupełnie jak jedna z tych oszukańczych świeczek urodzinowych, których nie da się zdmuchnąć. Nie rozpoznawałem tego uczucia, lecz czymkolwiek było, przerażało mnie.

Przez chwilę milczeliśmy. Roger skradał się po ogrodzie, a jego rude łapy zostawiały błyszczące dziury w śniegu. Popatrzył na zamrożone oczko wodne, a ja zacząłem się zastanawiać, czy moja rybka przeżyła pod lodem. Jas westchnęła. *Mam nadzieję, że u Leo wszystko OK*. Zdjąłem luźną nitkę z poduszki i powiedziałem *A ja mam nadzieję, że u Sunyi*. A potem uśmiechnąłem się, chociaż to wcale nie było śmieszne. *Tata musi nas naprawdę nienawidzić*.

Tak, powiedziała Jas, marszcząc czoło. *Mama też*. To miał być tylko żart i chciałem to powiedzieć, ale moja siostra oparła brodę na kolanach, zamyślona i poważna. *Gdy byłam mała, miałam pięć pluszowych misiów. Edward, Roland, Bertha, John i Burt*. Nie rozumiałem, po co opowiada mi o swoich zabawkach. *Mój miś miał na imię Barney*, odparłem powoli. Jas narysowała pięć kresek na zaparowanej szybie. Tam, gdzie obgryzała paznokcie, miała odłupany czarny lakier. *Wszystkie je kochałam. Zwłaszcza Burta, który nie miał oczu. Któregoś dnia go zgubiłam. Zostawiłam w autobusie w Szkocji, kiedy pojechaliliśmy do babci i już nigdy więcej go nie zobaczyłam*. Roger zniknął w krzakach, polując na jakieś zwierzę.

Zaczęłem walić w szybę, żeby przestał. *Bardzo płakałam*, ciągnęła Jas. *Przez długie godziny, Ale z ulgą wróciłam do pozostałych misiów w Londynie*. Jas starła jedną z narysowanych na szybie kresek i popatrzyła na pozostałe cztery. *Kochałam je bardziej niż kiedykolwiek, bo zostało ich mniej*.

To była bezsensowna historia, nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Milczałem więc i czekałem. *Może oni też tak się pocują*, powiedziała. *Kiedyś. Gdy minie ten ból* Nie miałem pojęcia, czy mówi o misiach czy o rodzicach, ale wydawała się taka młoda, zupełnie nie przypominała mojej starszej siostry, a ja chciałem, żeby zrobiło jej się lepiej, więc odparłem *Na pewno tak będzie*. Jas przycisnęła kolana do siebie. *Naprawdę tak myślisz*, zapytała, a ja pokiwałem mądrze głową. Uśmiechnęła się drżąco i zaczęła mówić szybko, jakby ją ktoś gonił. *Wtedy będą nas kochać, nie myśląc wcale o Rose, a mama wróci do domu i wszystko będzie jak dawniej*.

Możemy nakłonić ją do powrotu, oświadczyłem nagle i zeskoczyłem z parapetu. *Możemy nakłonić ją do powrotu do domu i wszystko będzie jak dawniej*. Wyjąłem spod poduszki zmiętą kopertę i podałem Jas. Otworzyła, przeczytała słowa *Przyjeźdź do Manchesteru, żeby odmienić życie*, ale tym razem nie zawołała *Co za gówno* ani nic podobnego. Wysłuchiwała mojego planu. Dotarłem do miejsca, w którym wchodzimy na widownię po zaśpiewaniu piosenki, a rodzice trzymają się za ręce, bo są tak bardzo

dumni i wcale nie powiedziała *Wżyciu tak nie będzie*. Szepnęła *Chciałabym bardzo, żeby się pogodzili* i zamknęła oczy, wyobrażając sobie, jak się do siebie tulą.

Więc zrobmy to, powiedziałem, czując podekscytowanie. *Casting jest za trzy tygodnie, to mnóstwo czasu, żeby znaleźć talent*. Jas miała na powiekach czarny puder. Cały się pomarszczył i wyglądała, jakby cierpiała z bólu. *Nie daję już rady z tatą. To całe jego...* zawahała się i wzięła głęboki wdech... *picie*. To był pierwszy raz, kiedy któreś z nas powiedziało na głos to słowo, mając na myśli alkohol, wymioty i rozczarowanie, a nie Ribenę na gorąco i tak dalej. Dobrze, że Jas miała zamknięte oczy, bo nie wiedziałem, co zrobić z twarzą, rękoma i potężną prawdą, że nasz tata jest pijakiem.

Mam dopiero piętnaście lat, powiedziała Jas gwałtownie, otwierając oczy. Nagle wydała się taka dzika. *Naprawdę chcesz wziąć udział w tym gównianym konkursie*, zapytała. Skinąłem głową, a moja siostra, po chwili odpowiedziała *Okej*.

Ostatni tydzień semestru był wstrętny.

Sunya się do mnie nie odzywała, miałem serdecznie dosyć śnieżek, którymi Daniel ciskał mi w twarz oraz lodu, który wrzucał mi za koszulkę ze Spider-Manem, a także tego, że wszyscy oprócz mnie dostali życzenia świąteczne. W bibliotece stała skrzynka, można było wsuwać do środka kartki, a pod koniec dnia zostały dostarczone do klas. Dyrektor je roznosił z czapką Świętego Mikołaja na głowie, a kiedy wszedł do naszej sali, powiedział *Ho ho ho*. A potem wyczytał imiona z kartek, i jak się okazało, mnóstwo było adresowanych do Ryana i mnóstwo do Daniela, nawet Sunya dostała kilka. Początkowo byłem zdezorientowany, bo ona zawsze stoi sama na przerwach, więc zdziwiło mnie, że jest aż tak lubiana. A potem zauważyłem, że wszystkie jej kartki zostały narysowane cienkopisami na papierze A4 i podpisane jej własnym pismem w imieniu różnych superbohaterów. Wysłała sobie kartkę od Batmana, Shreka, a nawet od Zielonego Goblina, chociaż wszyscy wiedzą, że to największy wróg Spider-Mana. Tę kartkę oparła sobie o piórnik, żeby ją dobrze widział.

Nie odzywaliśmy się do siebie od wywiadówki i już nie pożyczają moich fajnych kredek. Tyle chciałbym jej opowiedzieć o Największym Brytyjskim Talencie, o naszym planie, żeby wysłać list mamie i zostawić informację tacie, by piątego stycznia przyjechali do Manchester Palace Theatre. Chciałbym zaśpiewać jej naszą piosenkę, pokazać nasze kroki taneczne i wyjaśnić, że to rozwiąże wszystkie problemy. Powiedzieć, że mama wróci, a tata przestanie pić i oboje zapomną o Rose. Tata będzie zbyt szczęśliwy, żeby nienawidzić Sunyi. Może nie będzie chciał, żebyśmy się przyjaźnili, ale mama *powie Już daj im spokój* i Sunya przyjdzie do nas na podwieczorek. Zjemy pizzę o smaku tropikalnym i nikt nie będzie zwracał uwagi na to, że moja przyjaciółka jest muzułmanką.

Za dwa dni Wigilia. Nie wydaje mi się, żeby listonosz chodził 24, 25 i 26 grudnia, a dzisiaj w skrzynce nie było niczego, oprócz tych smutnych listów od organizacji dobroczynnych, które proszą, by pomyśleć o głodujących ludziach w Afryce podczas jedzenia świątecznego indyka. Postaram się o nim pamiętać, kiedy będę jadł świąteczny obiad, co w naszym przypadku oznacza kanapki z kurczakiem, bo w tym roku Jas będzie gotować. Ale chyba ludziom z organizacji dobroczynnych to nie przeszkadza, o ile *Poświęcę Jedną Myśl Tym, Którzy Umierają z Głodu*.

Jeżeli w święta poczta nie dochodzi, zostaje tylko jutrzejszy dzień na to, by przyszedł prezent od mamy. Próbuję poczuć podekscytowanie. Staram się wyobrazić sobie wielką paczkę na wycieraczce pod drzwiami, jednak za każdym razem, kiedy myślę o kartce z napisanymi dużymi, niebieskimi literami *Wesołych Świąt, Synku*, ogarnia mnie ten dziwny cień czegoś przerażającego. Teraz już ciągle mi towarzyszy.

Zapytałem panią Farmer, z jakim wyprzedzeniem musiałaby poprosić dyrektora o dzień wolny. Popatrzyła na mnie zła, że w ogóle się odzywam i ciągle zerknęła na tablicę nad biurkiem, jakby to była moja wina, że anioły zostały ochlapane kawą. W końcu powiedziała *Gdyby to było naprawdę ważne, dostałabym wolne natychmiast. A teraz idź na boisko i przestań zadawać głupie pytania*.

Gdyby to było naprawdę ważne. Te słowa ciągle chodziły mi po głowie. Wirowały mi w mózgu, aż mi się zaczęło kręcić w głowie. Kiedy pisaliśmy wypracowanie, mój długopis nie dotykał papieru, na matematyce wymyślałem liczby, a na plastyce narysowałem owce większe niż pasterzy, bo w ogóle nie mogłem się skupić. Wyglądało to, jakby stado morderczych baranów chciało zdeptać żłóbek.

A na szkolne przedstawienie, co za niespodzianka, wybrana została szopka i po raz pierwszy w życiu miałem grać rolę człowieka. Byłem mężczyzną, który mówi *W gospodzie nie ma miejsca*, ale nie miało to znaczenia, ponieważ i tak nikt nie przyszedł. Jas nie zdążyła, bo miała lekcje, a tata od wywiadówki nie wychodzi z łóżka. Sunya dostała rolę Maryi, ale wchodząc do gospody nie przestawała jęczeć i trzymać się za brzuch, jakby rodziła, więc podczas ostatniej próby pani Farmer ściągnęła ją w środku przedstawienia z krzesła, kazała chodzić na czworakach i powiedziała, że będzie wołem i że ma stanąć z tyłu stajenki.

W ostatni dzień strasznie chciałem porozmawiać z Sunią, lecz nie wiedziałem, jak zacząć. Gdy nie patrzyła, spuściłem ołówek pod jej krzesło i już miałem poprosić, żeby podniosła, kiedy pani Farmer wyrzuciła mnie z klasy za rzucanie ostrymi przedmiotami. Powiedziała *Mogłeś wybić komuś oko*, co było bzdurą. Rzuciłem go zupełnie nisko, więc o ile po klasie nie łąził niewidzialny karzeł, ołówek nawet nie zbliżył się czyjegokolwiek oka. Kiedy mogłem wrócić na lekcję, nadal leżał pod nogami Sunyi, jednak nie ośmieliłem się o niego poprosić, bo pani Farmer wyraźnie dała do zrozumienia, że rzuciłem go specjalnie. Musiałem narysować wykres długopisem, zrobiłem go źle, a że nie mogłem wymazać, dostanę złą ocenę. Ale to nie ma znaczenia, już mnie nie interesują same A. Jas miała rację. Szkoła wcale nie jest taka ważna.

Gdy lekcje się skończyły, pani Farmer powiedziała *Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku. Do zobaczenia siódmego stycznia, kiedy wracacie do szkoły*. Miałem coraz mniej czasu na naprawienie naszej przyjaźni, więc zostałem w klasie, dopóki wszyscy nie wyszli i patrzyłem, jak Sunya się pakuje. Zajęło jej to sto lat, ułożyła zeszyty w równy stosik, sprawdziła, czy cienkopisy są zamknięte i ułożone w tęczowej kolejności. Miałem wrażenie, że czeka, aż się odezwę, ale bardzo głośno nuciała, a babcia zawsze powtarza, że *Niegrzecznie jest przerywać innym*. Wokół twarzy wisiało jej pięć kosmyków i co chwila odgarniała je sobie z oczu. Po głowie chodziły mi takie słowa jak *Idealna* i *Błyszcząca* i *Śliczna*, ale zanim zdołałem cokolwiek powiedzieć, Sunya wyszła. Poszła po kurtkę, a ja za nią, pobiegła korytarzem do wyjścia, ja pobiegłem za nią, wypadła przez drzwi na zewnątrz, jednak zatrzymała się, gdy krzyknąłem *EJ*.

Chociaż nie było to może najbardziej eleganckie słowo, zwróciło jej uwagę. Odwróciła się. Praktycznie wszyscy już poszli i zrobiło się ciemno, ale jej hidżab świecił jak płomień w pomarańczowej poświacie rzucanej przez latarnie. Chciałem powiedzieć *Wesołych świąt*, ale Sunya nie obchodzi Bożego Narodzenia, więc zamiast tego powiedziałem *Wesołej zimy*. Wydawała się zdumiona i już wpadłem w panikę, że może pór roku też nie obchodzi. Zaczęła iść tyłem i oddalała się coraz bardziej, a ja nie chciałem, żeby zniknęła w ciemności, więc krzyknąłem pierwsze, co przyszło mi do głowy. *WESOŁEGO RAMADANU*.

Zatrzymała się. Podbiegłem do niej, wyciągnąłem rękę i powtórzyłem. *Wesołego*

Ramadanu. Słowa wydawały się takie gorące w mroźnym powietrzu, że każda sylaba parowała. Sunya wpatrywała się we mnie przez dłuższy czas, a ja uśmiechnąłem się z nadzieją. W końcu powiedziała *Ramadan był we wrześnieiu*. Bałem się, że ją obraziłem, ale w jej oczach pojawiły się iskierki, a pieprzyk nad wargą zdrzął, jakby miała się uśmiechnąć. Zabrzęczały bransoletki, podniosła rękę. Palce mi się trzęsły, kiedy zbliżała ją do mojej dłoni. Dwadzieścia centymetrów. Dziesięć. Pięć...

Ktoś nacisnął klakson, Sunya podskoczyła i jęknęła *Mama*. Pobiegnęła żwirowaną drogą i wsiadła do samochodu. Drzwi zatrzasnęły się. Zawarczał silnik. Zza przedniej szyby wpatrywała się we mnie para błyszczących oczu. Palce mi nadal drżały, chociaż auto zniknęło już w ciemnej ulicy.

Jas kupiła mi mnóstwo drobiazgów na święta, linijkę i gumkę Manchester United, a także nowy dezodorant, bo tamten się skończył. Opakowała je ładnie i włożyła do moich piłkarskich getrów, żeby wyglądało jak skarpeta świąteczna. Ja zrobiłem dla niej ramkę z tektury i włożyłem jedyne zdjęcie, jakie znalazłem z nami dwojgiem. Bez mamy, bez taty. Bez Rose. Tylko Jas i ja, a dookoła czarno-różowe kwiaty, bo Jas jest dziewczyną, a te kolory lubi najbardziej. Kupiłem jej też ulubione czekoladki, żeby coś zjadła, bo jest taka chuda.

Zrobiliśmy kanapki z kurczakiem i innymi rzeczami i przygotowaliśmy frytki w mikrofalówce, a potem zjedliśmy wszystko, oglądając Spider-Mana. Nie było tak fajnie jak w moje urodziny, ale i tak mi się podobało, zwłaszcza fragment, w którym Spider-Man pokonuje Zielonego Goblina. Roger podgryzł mi kanapkę, a Jas nawet nie tknęła swojej. *Zostawiam miejsce na czekoladki*, powiedziała, a później zjadła trzy i zrobiło mi się przyjemnie. Ciągle wyglądała przez okno ze smutną miną, ale kiedy widziała, że patrzę, zmuszała się do uśmiechu.

Mama nie przysłała żadnego prezentu, a tata w ogóle nie ma pojęcia, jaki jest dzień, tylko leży w łóżku, pije i chrapie i znów pije i chrapie i niczego nam nie podarował. Przez całe święta zrobił tylko jedną rzecz: zaczął walić w podłogę sypialni i krzyczeć *Prześciancie tak hałasować*, kiedy śpiewaliśmy kolędy najgłośniej jak się dało.

O dziewiątej rozległo się pukanie w szybę, Jas spojrzała na mnie, ja na nią, a potem podpełzaliśmy do okna. Przez ułamek sekundy sądziłem, że to może mama i byłem zły, że serce zaczęło mi mocniej walić, chociaż przecież wiedziałem, że to nie ona. Odsunęliśmy zasłonę, a oddech Jas połaskotał mnie w ucho. Nic nie widziałem, tylko śnieg w ogrodzie, ale kiedy w końcu mój wzrok przyzwyczał się do ciemności, odczytałem napis na bieli. *Kocham cię*. Jas zapiszczała, jakby to było dla niej, a ja poczułem rozczarowanie, bo to oznaczało, że słowa nie były skierowane do mnie.

Założyła kalosze taty i wyszła ukradkiem na dwór. Wyglądała śmiesznie, gdy brodziła po śniegu w zielonym szlafroku i różowych włosach. Przycisnąłem twarz do szyby i patrzyłem, jak znajduje kartkę, którą Leo zostawił dla niej w ogrodzie. Widziałem, jak rozbłysły jej oczy, jak się uśmiechała, a jej serce spuchło jak ciasto, które rosło w zardzewiałym piekarniku w naszej szkole. Pocałowała kartkę, jak gdyby była jej największym skarbem i dało mi to do myślenia.

Potrzebowałem dwóch godzin, żeby dokończyć dzieła. Moimi super kredkami narysowałem mnóstwo śnieżynek i bałwana, który wyglądał jak ja i drugiego, który wyglądał jak ona, a całość pokryłem brokatem. Roger siedział obok mnie na podłodze i ciągle wchodził w drogę, więc miał srebrne drobinki na ogonie. Łatwiej było napisać życzenia niż rozmawiać z Sunią twarzą w twarz, więc napisałem wszystko, co chciałem jej od początku powiedzieć. Na przykład *Dziękuję za to, że jesteś moją przyjaciółką* i że *Lubię patrzeć na twój pieprzyk* i jeszcze *Mój tata jest nieprzyjemny, aleja nie jestem taki, więc proszę noś pierścionek z Blu-Tacku*. Opowiedziałem jej wszystko o castingu i jak będzie idealnie, kiedy mama wróci do domu, zajmie się tatą, a my, po piątym stycznia, znów będziemy mogli się przyjaźnić. I chociaż brakowało mi już miejsca, zaprosiłem ją do Manchesteru, żeby obejrzała konkurs talentów, powiedziałem, że na pewno spodoba jej się śpiew Jas i mój układ taneczny. Podpisałem kartkę imieniem jedyne go superbohatera, od którego nie dostała życzeń w szkole.

Musiałem poczekać, aż Jas zaśnie i dopiero wtedy mogłem wymknąć się z domu. Za pierwszym razem, kiedy wszedłem na palcach do jej pokoju, żeby zobaczyć, czy ma zamknięte oczy, szeptała coś do komórki i powiedziała *Wynoś się ty mały szpiegu*. Jednak gdy wszedłem do niej następnym razem, spała mocno, ręka jej zwisała z łóżka, miała otwarte usta i potargane różowe włosy na poduszce. Zamknąłem cicho drzwi, tylko łapacz snów delikatnie zabrzączał.

Była już jedenasta, kiedy zakładałem kalosze. Roger otarł się rudym futrem o czerwoną gumę, jakby wiedział, że czeka nas przygoda. Jego zielone oczy wydawały się szersze niż normalnie. Ruszyłem na palcach do drzwi. *Ciii*, powiedziałem, bo zaczął mruzczyć. W cichym, uśpionym domu, brzmiało to jak warkot silnika ciężarówki. Drzwi zaskrzypiały podczas otwierania, śnieg zachrząścił mi pod nogami, ale nikt niczego nie usłyszał i wyszedłem niezauważony.

Czułem się jak przestępca, wychodząc z domu w świąteczną noc. Spodziewałem się, że w każdej chwili usłyszę dźwięk policyjnych syren i migające, niebieskie światło kogutów, a ktoś krzyknie *Jesteś aresztowany*. Nic takiego się jednak nie stało. Wokół panowała cisza. Widziałem tylko księżyc odbijający się jak piłka od zamarzniętych szczytów czarnych gór. Byłem wolny.

Zrobiło mi się wesoło i zacząłem się śmiać, a Roger popatrzył na mnie jak na wariata. Czułem się, jakbym na świecie został tylko ja i mój kot, jakbyśmy mogli robić cokolwiek nam się spodoba, absolutnie cokolwiek. Zatańczyłem w miejscu, machałem rękoma, kręciłem tyłkiem i nikt tego nie widział. Okręcałem się w miejscu coraz szybciej i szybciej, a śnieg przemykał mi przed oczami w postaci białej plamy. Wskoczyłem na murek i przeszedłem po nim, a mój uśmiech był większy niż wtedy, gdy strzeliłem zwycięską bramkę. Kartka zatrzepotała na wietrze, wyobraziłem sobie, jak Sunia ją czyta, może nawet całuje miejsce, w którym podpisałem się *Spider-Man*.

Poczułem, że mógłbym latać, więc zeskoczyłem z murku i zamachałem rękoma. Przez ułamek sekundy rzeczywiście unosiłem się nad śniegiem, a potem wylądowałem na jednej nodze. Krew mi buzowała jak gazowana Cola, czułem mrowienie w całym ciele i miałem w sobie więcej energii niż kiedykolwiek w życiu. Roger odezwał się *Miau*, a ja powiedziałem *Doskonale cię rozumiem* i dodałem, że spotkamy się w domu. Pocałowałem go w mokry nos, a jego wąsy połaskotały mnie w usta. A potem

odbiegłem najszybciej jak potrafiłem, a zimny wiatr szczypał mnie w policzki.

Uderzyłem dłońmi w bramę Sunyi. Dyszałem, krew mi pulsowała w żyłach, bolały mnie stopy i pot lał się ze mnie strumieniami. To była najodważniejsza rzecz, jaką zrobiłem w życiu, więc uśmiechnąłem się szeroko, popchnąłem bramę i wszedłem na działkę Sunyi. Kiedy przeskakiwałem przez płot, przez chwilę frunałem, a potem wylądowałem w ogrodzie za domem. Byłem ptakiem, Wayne Rooneyem i Spider-Manem w jednym i nic mnie nie przerażało, nawet Sammy, który rozszczekał się w kuchni.

Położyłem kartkę na trawniku i chwyciłem za kamień. Rzuciłem nim w okno Sunyi, ale trafiłem w ścianę dwa metry niżej. Podniosłem następny, ten przeleciał ponad dachem. W książkach strasznie łatwo jest trafić szybę, ja chybiłem aż jedenaście razy. A kiedy kamyk trafił w końcu w okno, uciekłem i schowałem się za krzakiem, bo chciałem zobaczyć, jak Sunya znajduje kartkę. Policzyłem do stu i nic się nie wydarzyło. Sammy szczekał jak szalony, drapał i warczał, jednak w ogóle się tym nie przejmowałem. Znalazłem większy kamień, okazał się idealny, tym razem trafiłem solidnie w szybę.

Popędziłem z powrotem za krzak i skaleczyłem się kolcem w policzek, ale nawet mnie nie szczypało. Teraz wystarczyło policzyć do trzynastu i poruszyła się zasłona, a w oknie pojawiła się ciemna twarz. W pokoju zapaliło się światło.

Twarz należała do mężczyzny. Tata Sunyi powiedział coś do tyłu, do kogoś, kogo nie widziałem. Patrzył na patio, na drzewa i trawnik, a Sammy warczał i bałem się, że go wypuści i znajdą mnie w krzakach.

Tata Sunyi nie zauważył kartki. Po pięciu minutach rozglądania się w poszukiwaniu włamywacza, zasunął zasłony i zgasił światło. Pies jeszcze trochę szczekał, a potem ucichł. Nie odważyłem się poruszyć, stałem tak nieruchomo, jak się dało, chociaż gałązka wrzynała mi się w nogę, a prawej stopie czułem mrowienie. Patrzyłem na okno i nawet nie mrugnąłem, więc zaschły mi oczy. Chciałem, żeby Sunya odsunęła zasłonę, chciałem, żeby znalazła kartkę, żeby była szczęśliwa, bo w szkole jest taka smutna. Pomyślałem o naszych dłoniach, jak się prawie zetknęły i zastanawiałem się, co by było, gdyby jej mama nie nacisnęła klaksonu.

Po upływie wieków, uznałem, że mogę się już poruszyć. Zegar na wieży kościelnej wybijał właśnie północ, gdy wypelzałem z krzaka, drąc sobie rękaw koszulki. Podniosłem kartkę, była cała przemoczona. Śnieg przesiąkł przez kopertę. Zastanawiałem się, czy mam ją zostawić, czy zabrać do domu, czy może wrzucić do skrzynki, kiedy usłyszałem, że otwierają się drzwi od strony kuchni.

Powinienem uciec albo się schować albo opaść na ziemię i zagrzebać się w śniegu, ale nie byłem w stanie się ruszyć. Stałem odwrócony tyłem do domu, więc nie miałem pojęcia, kto wychodzi i podskoczyłem, gdy po ręce polizał mnie mokry jęzor. Sammy machał ogonem, uderzając mnie po trzęsących się łydkach. Policzyłem do trzech i odwróciłem się. W kuchni stała Sunya. Włosy owinęła chustą, chociaż nie tak ściśle jak zawsze. Wyglądało na to, że zrobiła to w pośpiechu. Miała na sobie niebieską pizamę, widziałem jej stopy, malutkie, brązowe palce, takie proste i takie ładne na tle kuchennej posadzki.

Patrzyła na mnie, a ja na nią, ale się nie uśmiechała. Powiedziałem *Cześć*, a ona

położyła palec na ustach, żebym się nie odzywał. Podeszedłem bliżej, moje ręce wydały mi się nagle za długie, nogi zbyt niezdarne, a twarz zbyt gorąca. Wyciągnąłem rękę z kartką, ale nie wydawała się tak uszczęśliwiona jak Jas. Powiedziałem *To kartka zrobiona specjalnie dla ciebie z papieru i brokatu* na wypadek, gdyby nie docierało do niej, jaka to szczególna rzecz. Nie odpowiedziała *Dziękuję*, ani *Wow*, nie zapiszczała nawet, jak to robią dziewczyny, kiedy cię cieszą. Powiedziała *Ciii* i spojrzała przez ramię, jakby bała się, że ktoś może nas zobaczyć.

Wcisnąłem jej kartkę w rękę i poczekałem, aż otworzy kopertę. Jeśli zobaczy bałwana w koszulce ze Spider-Manem i drugiego w hidżabie na pewno uzna to za zabawne i się uśmiechnie. Ale Sunya włożyła kartkę pod piżamę i szepnęła *Musisz iść*. A kiedy się nie ruszyłem, znów spojrzała przez ramię i powiedziała *Idź już, proszę. Nie wolno mi się z tobą przyjaźnić. Mama uważa, że dajesz mi zły przykład*. Zapytałem *CO*, a ona zakryła mi usta dłonią. Usta mnie paliły jak wtedy, w Halloween. Na górze zaskrzypiała deska podłogowa. Sunya powiedziała *Idź*, wypchnęła mnie z kuchni, chwyciła psa za obrożę i wciągnęła do środka. Zapaliło się światło, gdy pędziłem przez śnieg, a Sunya zamykała drzwi. Tym razem, kiedy przeskakiwałem przez płotek ogrodu, nie miałem wrażenia, że lecę, ale że spadam i grzmotnąłem z łomotem w zimną ziemię.

Upuściłem, płatki, kiedy Jas weszła do kuchni. Prawie jej nie poznałem. *Wyglądasz jak...*, zacząłem, ale powiedziała *Przestań i Daj mi długopis*. Dziesięć razy zaczynała wiadomość dla taty. Na pierwszej napisała *Proszę proszę proszę przyjedź*, jednak czuć w tym było zbyt wielką desperację, a na kolejnej *Lepiej tam bądź*, co z kolei zabrzmiało jak groźba. Po ośmiu próbach w końcu jej się udało. *Tato, mamy dla ciebie niespodziankę. Spodoba ci się, ale musisz przyjechać dzisiaj do Manchester Palace Theatre. Bądź na miejscu o 13.00, a zobaczysz występ stulecia*.

Byłem bardziej zdenerwowany niż najbardziej nerwowa osoba na świecie, jaka przychodziła mi do głowy, a aktualnie jest nią lew z Czarnoksiężnika z Krainy Oz. W żołądku miałem coś o wiele większego i straszniejszego niż zwykle motylki. Może to były orły albo jastrzębie czy coś w tym stylu. Albo, jak o tym pomyślę, to może te skrzydlate małpy, które porwały Dorotkę i zabrały do wiedźmy, co bała się wody. Tak czy inaczej, gryzły mi skórę i niezbyt przyjemnie się kotłowały. Bałem się, że zapomnę wszystkiego i zepsuję występ, więc przez cały czas, gdy Jas pisała liścik do taty, powtarzałem sobie słowa i ruchy taneczne. To dlatego Jas musiała wyrzucić szóstą próbę. Robiąc wykop nogą, niechcący wytrąciłem jej długopis z ręki. Nie wiedzieć czemu bardzo mnie to rozśmieszyło, ale Jas wydawała się wkurzona. *Jasny gwint, Jamie*, powiedziała cicho, a potem nie pozwoliła mi położyć listu na stoliku nocnym taty ani nastawić budzika w jego pokoju na siódmą piętnaście. Stwierdziła, że robię za dużo hałasu.

Była piąta rano i zachowywaliśmy się cicho, chociaż wcale nie było takiej potrzeby. Tata nie budzi się nawet w środku dnia, kiedy telewizor w salonie buczy na cały regulator. Jednak i tak chodziliśmy na palcach i serce nam podskakiwało, gdy komuś coś spadło albo powiedziało się zbyt głośno. Jas bała się, bo Leo miał po nas przyjechać swoim samochodem, a nie chciała, żeby tata go zobaczył i wpadł w szal. Ja się bałem, że jeśli tata się dowie, nie pozwoli nam pojechać, a wtedy już nigdy nie zejda się z mamą. Wysłaliśmy jej list 28 grudnia, więc miał mnóstwo czasu, żeby dojść do Londynu. A pan Walker nie będzie miał żadnej wymówki, szkoła jest zamknięta podczas świąt. Napisałem tak, żeby konkurs wydawał się naprawdę ważny i ciągle powtarzałem zasłyszany w telewizji tekst *Jedyna taka okazja w życiu oraz Przyjedź do Manchesteru, żeby odmienić życie*, co ukradłem z listu od organizatorów, a także *Mamo, proszę, bardzo potrzebna mi jest Twoja obecność*, co już sam wymyśliłem.

Nie mogę uwierzyć, że to robię, powiedziała Jas, gdy weszliśmy do salonu, żeby poczekać na przyjazd Leo. *Według horoskopu nie powinnam dzisiaj podejmować żadnego ryzyka*, dodała i wzięła drżący wdech, kładąc rękę na piersi. *Powtórzmy wszystko jeszcze raz*, powiedziałem, patrząc jak trzęsą się jej palce. Wyszeptaliśmy słowa i wykonaliśmy ruchy, ale Roger się obudził i ciągle wchodził nam w drogę, Prężył się wokół moich nóg, więc nie mogłem skakać, tupać ani obiegać Jas, jak trzeba w pierwszej zwrotce. Zaczynał działać mi na nerwy, ale starałem się nic nie mówić, bo nadal miałem wyrzuty sumienia, że zatrasnąłem mu drzwi przed nosem. Kiedy jednak potknąłem się o jego brokatowy ogon, uznałem, że dość tego. Pochyliłem się, a on

popatrzył na mnie z nadzieją, że zostanie pogłaskany. Zamiast tego podniosłem go, wyniosłem do przedpokoju i zamknąłem drzwi do salonu. Miauczał z drugiej strony, ale go zignorowałem, więc w końcu mu się znudziło i sobie poszedł.

Jest, pisnęła Jas, gdy pod dom podjechał niebieski samochód. Poprawiła sobie nową fryzurę, pytając *Wygląda okej*, a ja powiedziałem *Okej*, chociaż wyglądała dziwnie. Musiała w nocy po-farbować włosy na brązowo i splotła je w dwa grzeczne warkoczyki. Tak bardzo przypominała Rose, że aż było to nienaturalne. Wiem, że były identyczne i w ogóle, ale Jas teraz wygląda jak Jas. Kiedy wsiedliśmy do auta Leo, miałem wrażenie, że dusza Rose zstąpiła z chmury w niebie i poczułem, że brakuje mi kolczyków, różowych włosów i czarnego stroju. Jas miała na sobie sukienkę w kwiatki, sweter rozpinany i płaskie buty z klamrami, ostatnie ubranie, jakie mama jej kupiła w Londynie. Ja znów założyłem koszulkę ze Spider-Manem, bo mama byłaby rozczarowana, gdybym jej nie miał na sobie.

Leo uniósł brwi na widok mojej siostry. Spojrzała na niego zestresowana i powiedziała *To tylko na dzisiaj, a*. on poczuł chyba ulgę, ale powiedział *Wyglądasz słodko*. Jas zaśmiała się i on się zaśmiał, a ja poczułem się wyobcowany, więc też się zaśmiałem, a potem ruszyliśmy. Jechaliśmy szybko, bo według listu kto pierwszy, ten lepszy, a organizatorzy przewidzieli tylko sto pięćdziesiąt występów. Pędziliśmy przez góry, a kiedy słońce wstało wyjechaliśmy na wzgórze, minęliśmy liczne farmy i pokonaliśmy kręte wiejskie drogi. W pewnym momencie jechaliśmy prosto na słońce i wewnątrz samochodu wypełniło się pomarańczowo-żółtym światłem i zrobiło się ciepło, zupełnie jakbyśmy znaleźli się w żółtku jajka czy coś w tym stylu. Wszystko wydawało się takie piękne i pełne nadziei i nagle nie mogłem się doczekać, kiedy już znajdę się na scenie.

Ledwo przyjechaliśmy, a podeszła do nas dziewczyna z tabliczką i zapytała *Co prezentujecie*, a Jas odparła *Śpiew i taniec* i dziewczyna westchnęła, jakby to była najnudniejsza rzecz pod słońcem. Dała nam numerek sto trzynaście i powiedziała *Bądźcie gotowi na występ o siedemnastej. Będziecie mieli trzy minuty, albo mniej, jeśli nie spodobać się sędziom*. Spojrzałem na wiszący na ścianie zegar. Było dziesięć po jedenastej.

W poczekalni siedziało mnóstwo ludzi. Clowni zonglujący owocami, dwadzieścia dziewczyn w spódniczkach baletowych, pięć kobiet z psami, które robią sztuczki, dziewięciu magików, wyciągających zwierzęta z kapelusza, jeden wytatuowany człowiek rzucający nożami, który kroił jabłko ostrzem trzymany między złotymi zębami. Znaleźliśmy sobie z Jas dwa drewniane krzesła na środku i postanowiliśmy czekać.

Czas płynął szybko. Dwa razy na godzinę powtarzaliśmy nasz układ. Poza tym, można było obserwować tyle osób i myśleć o tylu rzeczach, a za każdym razem, gdy zerkałem na zegar, miałem wrażenie, że wskazówki przeskoczyły o kolejne trzydzieści minut. Wyobrażałem sobie, jak tata znajduje wiadomość przy łóżku, biegnie pod prysznic i wybiera najbardziej elegancki strój na występy. Wyobrażałem sobie też, jak

mama zakłada śliczną sukienkę i mówi do Nigela *To nie twój interes, dokąd jadę* i kupuje nam kartkę z napisem *Gratulacje* na stacji benzynowej przy autostradzie prowadzącej do Manchesteru. Pewnie spotkają się na zewnątrz, uśmiechną się do siebie, pokiwają głowami i powiedzą *Ech, te dzieciaki* takim jęcząco-dumnym głosem, jakby nie mogli uwierzyć, że byliśmy na tyle odważni, by przygotować taką niespodziankę. Zajmą miejsca blisko sceny, zjedzą razem lody i będą się dobrze bawić przy stu dwunastu występach poprzedzających nasz, a potem my wyjdziemy na scenę i Jas będzie wyglądała zupełnie jak Rose, a tata poczuje się szczęśliwy, że wróciła do normalnego wyglądu. I oboje powiedzą *Wow*, kiedy zaczną tańczyć w mojej koszulce ze Spider-Manem.

To była moja najprzyjemniejsza myśl podczas czekania. Druga równie miła dotyczyła pary błyszczących oczu i brązowych dłoni klaszczących mocniej niż wszystkie inne w momencie, gdy odśpiewuję ostatnią nutę i unoszę ręce do góry.

Na scenę wszedł ktoś z numerem sto piątym, a Jas zaczęła drgać nogą. Wydawała się taka blada i młoda w tych nowych ciuchach i nowej fryzurze i nagle ogarnęło mnie nieprzemóżone pragnienie, żeby ją chronić. Objąłem moją siostrę ramieniem, chociaż ledwo dosięgałem, a ona uśmiechnęła się i powiedziała *Dzięki*. Kości wystawały jej pod skórą, więc powiedziałem *Powinnaś więcej jeść*. Wydawała się zaskoczona. Jesteś już *wystarczająco chuda*, oświadczyłem, a wtedy łyzy nabiegły jej do oczu. Dziewczyny są dziwne. Trzymaliśmy się za ręce i czekaliśmy.

Sto osiem. Sto dziewięć. Sto dziesięć. Zostały już tylko dwa występy przed naszym i w poczekalni robiło się pustawo. Czuć było zapach potu, makijażu i starego jedzenia i było upiornie gorąco, bo grzejniki grzały pełną parą. Rozległa się muzyka dla numeru sto jedenastego. Starszy pan zaśpiewał tylko pięć taktów, kiedy płyta została wyłączona, a jurorzy oznajmili, że nie ma żadnego talentu. Widownia skandowała *Znikaj znikaj* i Jas zzieleniała na twarzy. *Nie zrobię tego*, powiedziała, trzymając się za brzuch i kręcąc głową. *Naprawdę nie dam rady. Według horoskopu nie powinnam dzisiaj podejmować ryzyka*.

Starszy pan wszedł przez drzwi prowadzące ze sceny i opadł na krzesło. Ukrył łysą głowę w dłoniach i ramiona mu zaczęły się trząść od płaczu. Kamery telewizyjne zeszyły razem z nim ze sceny i kręciły właśnie zbliżenie, kiedy powiedział *Zjeżdżajcie*, jakby był szalony, a tak naprawdę, był załamany tym, że jego marzenia legły w gruzach. Miał cekiny na koszuli i na spodniach i pewnie spędził mnóstwo dni na ich przyszywaniu tylko po to, żeby postać na scenie przez dziesięć sekund.

Naprawdę nie mogę, powiedziała Jas, przyglądając się z przerażeniem starszemu panu. *Horoskop miał rację. To kiepski pomysł. Przepraszam cię, Jamie*. Jas wstała i zaczęła odchodzić i dopiero wtedy zrozumiałem, że wcale nie dramatyzuje. *Zaczekaj*, powiedziałem piskliwie. Bałem się, że naprawdę sobie pójdzie. *Proszę, nie idź*, błagałem, ale mnie nie słuchała. Teraz już biegła, aż jej warkoczyki podskakiwały i już była obok drzwi z napisem WYJŚCIE. Dziewczyna z tabliczką zawołała *Numer sto dwanaście* i wtedy mężczyzna w przebraniu Michaela Jacksona wziął głęboki wdech i podniósł się z miejsca. Jas stała pod drzwiami, zaciskając palce na klamce. Nie mogłem pozwolić jej uciec. *Pomysł o mamie*, krzyknąłem. *Pomysł o tacie. I o Leo*. Popchnęła drzwi i do środka wpłynęła fala lodowatego powietrza, jednak nie wyszła na zewnątrz.

Podbiegłem i chwyciłem ją za rękę. *Naprawdę sądzisz, że nas oglądają*, zapytała szeptem, a jej oczy wydawały się takie ogromne na pobladłej twarzy. *Tak*, odparłem. *Leo nas przywiózł i obiecał, że...* Jas pokręciła głową. *Nie Leo*, powiedziała przygryzając za mocno wargę, aż pociekła jej maleńka strużka krwi. Dotknęła ust palcem. Zauważyłem, że zmyła czarny lakier z paznokci i pomalowała je na blady róż. *Mama*.

Cień znów wrócił, silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej i po raz pierwszy wiedziałem dobrze, co to jest. Wątpliwość. Jeśli zazdrość jest czerwona, to wątpliwość ma kolor czarny i nagle w pomieszczeniu zapanowała ciemność, zupełne przeciwieństwo słonecznej żółci z samochodu. Wszystko wydawało się nagle takie brzydkie i pozbawione nadziei. Pomyślałem o urodzinach, o dopisku na kartce i o wywiadówce, lecz i tak skinąłem twierdząco głową. *Ona tu jest*.

Nie przyjechała na święta, powiedziała Jas najbardziej smutnym głosem, jaki słyszałem w jej wykonaniu. Po policzku popłynęła jej łza, podczas gdy na scenie rozległ się Thriller Michela Jacksona. *Nie*, odparłem, czując potężny ścisk w żołądku. *Ale pewnie sądziła, że nie jest zaproszona*. Jas popatrzyła na mnie zapłakany wzrokiem. *Ja ją zaprosiłam*, szepnęła, a mój żołądek ścisnął się jeszcze bardziej. Przypomniałem sobie, jak wyglądała w święta przez okno. *Wysłałam jej życzenia i zaprosiłam, żeby przyjechała i upiekła indyka*. Teraz mocno płakała, aż trudno mi było zrozumieć, co mówi i trudno mi było się skupić tak bardzo bolał mnie brzuch. *I wcześniej też do niej pisałam. O tacie i o tym, że potrzebna nam pomoc, bo on ciągle pije i się nami nie zajmuje, Ale ona nie przyjechała, Jamie. Porzuciła nas*.

Najgorszą moją reklamą w telewizji jest *Adoptuj pieska*. Pokazane są różne psy zostawione przez właścicieli w koszach albo pudłach przy pustych drogach. W tle gra zawsze smutna muzyka, psy mają zwieszane ogony i wzrok pełen bólu. Mężczyzna z londyńskim akcentem opowiada, jak zostały porzucone i jak nikt ich nie kocha na tyle, by się nimi opiekować. To właśnie oznacza, że zostały porzucone.

Mama nas kocha, powiedziałem, ale w myślach słyszałem głos z londyńskim akcentem, mówiący *Jamie szuka nowego właściciela*. Starłem się za wszelką cenę go zagłuszyć. *Mama nas kocha mama nas kocha mama nas ko...* Jas potrząsnęła głową, a warkocze zawirowały jej przy uszach. *Nie kocha nas, Jamie*, odparła zduszonym głosem. Z brody kapały jej łzy. *Jak może nas kochać, zostawiła nas. W moje URODZINY*. Jas wykrzyczała ostatni fragment, bo zakryłem uszy, żeby nie słyszeć, co mówi. Zaczęłem podśpiewywać piosenkę Michaela Jacksona. Nie chciałem już nic słyszeć. *W moje urodziny*, powtórzyła Jas, odsuwając mi rękę od głowy i kładąc palec na moich ustach. *I od tamtego czasu słuch po niej zaginął*. Uwolniłem się z uchwytu. *Kłamiesz*, krzyknąłem, tupiąc nogą, bo nagle ogarnął mnie gniew. Facet od rzucania nożami popatrzył na nas i pokręcił głową, jednak nie zwracałem na niego uwagi. Krew mi się gotowała w żyłach, paląc całe ciało, chciałem kopać, walić, krzyczeć i wrzeszczeć, żeby wypuścić z siebie parę jak potężny wulkan. *To nieprawda. Mama przysłała mi prezent i to był najlepszy prezent na świecie, uwielbiam go, a TY KŁAMIESZ*.

Muzyka na scenie ucichła.

Numer sto trzynaście.

Jas otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Czekałem, ciężko dysząc, ale ona pokręciła głową, jakby zmieniła zdanie. *Tak. Mama przysłała ci prezent. Wielkie mi meczyje*.

Numer sto trzynaście, powtórzyła dziewczyna z tabliczką znudzonym głosem. Przeniosła wzrok ze starszej pani w butach do stepowania na małego chłopca z papugą, a potem na mnie i na Jas. *Numer sto trzynaście, gdzie jesteś? Teraz Twoja kolej.*

Jas wytarła oczy i popatrzyła na swój strój. *Spójrz na mnie*, powiedziała cicho, wygładzając sukienkę w kwiatki. *Spójrz na siebie*. Dotknąłem agrafek na rękawie mojej koszulki. *Zobacz, ile dla nich zrobiliśmy. I po co, Jamie. Mama nie zostawi Nigela, żeby tu przyjechać*, powiedziała Jas i położyła mi rękę na głowie. A ja poczułem się bezpieczniej, przestałem dyszeć i próbowałem się uspokoić. *A tata jest zbyt pijany, żeby podnieść się z łóżka. To strata czasu*. Położyłem rękę na jej dłoni. *A może nie*, odparłem, przełykając wszystkie wątpliwości, całe rozczarowanie i złość. Czuję, że są nieco za wielkie, jak tabletki witaminy, które ciężko połknąć, nawet, jeśli popija się je wodą. *Proszę cię, Jas. Proszę. Tylko dlatego, że mogą nas oglądać. Nie chcę dać za wygraną*. Moja siostra zamknęła oczy, jakby się namyślała.

Numer sto trzynasty, krzyknęła dziewczyna, stukając długopisem w tabliczkę. *Czas leci. Sędziowie czekają i jeśli nie wejdiesz W TEJ CHWILI, stracisz szansę*.

Dotknąłem ręki Jas. *Proszę*. Otworzyła oczy, popatrzyła na mnie i pokręciła głową. *Strata czasu, Jamie. Ich tu nie ma. Nie zniosę twojego rozczarowania. Nie po raz kolejny*.

Numer sto trzynaście, dziewczyna rozejrzała się po pomieszczeniu po raz ostatni i postawiła wielki krzyżyk na tabliczce. *Dobrze. W takim razie poproszę numer sto czternaście*.

Nogi odmówiły mi posłuszeństwa i osunąłem się z hukiem na podłogę. Głowa opadła mi na ramiona. Stukot butów stepującej starszej pani odbił się echem po poczekalni, kiedy kobieta ruszyła w stronę wejścia na scenę.

MOMENT, wrzasnęła Jas, a moje serce przestało na chwilę bić. *MOMENT. To my mamy numer sto trzynastcie. Jesteśmy tutaj.*

Podniosłem wzrok, a Jas podała mi rękę. Chwyciłem, a ona pomogła mi wstać. *Robię to dla ciebie*, szepnęła, a kąciki moich ust prawie dotknęły uszu tak szeroki był mój uśmiech. *Nie dla mamy. Nie dla taty. Nie dla Rose. Dla ciebie. Dla nas.* Pokiwałem głową i pobiegliliśmy, a moje serce znów zaczęło bić i to z takim łomotem, że aż mi się żebra zatrzęsły. Dziewczyna z tabliczką westchnęła zniecierpliwiona. *Nie powinnam was już wpuścić* warknęła, ale otworzyła drzwi, a my puściliśmy się biegiem po schodach i nagle pojawiły się światła i kamery, a w ciemności teatru rozblęły setki par oczu.

Weszliśmy na scenę. Widownia zamilkła. Rozpoznałem jednego z jurorów z telewizji. Na widok mojej koszulki przewrócił oczami. *Kim jesteście*, zapytał. Nie wiedziałem, czy powinienem odpowiedzieć Spider-Man czy James Aaron Matthews czy tylko samo Jamie, więc powiedziałem wszystko. Widownia zachichotała, a ja zacząłem się zastanawiać, czy mama, tata i Sunya też się do nich przyłączyli. Jas ścisnęła moją rękę. Palce mi się kleiły od potu. *A ty kim jesteś*, zapytał sędzia, a moja siostra odparła *Jasmine Rebecca Matthews*, a on powiedział *Nie Supergirl albo Catwoman* takim paskudnie sarkastycznym tonem. Jas zaczęła się trząść. Miałem ochotę skopać mu tyłek za to, że ją przestraszył.

Co zamierzacie dla nas zrobić, zapytała kobieta z jury *Zaśpiewać i zatańczyć*, wyszeptalem. Mężczyzna ziewnął. *Jakże oryginalne*, powiedział, a setki ludzi na widowni zaśmiało się. Kobieta uderzyła go w rękę i powiedziała *Zachowuj się* i wtedy ja też zachichotałem. Próbowałem się uśmiechnąć, udowodnić, że zrozumiałem żart, ale zęby mi wyschły i skleiły mi się wargi. *Co zaśpiewacie*, zapytała kobieta i widownia ucichła. *The Courage To Fly*, wyszeptalem. Jurorzy jęknęli, mężczyzna uderzył głową o stół i widownia znów wybuchła śmiechem. Spojrzałem na Jas. Starła się być odważna, lecz widziałem łzy w jej oczach i czułem się źle, bo ryzykowała dla mnie i nic się nie udawało. Spodziewałem się, że może tata nas obroni albo mama wbiegnie na scenę wołając *Jak śmiecie robić coś takiego moim dzieciom*, jednakże nic takiego się nie zdarzyło.

Mężczyzna powiedział *To zaczynajcie*, jakbyśmy go nudzili i nagle poczułem, że wcale nie chcę tańczyć i wcale nie mam ochoty na śpiewanie tej piosenki. To był zbyt cenny występ, żeby go wykonać przed ludźmi, którzy niczego nie rozumieją. Gorąco mi było od tych wszystkich lamp i koszulka ze Spider-Manem przykleiła mi się do ciała. Miałem wrażenie, że jest większa niż zwykle, a może to ja czułem się mniejszy, w każdym razie, wiedziałem, że nie wygląda to dobrze. Mama będzie rozczarowana i ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, jakbym ją zawiódł.

Nie mieliśmy ze sobą płyty, nikt nam nie odliczał, więc nie wiedzieliśmy, kiedy zacząć. Staliśmy tylko, a wszyscy czekali. Kilka osób nas wygwizdało. Nie chciałem, żeby mama i tata to słyszeli, ale nie odważyłem się zaśpiewać. Widownia zaczęła skandować *Znik-kaj-cie znik-kaj-cie* i Jas cała się już teraz trzęsła, a nie tylko jej ręce. To nie tak miało wyglądać. Wszystko było nie tak jak trzeba, a ja nie miałem pojęcia, jak to naprawić.
Znik-kaj-cie.

W klatce piersiowej narastała mi panika, zupełnie jak fala na plaży, która uderza nagle i wszystko moczy. *Zabierzcie tę dwójkę*, krzyknął nagle juror, machając ręką, jakby odganiał się od muchy. *Tracą tylko nasz czas.*

NIE, powiedziała Jas głośno, właściwie krzyknęła, i na widowni zapanowała cisza. *NIE*. Jurorzy popatrzyli na nią, zaskoczeni. Nie opuściła wzroku, patrzyła na ich odważna i wspaniała. Z oczu zniknęły jej łzy, przestała się trząść i nagle znów była moją starszą siostrą, uśmiechającą się do nieba, jakby nic na tym świecie nie mogło jej przestraszyć. A ponieważ ona się nie bała, to i ja przestałem się bać. I wtedy zaczęliśmy śpiewać.

*Your smile lifts my soul into the sky. Your strength gives me the courage to fly.
A kite, I soar so grounded yet free. Your love brings out the be...*

Dotarliśmy dalej niż tamten starszy pan. Zaśpiewaliśmy może piętnaście albo i szesnaście nut. Nie słyszałem, jak jurorzy mówią *Stop*, bo biegałem z tyłu sceny, machając skrzydłami jak wróżka albo ptak, czy co tam lata w tej piosence. Kiedy zdałem sobie sprawę, że Jas już nie śpiewa, ręce mi opadły do boków, a podejście do przodu sceny wydawało się długie jak maraton, który zdaniem pani Farmer wynosi czterdzieści dwa przecinek dwa kilometry i jest zabójczy dla stawów kolanowych.

Nigdy jeszcze nie byłem pod takim wrażeniem i jednocześnie tak zde gustowany, powiedział juror. *To było cudowne i zarazem okropne. Fantastyczne i potworne.* Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi i nawet nie za bardzo go słuchałem, bo wypatrywałem mamy na widowni. *Ty byłeś tym okropnym elementem*, powiedział, pokazując palcem na mnie. *Co to miało niby być. Taniec*, zapytał, chociaż chyba nie spodziewał się odpowiedzi, więc tylko wzruszyłem ramionami. Na jego twarzy pojawił się uśmiešek pełen wyższości i skrzyżował ręce, a widownia wybuchnęła śmiechem. *Ale ty*, ciągnął, pokazując na Jas. *Ty byłaś cudowna. To był absolutnie wyjątkowy występ. Gdzie się nauczyłaś tak śpiewać?* Jas wyglądała na zaskoczoną i odpowiedziała *Mama mnie nauczyła, kiedy byłam mała, ale nie śpiewałam przez ostatnie pięć lat.* Mężczyzna zasłonił usta dłonią i szepnął coś do swojej towarzyszki. Kamery najechały najpierw na nich, a potem na nas. Widownia wstrzymała oddech. *Tak, tak, zgadzam się*, powiedziała kobieta, a wtedy juror odwrócił się do nas z uśmiechem. *Chcielibyśmy, żebyś zaśpiewała jeszcze raz*, powiedział. Jas skinęła głową, a ja przygotowałem się już do machania rękoma i śpiewu. *Tylko bez układu tanecznego. Bez brata.*

Jas spojrzała na mnie, jakby nie wiedziała, co zrobić, jednak uniosłem kciuk. Lepiej, żeby zaśpiewała tylko ona, niż żebyśmy oboje musieli opuścić scenę. Zresztą, dobrze wiem, że jest ode mnie lepsza, więc nie byłem specjalnie zszokowany. Potrafię śpiewać, ale to ona ma głos anioła. Miałem nadzieję, że tata słucha uważnie.

Mężczyzna pokazał na schodki z boku sceny, prowadzące na widownię, więc poszedłem tam i usiadłem, a Jas wzięła głęboki wdech. Wszystkie światła na scenie zgasty, oprócz jednego, które oślepiło ją, aż zaczęła mrugać. Mężczyzna skrzyżował ręce i usiadł wygodnie. Kobieta oparła brodę na palcach. Jas podeszła bliżej, a reflektor ruszył za nią. *Kiedy będziesz gotowa*, powiedział juror i Jas zaczęła. Najpierw cicho, drżącym głosem. Po kilku wersach jej ramiona rozluźniły się, usta otworzyły się szerzej i wydobył się z nich naprawdę cudowny dźwięk. Szybował w powietrzu jak tamten latawiec na plaży w St. Bees.

Jas śpiewała każdym centymetrem swojego ciała. Śpiewała oczami i rękoma i całym sercem, a kiedy uderzyła w wysokie dźwięki, widownia poderwała się na nogi, jurorzy zaczęli klaskać i wszyscy wiwatowali, a ja najgłośniej z nich. Zapomniałem, gdzie jestem. Zapomniałem, że znajduję się na scenie przed setkami ludzi, może nawet mamą i tatą, a na pewno przed mnóstwem kamer telewizyjnych. Zapomniałem o wszystkim, oprócz mojej siostry i słów piosenki, którą śpiewała. Po raz pierwszy rozumiałem ich sens, napełniał mnie odwagą i czułem, że tamten lew z nieba teraz tkwi gdzieś we mnie.

Piosenka dobiegła końca, Jas ukloniła się lekko, a w teatrze podniósł się rwetes. Juror pokazał na mnie, a potem na środek sceny. Wstałem, czując się jakbym był zupełnie innym chłopcem i miałem nadzieję, że mama widzi, jak moje ramiona wędrują do tyłu, a klatka piersiowa nadyma się niczym wielkie dudy, w które jakiś Szkot wdmuchnął mnóstwo dumy.

Cóż, to była beznadziejna piosenka, zaczął mężczyzna. Na widowni rozległy się gwizdy, jednak tym razem po naszej stronie. *Wyjątkowo okropny wybór*. Uśmiechnąłem się szeroko i Jas też. Nie obchodziło mnie, co myślą sobie jurorzy. Już nie. *Taniec był koszmarny*, ciągnął mężczyzna. *A ty, młody Spider-Manie, no cóż, może i jesteś superbohaterem, ale jedno jest pewne. Nie potrafisz śpiewać*. Jas położyła mi rękę na ramieniu. *Jednakże ty, młoda damo, powiedzmy tak...* zawiesił dramatycznie głos i spojrzał mojej siostrze prosto w oczy. *To był najlepszy występ w całym dzisiejszym dniu*. Widzowie zaczęli klaskać. *Do zobaczenia w następnej rundzie*. Widzowie zaczęli wiwatować. *Ale oczywiście, bez brata*. Widzowie zaśmiali się. *Następną osobę proszę*, zawołał i czas było zejść ze sceny. Ruszyłem w stronę wyjścia.

Nie, odezwała się Jas. Zatrzymałem się i obróciłem w miejscu, a jurorzy unieśli brwi. *Ale co nie*, zapytał mężczyzna. Jas odezwała się głośno i wyraźnie. *Nie zobaczycie mnie w następnym etapie*. Widzowie wstrzymali dech, a juror wydawał się wstrząśnięty. *Nie bądź śmieszna*, powiedział. *To jedyna taka szansa. Ten konkurs może zmienić twoje życie*. Jas chwyciła mnie za rękę i ścisnęła. *A jeśli my nie chcemy zmiany*, zapytała, po czym spojrzała, jednak nie na jurorów, tylko na widownię. Podniosła głos i wiedziałem dobrze, do kogo mówi. *Nie będę śpiewać bez Jamiego. Nie porzucę mojego brata. Rodzina powinna trzymać się razem*.

Zeszliśmy ze sceny przy wtórze niekończących się wiwatów. Dziewczyna z tabliczką pokręciła głową, a wszyscy pozostali uczestnicy zebrali się wokół nas. Mówili *To było wspaniałe* i *Gratulacje* i chociaż większość słów skierowana była do Jas, uznałem, że

odrobina należy się i mnie i było to przyjemne. Podawałem rękę naszym fanom i witałem się z każdym, jak Leo albo Wayne Rooney, a moja koszulka nagle wydawała się idealna i czułem, jakbym urósł. Może jednak dwucyfrowy wiek zmienia postać rzeczy. A potem usiedliśmy i czekajmy, aż występy się skończą, ale nie odzywaliśmy się do siebie, bo trudno byłoby wyrazić to szczęście.

Znajdźmy Leo, powiedziała Jas godzinę później, gdy dobiegł końca ostatni show, występ mężczyzny, który śpiewał arie operowe, stojąc na głowie. Wyszliśmy z poczekalni. Na dworze zrobiło się ciemno i nadal padał śnieg. Weszliśmy przez główne wejście, na suficie wisiały wielkie, błyszczące lampy, przypominające olbrzymie kolczyki. Dywan był czerwony, balustrady złote, a w teatrze pachniało słodyczami i sukcesem. Szukałem Sunyi, szukałem taty, ale przede wszystkim szukałem mamy, a na twarzy miałem uśmiech tak wielki jak księżyc w pełni.

Przepychaliśmy się przez tłum, a wszyscy patrzyli na nas, kiwali głowami i uśmiechali się, bo rozpoznali nas ze sceny. Jakiś pan uniósł wysoko rękę, żeby przybić piątkę, lecz nie trafiłem.

Starsza pani zapiąła *Doprowadziłaś mnie do łez*, a ja powiedziałem *Zamknij się*, a Jas powiedziała *Dziękuję*, co oznaczało, że to musiał być komplement, chociaż zabrzmiał paskudnie. Jas rozglądała się w poszukiwaniu zielonej czupryny, a ja szukałem brązowych włosów. Wystawialiśmy szyje, wzrok mieliśmy rozbiegany, nasze nogi sunęły do przodu, a głowy ciągle się obracały i nagle

ZATRZYMALIŚMY SIĘ. Zobaczyliśmy ich dokładnie w tej samej chwili. Dwadzieścia metrów od siebie. Dwie twarze wpatrzone w przeciwne strony. Milczące. Jak dwoje obcych ludzi. Nie Leo i nie Sunya. Mama i tata.

Mama!

Krzyknąłem najgłośniejszym głosem, jaki miałem, ale mnie nie usłyszała.

Mama!!

Zbyt wielu ludzi kręciło się wokół wejścia. Zostałem odepchnięty na bok przez mężczyznę w przebraniu clowna. Byłeś cudowny, zapiszczała jego żona, całując go w intensywnie czerwony nos. Stałem na palcach, próbując wypatrzeć mamę ponad tłumem głów.

Czarne buty.

Niebieskie dzinsy.

Zielony płaszcz.

I ręce.

Różowe, prawdziwe, żywe ręce, trzymające kurczowo czarną torebkę, bawiące się srebrnym zamkiem. Ręce, które gotowały nam obiady, głaskały czoła, a w zimne dni pomagały założyć swetry przez głowę. Ręce, które otulały mnie kołdrą. Które uczyły mnie rysować.

Jasna cholera, odezwała się Jas. *Naprawdę przyjechała*. Staliśmy nieruchomo i patrzyliśmy, a teatr buzował dookoła nas życiem.

Mama była opalona. Oczy miała otoczone zmarszczkami, których wcześniej tam nie było. I obcięła włosy. Przy skroniach widać było siwiznę, a na górze głowy jasne pasemka. Wyglądała inaczej. Ale przyjechała. Obciągnąłem koszulkę, poprawiłem ją przy szyi i przy rękawach, jednak ani chwilę nie spuszczałem wzroku z mamy. Bałem

się, że może zniknąć.

Wtem nas zauważyła. Jas zakłęła. Pomachałem, a mama zaczerwieniła się i uniosła rękę, ale nie ruszyła dłonią. Ręka opadła jej na dół. Powiedziała coś do taty, który ją zignorował. *No to dawaj*, szepnęła moja siostra i objęła mnie ramieniem. Czułem, jak jej żebra unoszą się i opadają, gdy przeciskaliśmy się przez tłum.

Czas płynął zbyt wolno, a jednocześnie za szybko i po chwili staliśmy przed mamą, a powietrze trzaskało jak płatki ryżowe, bo w przestrzeni między nami wyskakiwały i pękały setki emocji. Czekałem, aż mnie przytuli, pocałuje w czubek głowy, albo zauważy koszulkę ze Spider-Manem, ale ona tylko się uśmiechnęła, a potem wbiła wzrok w podłogę.

Cześć, powiedziałem. *Cześć*, odparła mama. *Cześć*, mruknęła Jas. Pochyliłem się do przodu i rozpostarłem ramiona, jednak mama się nie ruszyła. Dotarłem za daleko, żeby nagle wycofać się z uścisku. Musiałem go dokończyć. Przysunąłem się do mamy i objąłem ją, zszokowany, że sięgam jej prawie do ramienia, kiedy przecież dosięgałem zaledwie do klatki piersiowej. *Skurczyła się*, pomyślałem, co było idiotyczne, lecz tak właśnie poczułem. Nasz kontakt trwał niecałe dwie sekundy. Chciałem, żeby ten uścisk był idealny, ale on był twardy i zimny i od razu przyszły mi do głowy fragmenty puzzli, które zupełnie do siebie nie pasują, choćby nie wiadomo jak mocno próbowało się je połączyć.

To była świetna piosenka, powiedziała mama, gdy się odsunąłem. Jej słowa zabrzmiały pusto, jakby ktoś napisał je na kartce bardzo cienkim ołówkiem zostawiając za dużo miejsca w każdej literze. *Taki talent*. Powiedziałem *Dziękuję*. *Co za głos*, powiedziała mama, a ja się zaczerwieniłem, bo zrozumiałem, że mówi do Jas, a nie do mnie.

Cisza.

Chciałem opowiedzieć mamie o mojej bramce i psikusach na Halloween i czarnym kurczaku w obiedzie przygotowanym przez tatę. Chciałem jej opowiedzieć o pani Farmer i o kutasach w stajence Daniela i o tym, jak zaprzyjaźniłem się z najlepszą na świecie dziewczyną, nie licząc mojej siostry. Gdyby tylko mama mnie zapytała, albo chociaż spojrzała w moją stronę, słowa same wyszłyby z moich ust. Ale ona wpatrywała się w podłogę.

Chodźmy stąd, odezwał się w końcu tata. Kiedy wychodziliśmy z teatru, zrobił coś, czego nigdy wcześniej nie robił. Położył mi rękę na ramieniu i ścisnął.

Chodnik był obludzony, a płatki śniegu wydawały się pomarańczowe w świetle lamp ulicznych. Rozległ się klakson i Leo popędził szosą, zielone włosy wystające zza czarnej kierownicy. *Kto to*, zapytała mama, a Jas wzruszyła ramionami. Ciężko byłoby wyjaśnić, mama tyle przegapiła. Ale nadrobi. Ja jej pomogę. Mamy mnóstwo czasu.

Tata wyjął z kieszeni kluczyki do samochodu i zabręczał. *Gotowa*, zapytał Jas, skinęła głową. *Jamie*, odezwał się do mnie, a ja się uśmiechnąłem. Na ten moment czekałem najbardziej.

Zastanawiałem się, czy mama zadzwoni do Nigela i powie, że to koniec i czy nazwie go cholernym gnojkiem, kiedy ona powiedziała *No to do zobaczenia*. Sądziłem, że chciała powiedzieć *Do zobaczenia w domu*, że musi podjechać do naszej miejscowości, więc odparłem, *Pójdę z tobą*. Jas skuliła się, jakby widziała psa wybiegającego prosto

pod samochód i nie mogła zrobić nic, żeby temu zapobiec. Tata zbladł i zamknął oczy. Mama potarła nos. Nie rozumiałem, dlaczego wszyscy zachowują się tak dziwnie. *Pokaże ci drogę*, wyjaśniłem, a mama zapytała *Do Londynu* i wtedy zrozumiałem.

To tylko żart, odparłem i zmusiłem się do śmiechu, chociaż każde *ha* paliło mnie w gardło. Mama wyjęła rękawiczki z torebki i założyła na swoje różowe dłonie. *To do widzenia*, powiedziała. *Milo było was zobaczyć. Doskonale sobie radzicie*. Tata prychnął. Mama skrzywiła się. Autobus wjechał w rozmoknięty śnieg i ochlapał gołe nogi Jas.

Proszę, mama wyciągnęła chusteczkę. Podała ją Jas, a moja siostra popatrzyła na nią tępo. *Wytrzymaj sobie nogi*, powiedziała mama swoim dawnym głosem. Niecierpliwym. Nieco warczącym. To był najpiękniejszy dźwięk na świecie. Jas wypełniła polecenie. *Wyglądasz ślicznie*, powiedziała mama, kiedy Jas wycierała sobie łydki. Wystawiłem pierś do przodu, podtykając czerwono-niebieski materiał mamie pod nos. Nawet na niego nie spojrzała. *Taka podobna do siostry*.

Chodźmy, powiedział szybko tata. *Śnieg się klei*. Mama pokiwała głową. *Do zobaczenia wkrótce*, skłamała, po czym dotknęła ramienia Jas i pogłaskała mnie po głowie. *Dobrze wam poszło*.

Odmaszerowała, czarne buty rozchlapływały śnieżne błoto, zielony płaszcz szeleścił przy każdym kroku. Nie rozpoznawałem jej ubrań, były nowe. Zastanawiałem się, kiedy je kupiła. W moje urodziny. Albo wtedy, gdy grałem mecz. A może w czasie wywiadówki.

I zanim się obejrzałem, już za nią pędziłem, wymijając tancerzy i śpiewaków, setki szczęśliwych twarzy, zaczerwienionych od zimna. *MAMO*, wrzasnąłem ile sił w płucach. *MAMO*. Odwróciła się. *O co chodzi, skarbie*, zapytała, a ja miałem ochotę krzyknąć *NIE NAZYWAJ MNIE TAK*, ale wiedziałem, że są ważniejsze sprawy.

Staliśmy pod włoską restauracją, czułem zapach pizzy i chociaż powinienem być głodny, za bardzo bolał mnie brzuch, bym mógł myśleć o jedzeniu. Słyszałem śmiech ludzi, rozmowy kelnerów i brzęk szkła, jak wtedy, gdy wszyscy się stukają kieliszkami. W restauracji paliły się świece, żałowałem, że nie mogę znaleźć się w środku, daleko od szarej, zimnej ulicy.

O co chodzi, powtórzyła mama. Nie chciałem zadać jej tego pytania. Bałem się, jaka będzie odpowiedź. Ale pomyślałem o Jas i o słowach refrenu i zdobyłem się na odwagę. *Pracujesz jutro*, wydyszałem. Wydała się zdumiona. Otuliła się szczelniej płaszczem. *Dlaczego*, zapytała, jakby bała się, że każę jej zostać dłużej. *Ja tylko chciałem wiedzieć*, szepnąłem. Pokręciła głową. *Nie. Dawno przestałam uczyć*.

Świat wokół mnie zaczął wirować. Przyszedł mi do głowy globus na metalowym stojaku i ręka, która okręca go coraz szybciej. *A więc nie pracujesz już dla pana Walkera*, zapytałem, dając jej szansę, by zmieniła odpowiedź. Nienawidziłem tego, jak moje serce łomocze w ostatnim porywie nadziei. Mama znów pokręciła głową. *Nie*, odparła. *Nie mam pracy. Nie było mnie. Podróżowałam. Nigel prowadził badania do książki w Egipcie, pojechałam razem z nim. Wróciłam dopiero w Sylwestra*. A więc stąd ta opalenizna.

Mama ponownie otworzyła torebkę. Wyjęła cztery koperty, dwie z moim pismem, dwie z pismem Jas. *Nie dostałam ich na czas*, powiedziała cicho, jakby przepraszała, jakby chciała, żebym powiedział *To nic, że nie dotarłaś na wywiadówkę*.

To nic, że nie było cię na święta. Przyjechałabym, powiedziała. Nie wiem, czy mówiła prawdę.

Miałem jeszcze jedno pytanie i jeszcze trudniej było mi je zadać. Świat pędził jak oszalały, samochody, ludzie i budynki stanowili tylko zamazaną plamę wokół mnie i mamy. *Ta koszulka*, zacząłem, wbijając wzrok w kałużę na chodniku. *O właśnie*, odezwała się mama. *Miałam mówić*, uśmiechnęła się. *Jest śliczna*. Też się uśmiechnąłem, mimo wszystko. Mama potarła materiał między palcem wskazującym a kciukiem. *Bardzo ładna bluzeczka. Skąd ją masz, James. Naprawdę ci w niej do twarzy.*

Nie odezwałem się nawet wtedy, gdy wróciliśmy do domu i tata zapytał, czy chcę gorącej czekolady. Nie wiedzieć czemu, całą podróż rozmyślałem o trzęsieniach ziemi i kiedy wszedłem do przedpokoju, widziałem trzęsącą się ziemię, i rozpadające się budynki gdzieś daleko, może w Chinach. Zastanawiałem się, czy w Bangladeszu dochodzi do trzęsień ziemi i czy Sunya opowie mi o nich w szkole. Nie przyjechała na konkurs talentów, chociaż zaprosiłem ją na kartce świątecznej i pokryłem *Proszę złotym* brokatem. Pewnie jest nadal na mnie zła i na razie nie będzie chciała rozmawiać ze mną o naturalnych katastrofach. *Chcesz gorącej czekolady*, zapytała cicho Jas. Tylko skinąłem głową i poszedłem na górę, znaleźć Rogera. Nie było go u mnie w pokoju. Usiadłem na parapecie i wpatrywałem się w swoje odbicie w szybie. Koszulka ze Spider-Manem wyglądała beznadziejnie.

Może mama żartowała. A może zapomniała, że mi ją przysłała.

Tak. Z pewnością tak właśnie było. Pokiwałem głową, a moje odbicie odpowiedziało mi tym samym.

Zapomniała.

Mama ciągle o czymś zapomina. Idzie do supermarketu i nie pamięta, co miała kupić. I nigdy nie może znaleźć kluczy, bo wiecznie zapomina, gdzie je położyła. Kiedyś znalazły się w zamrażarce pod paczką mrożonego groszku i nie miała pojęcia, skąd się tam wzięły. Nic dziwnego, że nie pamięta tego, co miało miejsce sto trzydzieści dwa dni temu.

Tata przyniósł mi czekoladę. Z niebieskiego kubka wznosiła wirująca para. *Proszę*, powiedział, siadając na łóżku. Odkąd się tu wprowadziliśmy tylko raz był w moim pokoju i to dlatego, że się upił i nie mógł znaleźć drogi do łazienki.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc sączyłem czekoladę, chociaż była za gorąca i parzyła mnie w język. *Dobra*, zapytał, pokazując na kubek. Nie była dobra, ale i tak powiedziałem *Mmmm*. Nie rozmieszał dobrze proszku, cały opadł na dno jak błoto. Jednak czekolada była gorąca i słodka i tata ją zrobił, więc była dobra. Wydawał się zadowolony z siebie, obserwując jak piję. *Dobra dla kości. Jeśli będziesz pił codziennie jeden kubek, urośniesz silny jak Rooney*, powiedział. *Będę ci robił. Zaczerwienił się i pocierał ręką podbródek, a ponieważ ma zarost wydawało to fajny dźwięk. Powiedziałem Okej, a on wstając, ścisnął mi ramię, już drugi raz tego dnia.*

W poniedziałek rano pójdę na tę budowę, odezwał się nagle, wpatrując się we własną stopę, która poruszała się to w przód, to w tył na pokrytej brokatem wykładzinie. O ile jeszcze mnie zechcą. To mi dobrze robi. Będę miał po co wstawać. Odchrząknął, chociaż gardło miał czyste. Będę miał po co być trzeźwy.

Kiedy psikam się dezodorantem, maleńkie kropelki utrzymują się bardzo długo w powietrzu i nie znikają. Dokładnie to samo stało się ze słowem *Trzeźwy*. Zawisło w powietrzu, a ja nie mogłem podnieść wzroku, bo nie chciałem patrzeć, jak wiruje wokół taty. Wpatrywałem się w osad na dnie kubka, jakby była to najbardziej interesująca rzecz na świecie. Był ciemnobrązowy, prawie czarny i wysychał, tworząc zabawne kształty. Jas czyta horoskopy, niektórzy ludzie wróżą z dłoni, a jeszcze inni z fusów.

Zmrużyłem oczy, patrząc na czekoladowy osad, lecz on nie wyjawiał mi żadnej przyszłości. *Skończyłeś*, zapytał tata, a ja powiedziałem *Tak*. Zabrał kubek i wyszedł z pokoju.

Nie mogłem zasnąć. Leżałem w łóżku z bólem brzucha, przewróciłem się na prawy bok, a potem na plecy, potem na lewy bok i na brzuch, jednak w żadnej pozycji nie było mi wygodnie. Łóżko wydawało się takie gorące, więc odwróciłem poduszkę, żeby poczuć chłód. Ciągłe sobie powtarzałem *Zapomniała, że ci ją przysłała zapomniła, że ją przysłała*, ale znów powróciły wątpliwości i wszystko wyglądało posępnie i nie wierzyłem słowom, które miałem w głowie.

Mama rzuciła pracę kilka miesięcy temu. Nie pracuje dla pana Walkera ani dla żadnego innego wrednego szefa. Nie musiała uczyć w ten dzień, gdy zaprosiłem ją na wywiadówkę. Nie było jej nawet w kraju, kiedy Jas zaprosiła ją na święta.

Pojechała do Egiptu z Nigelem, a my siedzieliśmy w domu, czekając aż się zjawi.

A jednak przyjechała do teatru. Pokonała całą drogę z Londynu do Manchesteru, żeby zobaczyć nasz występ. To musiało coś znaczyć.

Było mi słabo i kręciło mi się w głowie. Nie wiedziałem, w co wierzyć. Wszystkie fakty, silne i konkretne, wielkie i prawdziwe rozsypały się z łomotem jak budynki podczas trzęsienia ziemi. Do trzęsień ziemi nie dochodzi tylko w Chinach czy Bangladeszu. W moim pokoju zdarzyło się właśnie jedno, trzęsło wszystkim w posadach, roztrzaskiwało wszystko dookoła i już na zawsze zmieniało moje życie.

Babcia powtarza *Trzeba uważać, czego się życzy, bo życzenia czasem się spełniają*. Zawsze uważałem, że to głupota. Aż do teraz. *Zadzwoń pod ten numer, by całkowicie odmienić swoje życie*. Żałowałem, że w ogóle chwyciłem za telefon.

Gdy otworzyłem oczy, przez okno do pokoju wlewało się słońce. Zamrugałem dwanaście razy, zanim przyzwyczałem się do światła. Ziewnąłem, a wtedy poczułem, że boli mnie głowa i mam spuchnięte oczy. Nie spałem zbyt dobrze. Podniosłem się z łóżka, oczekując, że Roger zacznie ocierać się futrem o moje łydki i okręcać ogon wokół moich kostek, ale nie było go. Nie widziałem go od czasu powrotu z konkursu. Wyjrzałem przez okno. Słońce odbijało się od śniegu, aż ciężko było patrzeć. Widać było tylko drzewa, oczko wodne i krzaki. Nigdzie śladu Rogera.

Pobiegłem do kuchni i zajrzałem do jego miski. Jedzenie było nietknięte. Popędziłem do salonu, zajrzałem za sofę i pod krzesła. Pobiegłem na górę. Spod drzwi Jas wydostawały się dziwne chemiczne zapachy. Nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka. *Wynoś się z mojego pokoju*, wrzasnęła. *Jestem rozebrana*. Pewnie było to kłamstwo, jednak zamknąłem oczy. *Widziałas Rogera*, zapytałem. *Od wczoraj rano nie*, odparła. *Wyrzuciłeś go z salonu, kiedy ćwiczyliśmy nasz układ*. Gdyby poczucie winy przyjmowało postać zwierzęcia, moje byłoby ośmiornicą. Śliskim, wijącym się stworem o setkach macek, które oplatają wnętrzości i mocno się na nich zaciskają.

Wszedłem do pokoju taty. Spał na plecach z otwartą buzią i głośno chrapał. Potrzaśnąłem nim. *Co*, jęknął, zakrywając twarz ręką i oblizując suche wargi. Były brudne od czegoś brązowego, co wyglądało jak gorąca czekolada i wcale nie czuć było

od niego za mocno alkoholu. *Widziałeś Rogera*, zapytałem, a on powiedział *Wypuścilem go na dwór zanim pojechałem do Manchesteru*, po czym znowu zasnął.

Założyłem kalosze i kurtkę i wyszedłem na zewnątrz.

Przeszukałem ogród z tyłu domu. Wołałem Rogera po imieniu, lecz na próżno. Piszczalem jak myszka, a potem jak królik, bo chciałem, żeby przestał się obrażać i zaczął polować. On jednak nie wyszedł ze swojej kryjówki. Spojrzałem nawet na drzewo, żeby sprawdzić, czy nie utknął na jakiejś gałęzi i rozejrzałem się po śniegu, w poszukiwaniu śladów łap, ale spadł świeży puch i nikt po nim nie chodził. Lód w oczku stopniał, widziałem, że moja rybka pływa, więc powiedziałem *Witaj ponownie*, a potem wyszedłem z ogrodu.

Roger nie jest humorzastym kotem, toteż zdziwiło mnie, że się tak obraża. Ruszyłem w stronę ulicy i było mi gorąco w głowę od tego słońca, ale zimno w nogi od śniegu. Za każdym razem, kiedy coś się poruszyło, spodziewałem się zobaczyć rudy pysk Rogera. Najpierw był to ptak, potem owca, a na końcu szary pies, biegnący ścieżką z czerwoną, świąteczną kokardką na szyi. Pogłaskałem go i powiedziałem właścicielowi *Ładny pies. Jak dla mnie jest trochę zbyt ruchliwy*, powiedział starszy pan z płaską czapką na głowie i fajką w ustach. Miał włosy w dokładnie takim samym kolorze jak sierść psa, miłą twarz i brązowe oczy o ciężkich powiekach, przez co wydawał się śpiący. *Widział pan może kota*, zapytałem. *Rudego*, mężczyzna zmarszczył czoło. *Taaa*, odparłem ze śmiechem, bo pies zaczął podskakiwać i kłaść lodowate łapy na moim brzuchu. *Przestań, Fred*, mruknął mężczyzna. Fred pomachał ogonem i nie zwracał na niego uwagi. *Rudy kot*, powtórzył mężczyzna. Nie wiedziałem, dlaczego nagle zbladł i dlaczego ręka mu się trzęsła, gdy pokazywał w dół ulicy. *Tam*.

Dziękuję, powiedziałem z ulgą i odepchnąłem Freda. Polizał moją rękę i pomachał całym ciałem. *Tak mi przykro*, głos mężczyzny drżał. *Tak bardzo mi przykro*.

Wtedy zrozumiałem.

Wtedy zrozumiałem, że Roger wcale się nie chowa. Wiedziałem, że się nie obraża. Pokręciłem głową. *Nie*, powiedziałem. *Nie*. Mężczyzna przygryzł końcówkę fajki. *Przykro mi, mały. Ale twój kot...*

NIE, krzyknąłem i odepchnąłem go z drogi. *NIE*, puściłem się biegiem, przerażony tym, co zobaczę, lecz musiałem koniecznie znaleźć Rogera, musiałem udowodnić temu człowiekowi, że się myli, że Rogerowi nic nie jest, że tylko...

Och.

Na białym śniegu widniała jaskrawo-ruda plama. Malutka. Na szosie. Pięćdziesiąt metrów ode mnie. *To nie on*, powiedziałem sobie w duchu, ale krew mi zamarzała w żyłach, jakby ta czarownica z Narnii wyczarowała samą zimę, bez Bożego Narodzenia. Słońce przygrzewało mi w głowę, jednak wcale tego nie czułem. Nie chciałem zrobić kolejnego kroku, lecz stopy nie słuchały w ogóle mojego mózgu i poruszały się szybko, zbyt szybko. Może to lis. Jeszcze trzydzieści metrów. Proszę, niech to będzie lis. Dwadzieścia metrów. To kot. Dziesięć. Zakrwawiony.

Patrzyłem na Rogera. Pokryty brokatem ogon połyskiwał w promieniach słońca. Pragnąłem, żeby się poruszył. Czekałem całe pięć minut na niego, na cokolwiek, żeby coś się ruszyło, Ale Roger leżał nieruchomo. Łapki wyglądały na sztywne, uszy zbyt szpiczaste, a oczy wydawały się być szklanymi, zielonymi kamykami.

Nienawidzę tego, co martwe. Przeraza mnie to. Mysz przyniesiona przez Rogera. Królik. Teraz Roger. Wzięłam głęboki wdech, lecz to nie pomogło. Ośmiornica mocno zaciskała macki na moich płucach. Brakowało mi powietrza. Już zawsze będzie brakowało mi powietrza. Zaczęłam ciężko dyszeć.

Pomyślałam o tym, jak ostatni raz widziałem Rogera. Mruczał w moich ramionach, a ja postawiłam go na dywanie w hallu. Zamknęłam mu drzwi przed nosem, kiedy on tylko domagał się głaskania, zignorowałam jego miauczenie pod drzwiami i nawet się nie pożegnałam, gdy jechałam na casting. Nie pożegnałam się. A teraz było już za późno.

Śnieg pod Rogerem zabarwił się na czerwono. Nagły poryw wiatru rozwiął mu sierść i wydał mi się taki zimny, więc podszedłam bliżej na palcach.

Zęby mi dzwoniły, a ramiona unosiły się i opadały, jakbym próbował zassać powietrze do płuc. Teraz znajdowałam się już tylko dwa metry od niego. Opadłam na kolana i podpełzłam do Rogera. Powoli. Powoli. Serce waliło mi o żebra.

Miał rozcięty bok. Rana wydawała się głęboka i lepka. Przednie łapki miał skręcone pod dziwnym kątem. Złamane. Roztrzaskane. Pomyślałam sobie, jak wymykał się w zarośla, jak biegał po ogrodzie, zeskakiwał mi z objęć i lądował na silnych, zdrowych łapach. Nie mogłam znieść myśli, że jest ranny połamany i zimny. Musiałem coś z tym zrobić.

Wystawiłam palec. Wyciągnęłam rękę. Musnąłem koniuszkiem palca jego sierść, ale ręka od razu odskoczyła mi do tyłu, jakbym dotknął czegoś gorącego. Dyszałem tak ciężko, że robiło mi się słabo. Znów spróbowałam. I jeszcze raz i jeszcze. Pomyślałam o króliku, którego podniosłem za pomocą patyków oraz o myszy, którą niosłem na kartce papieru i nie wiedzieć czemu, o Rose. O rozszarpanej na kawałki Rose. Gardło mnie paliło, próbowałam przełknąć ślinę, jednak nie chciała przesunąć się w dół.

Za szóstym razem w końcu go dotknęłam. Ręce mi się trzęsły, dłonie miałem spocone, ale położyłem palce na grzbiecie Rogera i tak je trzymałem. Był zupełnie inny w dotyku. Pamiętałem te wszystkie okazje, gdy kładłem mu rękę na sierści, czułem ciepłą skórę, bijące serce i żebra wibrujące podczas mruczenia. Teraz wszystko było nieruchome. Na jego wąsikach nie zostało nic życia. Ani w oczach. Ani w ogonie. Byłem ciekaw, gdzie się podziało.

Palenie w gardle rozprzestrzeniło się na policzki. Ze zmarzniętych na amen w ułamku sekundy przeobraziły się w płomiennie gorące. Pogłaskałem łeb Rogera. Powiedziałem mu, że go kocham. Że jest mi przykro. Nie zamiauczał. Widziałem ślady opon na śniegu. Głębokie, krótkie, ukośne. Ktoś zahamował gwałtownie i wpadł w poślizg.

Ból przerodził się w gniew. Z okrzykiem wściekłości zerwałem się na równe nogi i kopnąłem ślady opon. Podeptałem je. Oplułem. Chwyciłem śnieg w gorące palce i rzuciłem do nieba. Opadłam na kolana i zacząłem uderzać ślady po hamowaniu tak mocno, jak tylko się dało, waliłem pięściami w asfalt, a ból był dla mnie ukojeniem. Skóra na kostkach pękła, lecz dalej uderzałem w asfalt.

Gdybym nie pojechał na konkurs, Roger nadal by żył. Zauważyłbym poprzedniego wieczoru, że nie wrócił do domu, poszedłbym go szukać, wróciłby biegiem, otarłby się o moje kalosze, a jego sierść błyszczałaby w świetle księżyca. Ale ja zbyt

zamartwiałem się mamą, żeby pomyśleć o Rogerze.

Przestałem walić w ziemię. Wstałem na trzęsących się kolanach. Podeszedłem do Rogera i tym razem nie bałem się jego martwego ciała. Chciałem go wziąć na ręce. Nigdy nie puszczać. Głaskać i tulić w nieskończoność, powiedzieć to wszystko, co powinienem, gdy jeszcze słyszał mój głos. Podniosłem go delikatnie, jak jedno z tych pudeł z napisem NIE WOLNO DOTYKAĆ. Głowa mu opadła, ale oparłem ją o swoje ramię. Przytuliłem go do siebie i pogłaskałem po futerku. Potarłem jego głowę i zakołysałem lekko, jak kobieta niemowlę.

Tęskniłem za moim kotem. Tak bardzo za nim tęskniłem, że paliło mnie w gardle, a gorąco z policzków rozprzestrzeniło się na oczy i zaczęło je palić. Zwilgotniały. Nie, nie była to zwykła wilgoć. To były łzy. Rozpłakałem się, po raz pierwszy od pięciu lat, a słone krople spadały prosto na rude futerko Rogera.

Jaki on był okropnie zimny, za długo przebywał na zewnątrz. Odpiąłem kurtkę i przytuliłem go do koszulki ze Spider-Manem. A potem znów zapiąłem zamek, żeby osłonić go od wiatru i śniegu, który znów zaczęło padać. Głowa wystawała mu spod kurtki, pocałowałem ją delikatnie. Jego wąsy połaskotały mnie w usta.

Zaniosłem go do domu. Obszedłem wszystkie oblodzone fragmenty jezdni, żeby się nie poślizgnąć. Łzy przesłaniały mi widok domu, ale ruszyłem od razu do ogrodu. Przez cały czas przemawiałem do Rogera, opowiadałem mu o castingu, o tym, jaka cudowna była Jas i jak po raz pierwszy zrozumiałem słowa piosenki i jak mnie zmieniły. Powiedziałem mu, że chciałem, by mama była z nas dumna i że to dlatego, tylko dlatego wyrzuciłem go z salonu. Wyjaśniłem, że zamknąłem drzwi, bo ćwiczeliśmy układ, chciałem zaimponować mamie, bo byłem głupi i zdałem sobie sprawę z bezsensowności tego wszystkiego dopiero wtedy, gdy było już za późno. Wyszepiałem *Mama jest kłamczucha, porzuciła mnie i cokolwiek bym zrobił, nigdy mnie nie pokocha*. Chciałem, żeby Roger zamruczał albo miauknął, dał znak, że mi wybaczają. Ale on milczał.

Doszedłem do oczka wodnego i nie wiedziałem, co zrobić z moim kotem. Nie chciałem go zakopywać, na samą myśl, że mógłby leżeć pod ziemią i gnić, robiło mi się słabo. Przytuliłem go mocno do siebie, pragnąc zatrzymać go w takiej pozycji, blisko serca, brudzącego krwią moją koszulkę.

Wiedziałem, że coś jednak muszę zrobić. Roger zasługiwał na porządny pogrzeb. Pomyślałem o mojej siostrze na kominku i uznałem, że miło by było mieć go obok. Wyobraziłem sobie urnę z prochami Rogera. Nadal mógłbym do niego przemawiać, głaskać go i tulić, kiedy tylko na-szłaby mi ochota. Nagle zrozumiałem wszystko. Nagle załapałem. Dlaczego Rose stoi w urnie na kominku. Dlaczego tata nie potrafi rozsypać jej prochów do morza. Dlaczego podaje jej tort na urodziny, przypina pasem w samochodzie, dlaczego w Wigilię powiesił skarpetę obok urny. Ciężko jest pozwolić komuś odejść. Kochał ją za bardzo, żeby móc się pożegnać.

Osunąłem się na kolana, wcisnąłem twarz w sierść Rogera i płakałem tak mocno, aż nie mogłem oddychać. Z nosa mi ciekło, głowa mnie bolała, miałem spuchniętą twarz, lecz nie mogłem przestać. Usłyszałem, jak z tyłu otwiera się okno. Usłyszałem wołanie taty *Jamie, chodź do środka. Jest okropnie zimno*. Nie ruszyłem się.

Skoro nie mogłem mieć Rogera, chciałem zachować jego prochy. Znalazłem dwie gałązki, przytrzymałem je stopami i prawą ręką zacząłem pocierać jedną o drugą. Przytuliłem Rogera lewym ramieniem i śpiewałem mu do ucha, żeby nie przestraszył się dźwięku pocieranych gałązek. Nic to nie dało. Było zbyt mokro, żeby rozpalić ogień.

Usłyszałem, jak otwierają się drzwi. Odwróciłem się. Tata. *Ale mróz*, powiedział, a potem zatrzymał się. *Roger*.

Tata postawił mnie na nogi i po raz pierwszy, odkąd pamiętam, przytulił. To był mocny, bezpieczny uścisk, a ja wcisnąłem twarz w jego klatkę piersiową. Ramiona mi drżały, oddech miałem urywany, a moje łzy moczyły mu koszulkę. Nie powiedział jednak *Ciii*, ani *Uspokój się*, nie zapytał *Co się stało*. Wiedział, że ból jest zbyt silny,

żeby wypowiedzieć go na głos.

Kiedy nie została mi już ani jedna łza, tata poklepał mnie po plecach i rozpiął mi kurtkę.

Nie przeszkodziłem mu w tym. Wziął ode mnie Rogera, delikatnie, łagodnie i pomału i położył na ziemi. Dotknął jego powiek i ostrożnie je zamknął. Zniknęło szklane spojrzenie, Roger wyglądał jakby spał.

Zaczekaj, powiedział. Miał smutne oczy, ale zacięte usta. Zniknął w głębi domu, a chwilę później wrócił z łopata i jakimś małym przedmiotem, który włożył sobie do kieszeni. Zacząłem mówić *Skremujmy...*, a tata odparł *Nie damy rady rozpaścić ogniska na śniegu*. Próbowałem podnieść Rogera, zabrać go stamtąd. Nie chciałem, żeby mój kot został zagrzebany w ziemi. Tata chwycił mnie za rękę. *Jego już nie ma*, powiedział i pokiwał głową, jakby sam siebie próbował o czymś przekonać. Oczy mu się zaszklily, ale wziął głęboki wdech i zamrugał kilka razy. A potem znów pokiwał głową, jak gdyby podjął jakąś wielką decyzję. Zaczął kopać. *Cokolwiek w nim było, zniknęło*, powiedział głosem zduszonym od smutku, którego chyba nie rozumiałem.

Trwało to długo, bo ziemia była twarda. Przez cały czas, kiedy tata kopał, głaskałem Rogera po głowie i powtarzałem mu co chwilę, że go kocham. Łzy znów pociekły mi po policzkach. Nie chciałem, żeby dziura w ziemi była zbyt głęboka. Nie chciałem, żeby tata kończył. Nie byłem gotów się pożegnać. W którymś momencie pojawiła się Jas. Nie słyszałem jej. Nie było jej i nagle kuciała u mojego boku i cicho płacząc, głaskała zakrwawione futerko Rogera. Znów miała różowe włosy, przefarbowała je na nowo.

Tata przerwał kopanie. *Koniec*, powiedział. *Jesteś gotów*. Potrząsnąłem głową. *Zrobimy to razem*, szepnął i wyjął z kieszeni niewielki przedmiot. Złotą urnę. *Zrobimy to razem*.

Czasami pani Farmer twierdzi, że jest za zimno na deszcz i tak właśnie wyglądała twarz taty. Zbyt smutna na łzy. Tata podszedł do oczka wodnego, Jas wstała i objęła się rękoma. Podniosłem Rogera. Tata otworzył urnę. Słońce zaświeciło mocniej niż kiedykolwiek wcześniej tego dnia, a promienie odbiły się od złotej urny, aż cała rozblęła.

Podszedłem do wykopanego dołu. Tata wysypał na dłoń część Rose. Nie, nie Rose. Rose zniknęła. Wysypał część jej prochów. Włożyłem Rogera do grobu. Tata wziął głęboki wdech. Ja wziąłem jeszcze głębszy. Przez kilka sekund cały świat znieruchomiał, a potem jakiś ptak zaśpiewał a wiatr poruszył gołymi gałęziami drzew. Tata wypuścił prochy, ale nie powiedział *Do widzenia*. Nie musiał. Rose opuściła nas tak dawno temu.

Pierwsze prochy pofrunęły do oczka, mieszając się ze spadającym z nieba śniegiem.

Wylądowały na powierzchni wody i zatonęły. Widziałem, jak moja rybka pływa wokół liścia lilii. Chwyciłem łopatę i nabrałem ziemię. Moje zaciśnięte na metalowym trzonku dłonie były spocone. Przytrzymałem łopatę nad dołem, ale nie byłem w stanie jej odwrócić. Nie potrafiłem przysypać mojego kota ziemią. *Rogera już nie ma*, powiedziałem sobie. *Nie ma go. To nie on*. Jednak to nic nie pomogło. Widziałem tylko czarny nos mojego kota, jego srebrne wąsy i długi ogon i tak bardzo pragnąłem wyjąć go z grobu. Nie byłem gotów na jego śmierć.

Tata znów przechylił urnę i więcej prochów wysypało mu się na dłoń. Zacisnął zęby i odwrócił rękę. Prochy Rose wpadły do oczka. Skoro tata mógł, to i ja mogę. Przechyliłem łopatę nad grobem.

Nie byłem w stanie spojrzeć na Rogera. Nie potrafiłem patrzeć, jak jego ciało znika pod ziemią. Szepnąłem *Kocham cię i Zawsze będziesz moim najlepszym przyjacielem* oraz *Będę za tobą tęsknił*, a potem zacząłem zasypywać dół jak najszybciej potrafiłem. Nie chciałem patrzeć na to, co robi tata. Wiedziałem, że jeśli przerwę choćby na ułamek sekundy, nie będę mógł już tego dokończyć.

Przyklepałem ziemię, żeby wyglądała płasko i ładnie. A potem upuściłem łopatę, jakby była pokryta zarazkami. Nie mogłem uwierzyć w to, co zrobiłem. Robiło mi się niedobrze na myśl o sobie, o całym świecie, bolał mnie brzuch i głowa i bolało mnie serce. Jas objęła mnie ramieniem i przytuliła, kiedy płakałem. Rogera już nie było, miałem go już nigdy nie zobaczyć. To było zbyt przerażające, żeby o tym myśleć, więc wytarłem łzy i zmusiłem się, by spojrzeć na tatę. Nadal stał przy stawie, nadal rozsypywał prochy Rose nad wodą. Odrobina za odrobiną.

Podszedłem do niego, ciągnąc za sobą Jas. Stanęliśmy po bokach i przyglądaliśmy się, jak prochy opadają. Moja rybka pływała dookoła, poruszając radośnie tylną płetwą. Część prochów wylądowała na jej złotej skórze i przykleiła się do błyszczących łusek.

Została już tylko garstka prochów. Ostatnie drobinki wypadły na dłoń taty. Uniósł urnę i zajrzał do środka, zszokowany, że już nic nie zostało. Ręce mu się przy tym trzęsły.

Nie, powiedziałem nagle. *Nie rób tego*. Palce taty zacisnęły się na ostatnich drobinkach. *Co*, zapytał, oddychając ciężko. Twarz miał bielszą niż otaczający nas śnieg. *Nie rób tego*, powtórzyłem. *Zostaw tę resztę*. Tata potrząsnął głową. *Rose już nie ma*, odparł, z trudnością wypowiadając słowa. *To nie ona*, dodał, unosząc prochy. Przestałem płakać. *Wiem*, powiedziałem. *Ale to była ona. To było jej ciało. Powinieneś to zostawić, tylko odrobinę*. Tata popatrzył na mnie, ja popatrzyłem na niego i coś wielkiego i ważnego przeskoczyło między naszym wzrokiem. Reszta prochów wylądowała w złotej urnie.

Byliśmy na wskroś przemarznięci, więc we-szliśmy do środka. Tata zniknął na kilka chwil na górce, a Jas zrobiła trzy kubki herbaty. W milczeniu wypiliśmy ją w salonie. Kominek wydawał się pusty bez urny. Zrozumiałem, że tata musiał postawić ją w sypialni, schowaną przed wzrokiem. Na czasy, gdy będzie jej potrzebował, co z pewnością nastąpi w wyjątkowo smutne dni, jak na przykład dziewiątego września. Wiem, że do końca życia będę pamiętał, że Roger zmarł szóstego stycznia, nawet jeśli będę miał miliard innych zwierząt, bo żadne nie będzie tak kochane jak mój kot.

Skończyliśmy pić herbatę i tylko na siebie patrzeliśmy. Tego ranka coś wielkiego zaszło między nami. Wszystko się zmieniło. I chociaż bolał mnie brzuch i gardło, a z oczu kapąły łzy, wiedziałem, że to nie była taka zła zmiana. Ze przytrafiło się nam także coś dobrego.

Jas nadal nie jadła. Tata w dalszym ciągu pił. Ale przez cały dzień trzymaliśmy się razem.

W salonie. Nie rozmawialiśmy, jednak nikt nie chciał oddalić się do swojego pokoju. Obejrzeliśmy film. Jas zapytała, czy chcę Spider-Mana, a ja powiedziałem *Nie*, więc

włączyła komedię. Nie śmialiśmy się, lecz uśmiechaliśmy przy najlepszych kawałkach. Tata powiedział *Jas podobają mi się twoje włosy*, a kiedy odparła *Dzięki*, dodał *Powinnaś zawsze farbować je na różowo*. A gdy przyszła pora spania i na niebie świeciły gwiazdy jak setki kocich oczu na ciemnej drodze, tata przytulił mnie po raz drugi. Uścisk był tak samo mocny i bezpieczny jak ten pierwszy. Kiedy leżałem pod kołdrą, tęskniąc za Rogerem, pragnąc, by siedział na moim parapecie zamiast leżeć pod ziemią, tata przyniósł mi gorącą czekoladę. Włożył mi kubek do rąk, a para przyjemnie ogrzewała mi twarz. Tym razem dobrze wymieszał proszek.

Następnego dnia zaczęła się szkoła. Cały czas spodziewałem się, że gdy wyjdę z łóżka, Roger będzie ocierał mi się o łydki albo wskoczy mi na kolana, kiedy będę jadł płatki albo okręci ogon wokół moich kostek, podczas gdy będę mył zęby. Dom wydawał się pusty bez niego. Ja czułem się bez niego pusty.

Tata wstał na czas i zawiózł nas do szkoły. Był odrobinę skacowany, ale nie miało to absolutnie żadnego znaczenia. Nie jest idealny, ja też nie jestem. Stara się, a to najważniejsze. Nie zawsze był dobrym ojcem, jednak i tak okazał się milion razy lepszy od mamy. Nie porzucił nas. Jest po prostu smutny z powodu Rose, a to zrozumiałe. Strata kota jest okropna, córka rozszarpana na strzępy przez bombę, to dopiero musi być straszne.

Kiedy podjechaliśmy pod szkołę, tata zauważył Sunyę na chodniku. Widziałem jego minę w lusterku. Zaciśnął szczękę, ale nie zaczął wykrzykiwać *Muzułmanie zabili moją córkę* ani nic takiego. Nawet nie kazał mi się trzymać od niej z daleka. Powiedział tylko, że ze względu na pracę, wróci do domu dopiero o szóstej. Jas ścisnęła mu rękę, a on uśmiechnął się z dumą, a potem powiedział *Milego dnia. Masz świetne wyniki, pracuj tak dalej.*

Wszedłem do szkoły. Nadal miałem na sobie koszulkę ze Spider-Manem, ale nie dla mamy, bo to nie ona ją przysłała. Krew Rogera wsiąkła w materiał i nie chciałem jej zdejmować. Pewnie wyglądałem jak morderca czy coś w tym stylu. Miałem to w nosie. Chciałem być jak najbliżej mojego kota.

O, idzie pedalek, krzyknął Daniel spod drzwi klasy, gdzie stał z Ryanem. Bałem się, jednak nie zaczerwieniłem się, ani nie zacząłem się trząść, ani nie uciekłem. Podeszedłem do nich. *Pedalek w tej swojej smutnej koszulce*, powiedział Daniel, a potem zaśmiali się i przybili piątkę. Przeszedłem pod ich uniesionymi rękoma. Daniel kopnął mnie w tył łydki i to zabolowało, nawet miałem ochotę trzasnąć go w twarz, ale nie chciałem zostać znów pobity. Uśmiechnął się z wyższością, jakby wygrał, a mnie znów przypomniał się tamten tenisista, który ciągle zajmuje drugie miejsce w Wimbledonie i nie wiedzieć czemu, wkurzyłem się. Moje serce zawarczało jak rozjuszony pies.

Co za ofiara losu, krzyknął Daniel tak głośno, że wszyscy w klasie musieli to usłyszeć. Zająłem miejsce obok Sunyi i czekałem, czy spojrzy na niego wściekle albo cos' mu powie do słuchu. Ale ona skurczyła się na krześle, jakby chciała się schować. Nawet nie spojrzała w moją stronę. Chciałem zapytać, czy przeczytała moją kartkę, czy widziała bałwana, który wyglądał jak ona i drugiego, przypominającego mnie. Chciałem zapytać, dlaczego nie przyjechała na konkurs talentów, opowiedzieć jej o naszym występie, o tym jaka świetna była Jas i że ja znalazłem w sobie odwagę, by wyjść na scenę zaśpiewać i zatańczyć. Ale przypomniałem sobie o nocnej scenie w ogrodzie, o tym jak powiedziała *Mama uważa, że dajesz mi zły przykład.* Ostatecznie nic więc nie powiedziałem i tylko wpatrywałem się w piórniki, kiedy pani Farmer sprawdzała obecność.

Pierwszy był angielski i musieliśmy opisać *Nasze wspaniałe święta*, próbując stworzyć

poprawne akapity. Nie zdarzyło się nic wspaniałego, ale nie chciałem kłamać. Napisałem prawdę. O getrach piłkarskich pełnych prezentów, które kupiła mi Jas. O kanapkach z kurczakiem i frytkach z mikrofalówki i czekoladkach, którymi się zajadaliśmy.

Opisałem, że najlepszym momentem był ten, gdy śpiewaliśmy kolędy na cały regulator. Zakończyłem zdaniem *Może nie były to wspaniałe święta, ale były dobre, bo spędziłem je z Jas.* To było moje najlepsze wypracowanie jak dotąd. Kiedy odczytałem je na głos, pani Farmer stwierdziła *Doskonały tekst*, a moja biedronka skoczyła na pierwszy listek. Po Bożym Narodzeniu z tablicy zniknęły aniołki.

Po angielskim mieliśmy matematykę, a potem odbył się apel. Dyrektor oznajmił, że inspektorzy z Ofsted przyznali szkole ocenę Zadowolającą, co oznacza, że jesteśmy okej, ale nie świetni. Powiedział, że dostalibyśmy ocenę Dobrą, gdyby nie wydarzył się Pewien Incydent, który zdenerwował jednego z wizytatorów. Pani Farmer spojrzała na Daniela i pokręciła głową. Daniel opuścił brodę aż na kolana.

Coś błysnęło w moją stronę. Podniosłem wzrok. Sunya spojrzała mi w oczy i przez ułamek sekundy wydawało mi się, że się roześmieje. Ale odwróciła głowę i pokiwała nią kilka razy, jakby naprawdę słuchała przemowy dyrektora na temat postanowień noworocznych. *Mówił celujcie wysoko w tym roku i stawiajcie przed sobą wyzwania. Nie podejmujcie nudnych postanowień, jak muszę przestać obgryzać paznokcie czy ssać kciuk.* Wszyscy zaczęli się śmiać. Dyrektor uśmiechnął się odczekał, aż zapanuje cisza. *Postawcie przed sobą cel, który będzie dla was ekscytujący. Może nawet odrobinę przerażający.* Od razu wiedziałem, co będzie moim celem.

W czasie przerwy nie mogłem znaleźć Sunyi. Czekałem na naszej ławce, rozglądałem się po całym boisku i nawet zajrzałem do naszej kryjówki, lecz w magazynie też jej nie było. Pewnie schowała się w łazience przed Danielem, bo się go boi. Pies w moim sercu zawarczał jeszcze głośniej. Weszliśmy do budynku, mieliśmy historię i geografię, ale nie mogłem się skupić. Próbowałem zerknąć do piórnika Sunyi i sprawdzić, czy nie widać gdzieś pierścionka z Blu-Tacku. Ja miałem swój na palcu, nawet kilka razy stuknąłem w biały kamień, żeby zwrócić jej uwagę. Jednak Sunya nie podniosła głowy nad podręcznika.

W czasie przerwy obiadowej nie spieszyłem się z wyjściem na dwór, bo nie cierpię stać sam. Zbyt tęskniłem za Rogerem, żeby przełknąć kanapkę, więc poszedłem do toalety i udawałem, że suszarka do rąk jest ziejącym ogniem potworem. Byłem twardy i nie dawałem się i nawet nie krzyknąłem, kiedy płomienie spaliły mi skórę, aż mi kości szerniały.

Usłyszałem jakiś głos z boiska. Nie w mojej zabawie, ale naprawdę. Ktoś krzyczał.

Nienawistnie. Krzyczał *Pogańska pluskwo*. Wyjrzałem przez okno. Daniel łaził za Sunyą, wrzeszczał, a ona próbowała odejść. Był z nim Ryan, Maisie i Alexandra, śmiali się i go dopingowali. Krzyczał *Śmierdzisz* i *Ty muzulmańska pluskwo* oraz *Po co nosisz to badziewie na głowie*. Dotknął jej hidżabu, a właściwie to próbował go zerwać. Wtedy moje serce zaryczało. Głośniej niż pies, głośniej niż ziejący ogniem potwór z łazienki. Głośniej nawet niż srebrny lew na niebie.

Ryk wibrował mi pod czaszką, w rękach i nogach. Nie zdawałem sobie sprawy, że biegnę, dopóki drzwi nie uderzyły o płytki, a ja nie byłem już w połowie korytarza.

Wybiegłem na dwór i wrzasnąłem *Zostaw ją w spokoju*. Dzieciaki zaczęły się śmiać, lecz nic mnie to nie obchodziło. Popatrzyłem w jedną stronę, a potem w drugą, szukając Sunyi. Zauważyłem ją na środku boiska, przytrzymała rękoma hidżab, próbowała powstrzymać Daniela przed ujawnieniem całej szkole jej ukrywanych włosów.

ZOSTAW JĄ W SPOKOJU.

Daniel odwrócił się na pięcie. Dostrzegł mnie i na twarzy zakwitł mu paskudny uśmiezek. *A więc przyszedłeś uratować tę pluskwę*, powiedział i podciągnął rękawy, żeby się bić. Ryan wydawał się rozjuszony. Zatrzymałem się w miejscu i czekałem, aż z moich ust padnie *Tak, przyszedłem ją uratować* albo *Zjeżdżaj mi z drogi* czy coś innego, równie odważnego. Z moich ust nic się jednak nie wydostało. Czekałem, aż moje nogi ruszą do przodu, aż będę mógł kopnąć Daniela, ale one wydawały się sparaliżowane. Coraz więcej dzieciaków gromadziło się dookoła, wszyscy się na mnie gapili.

Co za ofiara, powiedział Daniel, a wszyscy potwierdzili *O tak* i *Co za pedzio*. Mieli rację. Zrobiłem krok do tyłu, nie chciałem, żeby mnie skopali. Ostatnim razem za bardzo bolało. Daniel znów odwrócił się do Sunyi i chwycił hidżab w te swoje tłuste paluchy. Sunya rozplakała się. Tłum skandował *Dawaj dawaj*.

To mi cos' przypomniało. Scenę i konkurs. Skandującą widownię.

Już nie znajdowałem się na boisku, tylko w teatrze i patrzyłem ja Jas. W żyłach huczały mi tamte słowa, słowa jej piosenki.

Powróciłem na boisko, odbierając wszystkie dźwięki i kolory. Sunya płakała. Hidżab miała do połowy rozwinięty. Tłum wiwatował. Daniel się śmiał. A ja mu na to pozwalałem.

ME

Krzyknąłem jak najgłośniejszym głosem. Wrzasnąłem nawet. *NIE*. Daniel odwrócił się zaskoczony. Przygotowałem pięść. Szczeka mu opadła ze zdziwienia, a ja ruszyłem na niego z całą wściekłością, jaką czułem. Otworzył oczy szeroko ze strachu. A kiedy moja pięść zderzyła się z jego nosem, upadł na ziemię. Uderzyłem go jeszcze raz, mocniej, wałąc w policzek. Sunya podniosła wzrok. Popatrzyła na mnie zdumiona. Kopnąłem Daniela trzy razy, a za każdym razem, gdy moja noga zderzała się z jego żebrami wypowiadałem słowo. *ZOSTAW. JĄ. W SPOKOJU.*

Ryan uciekł. Tłum zaczął się wycofywać. Bali się. Daniel leżał na ziemi i zakrywał twarz rękoma. Płakał. Mogłem go kopnąć jeszcze raz, mogłem go podeptać, wałnąć z łokcia albo uderzyć prosto w brzuch. Mogłem, ale nie chciałem. Nie było mi to potrzebne. Właśnie wygrałem mój Wimbledon. Gwizdek obwieścił koniec przerwy.

Pani Farmer odesłała mnie do dyrektora, jednak wcale nie żałowałem tego, co zrobiłem, a poza tym straciłem tylko kawałek historii. Kiedy lekcje dobiegły końca, poszedłem po kurtkę i aż cztery osoby powiedziały mi *Cześć*. Nigdy wcześniej się do mnie nie odzywali. Odparłem *Cześć*, a oni powiedzieli *Do zobaczenia*. Jeden chłopak zapytał *Przychodzisz jutro na trening*, a ja pokiwałem głową bardzo energicznie. *Zdecydowanie tak*, powiedziałem, na co odparł *Super*. Daniel słyszał to wszystko, ale się nie odzywał. Nie ośmielił się nawet na mnie spojrzeć. Z nosa już mu nie leciała krew, jednakże był posiniaczony. I miał czerwone policzki, bo całe popołudnie płakał. Łzy pociekły mu na ułamki i zamazały odpowiedzi.

Udało mi się rozwiązać tylko cztery zadania z matematyki. Czułem się lekki, lemoniada musowała mi w żyłach, a myśli wyskakiwały w umyśle jak bąbelki. Łapały mnie skurcze w nodze, i w ciągu godziny pięć razy otarłem nią o Sunyę. Trzy razy przypadkowo. Dwa razy celowo. Nie powiedziała *Przestań* ani *Twoja noga wywiera na mnie zły wpływ* ani cokolwiek podobnego. Tylko wpatrywała się w ułamki, przygryzała długopis i miałem wrażenie, że próbuje powstrzymać się od uśmiechu.

Wyszedłem ze szkoły, niebo było turkusowe, świeciło na nim ogromne, złote słońce. Wyglądało jak olbrzymia piłka plażowa, unosząca się na idealnie niebieskim morzu. Miałem nadzieję, że świeci na tyle mocno, by dotrzeć pod ziemię, bo chciałem, żeby Roger poczuł na sobie jego ciepło. Miałem nadzieję, że nie jest samotny ani przerażony w swoim grobie. Zakłuło mnie ostro w klatce piersiowej jak przy niestrawności po zjedzeniu zbyt wielu kawałków pizzy. Oparłem się o murek, położyłem rękę na sercu i czekałem, aż przejdzie. Zmniejszyło się do tępego bólu, ale nie zniknęło całkowicie.

Usłyszałem kroki i brzęk metalu. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że Sunya biegnie w moją stronę. *Odszedłeś bez pożegnania*, powiedziała, kładąc ręce na biodrach. Iskierki wróciły do jej oczu, które połyskiwały teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Miała jaskrawożółty hidżab, olśniewająco białe zęby, a oczy jej błyszczały z siłą miliona słońc. Wspięła się na murek, usiadła obok mnie, skrzyżowała nogi, a ja patrzyłem na nią, jakby była pięknym widokiem, dobrym obrazem albo interesującą gazetką w klasie. Pieprzyk nad wargą podskakiwał, bo zaczęła mówić. *Odszedłeś, zanim zdążyłam ci podziękować*, powiedziała, a ja przygryzłem policzek od środka, żeby się nie uśmiechnąć. *Podziękować*, zapytałem, udając, że nie wiem, o czym mówi. Pochyliła się do przodu i oparła brodę na rękach. Wtedy zauważyłem cienki niebieski pasek wokół jej środkowego palca.

Jeżeli zazdrość jest czerwona, a wątpliwość czarna, szczęście musi być brązowe. Popatrzyłem na mały brązowy kamyk, a potem przeniosłem wzrok na maleńki brązowy pieprzyk i wielkie brązowe oczy. *Za to, że mnie uratowałeś*, powiedziała, podczas gdy ja siliłem się na beztroskę. *Za trzaśnięcie Daniela w twarz*. Miała pierścionek. Jednak go założyła. Była moją przyjaciółką. *Nie ma za co*, odparłem. *Byłeś niesamowity*, powiedziała i zaczęła się śmiać. A z nią już jest tak, że kiedy się roześmieje, to nie może przestać i do tego zaraża śmiechem. *Nie dziękuj mi, Girl M*, powiedziałem. Boki mnie już bolały, a mój uśmiech większy był od banana. *Dziękuję, Spider-Manie*, Sunya

położyła rękę na ramieniu i przestała chichotać. *Byłeś lepszy od Spider-Ma-na*, szepnęła mi do ucha.

Zrobiło mi się gorąco i zaczęło brakować powietrza. Patrzyłem na topiący się śnieg, który nagle wydał mi się taki ciekawy i koniecznie musiałem kopnąć go mnóstwo razy. *Odprowadzę cię*, powiedziała. Stała na murku, podskoczyła naprawdę wysoko i wylądowała obok mnie. *A twoja mama*, zapytałem i rozejrzałem się dookoła, na wypadek, gdyby na nas patrzyła. *Powiedziała, że daję ci zły przykład*. Sunya chwyciła mnie za rękę i uśmiechnęła się. *Rodzice nic nie rozumieją*.

W drodze do domu opowiedziałem jej o Rogerze. *Tak mi przykro*, powiedziała. *Był takim fajnym kotkiem*. Nigdy go nie spotkała, ale to nie miało znaczenia. Roger był fajnym kotem, najfajniejszym na świecie. Wszyscy o tym wiedzieli. Wpadliśmy na tego staruszka w płaskiej czapce na głowie. Fred pomachał ogonem i polizał mnie po ręce, zostawiając lepka ślinę. W ogóle mi to nie przeszkadzało. *Wszystko dobrze*, zapytał starszy pan, paląc fajkę. *Jak się czujesz*. Wzruszyłem ramionami. *Rozumiem*, powiedział staruszek z powagą. *W zeszłym roku straciłem mojego psa i nadal cierpię*. Tego łobuza wziąłem cztery miesiące temu, dodał, pokazując na Freda. *Daje mi cholernie do wiwatu*. Fred podskoczył i oparł łapy na moim brzuchu. *Chyba cię polubił*, powiedział, drapiąc się po głowie końcówką fajki, jakby myślał o czymś. *Mam pomysł*. *Może przychodziłbyś do mnie i pomagał przy Fredzie*. *Mógłbyś go ze mną wyprowadzać na spacer*. Poglaskałem Freda po szarych uszach. *To byłoby najlepszą rzeczą pod słońcem*, odparłem, a staruszek uśmiechnął się szeroko. *Dobrze*. *Bardzo dobrze*. *Mieszkam o tu*, w tym domu, pokazał stojący kilka metrów dalej biały budynek. *Tylko najpierw zapytaj mamę*. *W zasadzie to nie mam mamy*, powiedziałem. *Ale zapytam tatę*. Staruszek pogłaskał mnie po głowie. *Koniecznie, chłopcze*. *Fred, do nogi*. Fred zignorował polecenie, więc chwyciłem jego łapy i delikatnie odsunąłem od siebie. Były tłuste i gąbczaste. Staruszek przypiął mu smycz do obroży i poszedł w swoją stronę, machając fajką na pożegnanie. *Ja też przyjdę*, powiedziała Sunya, kiedy ruszyliśmy. *Zabiorę Sammy'ego i będziemy mieć przygody*.

Zatrzymaliśmy się pod sklepem, bo Sunya chciała kupić coś dla Rogera. Miała tylko pięćdziesiąt pensów, więc kupiła mały czerwony kwiatek. Kiedy płaciła, zauważyłem na ladzie coś brązowego i puszystego i od razu coś przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Wyjąłem pieniądze, które babcia przysłała mi na urodziny.

Podjazd był pusty, tata widać jeszcze nie wrócił. Powiniennem czuć wyrzuty sumienia, że pozwalam muzulmance podejść do naszego domu, podczas gdy on jest na budowie, ale nie czułem. Mama Sunyi mnie nie lubi, a tata nie lubi Sunyi. Jednak to, że są dorośli, nie oznacza jeszcze, że zawsze mają rację.

Tutaj leży Roger, powiedziałem, wskazując na prostokąt świeżej ziemi w ogrodzie. *Tu, pod spodem*. Sunya uklękła i dotknęła grobu. *Był cudownym kotem*, powiedziała. *Najcudowniejszym*, odparłem, kucając obok. Wyprostowała rękę i popatrzyła na pierścionek na środkowym palcu. *Jest coś, czego nie wiesz*, oznajmiła niskim głosem, od którego ciarki mi przeszły po plecach. *Chodzi o pierścionki*, dodała, a ja popatrzyłem na brązowy kamyk. *Co*, zapytałem. *O co chodzi*. Sunya rozejrzała się dookoła, by upewnić się, że nikt nas nie podsłuchuje, po czym chwyciła mnie za koszulkę i przyciągnęła bliżej. *One potrafią wskrzeszać*, szepnęła. Nie odezwałem się, chociaż

miałem miliard pytań. *Lecz tylko we właściwym czasie. Jeśli położymy kamyki na grobie Rogera, kiedy zegar wybije północ, Roger będzie miał moc wyjścia spod ziemi, polowania na myszy i zabawy w ogrodzie. Zaczęłam się uśmiechać. Do mnie też przyjdzie, zapytałam. Oczywiście, odparła.*

Na tym polega magia. Wskoczy przez okno, położy się przy tobie i zamruczy. Będzie ciepły i miękki, ale zniknie, gdy się obudzisz. Wróci do swojego podziemnego łóżka i prześpi cały dzień, żeby mieć mnóstwo energii na kolejną nocną eskapadę.

To nie była prawda, ale nie szkodzi. I tak poczułem się lepiej. Sunya zdjęła pierścionek z palca i ja też zsunąłem swój. A potem przycisnęła biały kamyczek do brązowego, a ja wykopałem mały dołek w grobie. Pocałowała pierścionki, ja też to zrobiłem i włożyłem je do grobu. Zakryliśmy je ziemią i śniegiem, a nasze palce dotknęły się cztery razy. Sunya położyła na grobie czerwony kwiat. *Roger jest teraz magicznym kotem*, powiedziała, a ból w moim sercu zelżał trochę.

Ktoś zapukał w okno. Podskoczyłem i stanąłem tak, żeby zasłonić Sunyę. Bałem się, że to tata, ale to była tylko Jas, która wróciła właśnie ze szkoły. Obok różowej głowy widać było zieloną. Uśmiechnęła się radośnie i pomachała do Sunyi, a ona wychyliła się zza moich nóg i też jej pomachała. Jas pociągnęła Leo za rękę w stronę salonu, a zanim zniknęli w drzwiach, pocałowała go prosto w usta.

Ogród wydał mi się nagle za mały. Nie miałem gdzie podziąć wzroku, czułem się niezdarnie i wybitnie zdawałem sobie sprawę z obecności

Sunyi obok moich nóg. *Powinnam już iść*, powiedziała, wstając, ale nie popatrzyła mi w oczy. Miała przemoczone ręce i kolana. *Mama mnie zabije, jeśli wrócę za późno.*

Tyle się zdarzyło tego dnia, dziwnie było się żegnać. Nie chciałem, żeby odchodziła. Sunya wytarła palce o uda i wyciągnęła rękę. *Na zawsze przyjaciele*, zapytała nieco wyższym głosem niż zwykle. *Na zawsze przyjaciele*, potwierdziłem. Uścisnęliśmy sobie krótko ręce, moja dłoń była taka gorąca w kontakcie z jej ręką. A kiedy się puściliśmy, zerknęliśmy na siebie i odwróciliśmy wzrok.

Skupiłem się na siedzącym na gałęzi rudziku. Miał czerwony brzusek, brązowe skrzydła, otwarty dziób i śpiewał tak, jakby...

Jamie.

Podskoczyłem, a Sunya uśmiechnęła się. Jej ręce powędrowały do głowy. Brązowe palce zacisnęły się na żółtej tkaninie.

Zsunęła hidżab.

Czoło.

Włosy.

Proste, błyszczące włosy, które opadały jej na ramiona jak czarna, jedwabna kurtyna.

Zamrugła nieśmiało, a ja podszedłem bliżej. Była nawet ładniejsza bez chusty. Popatrzyłem na nią, tak naprawdę popatrzyłem, próbując objąć wzrokiem wszystko, co się dało. A potem nachyliłem się i pocałowałem ją w pieprzyk i było to tak ekscytujące i przerażające, jakie powinno być zdaniem dyrektora nasze noworoczne postanowienie.

Sunya z trudem złapała powietrze i uciekła, a jej piękne włosy powiewały na wietrze. *Do zobaczenia jutro*, zawołała przez ramię, odwracając się po raz ostatni. Bałem się, że ją przestraszyłem, ale dotknęła pieprzyka, uśmiechnęła się i przesłała mi buziaka. Oczy jej błyszczały bardziej niż diamenty, a ja czułem się najszczęśliwszym i naj-

bogatszym chłopakiem na ziemi.

Wróciłem do domu, wszedłem po schodach na górę i popatrzyłem w lustro. Byłem za duży na koszulkę ze Spider-Manem. Ściągnąłem ją przez głowę, rzuciłem na podłogę i zerknąłem na swoje odbicie. Zniknął superbohater, a na jego miejscu stał teraz chłopak. Na jego miejscu stał Jamie Matthews. Wziąłem prysznic i założyłem piżamę.

Tata wrócił o szóstej i zrobił tosty z fasolką po bretońsku. Zjedliśmy je przed telewizorem, a tata zapytał, jak minął nam dzień. *Dobrze* powiedziałem. *Okej*, odparła Jas. Nie powiedziała nic o Sunyi, a ja nie wspomniałem o Leo. Fajnie było mieć tajemnicę. Jas zjadła tylko dwa gryzy tosta, a tata wypił trzy piwa. Gdyby Ofsted przeprowadził inspekcję w mojej rodzinie, wiem, jaką byśmy dostali ocenę. Zadowolająca. *Okej*, ale nie świetna. Mnie to wystarcza.

Dużo później wszedłem do pokoju Jas, trzymając coś za plecami. Malowała paznokcie na czarno i słuchała muzyki. Było tam mnóstwo gitar, wrzasków i krzyków. *Czego chcesz*, zapytała, machając dłonią w powietrzu, żeby wysuszyć paznokcie. *To ty przysłałaś te koszulkę, prawda*, zapytałem. Ręka zawisła jej w powietrzu. Moja siostra wyglądała na zaniepokojoną. *To nic*, powiedziałem. *Mi to nie przeszkadza*. Jas podmuchoła na lakier. *Tak. Przepraszam. Nie chciałam, żebyś myślał, że mama o tobie zapomniała*. Usiadłem na jej łóżku. *To był fajny prezent*, powiedziałem, a ona zanurzyła pędzelek w czarnym słoiczku. *Nie jesteś zły, że to nie od mamy*, zapytała, malując sobie najmniejszy palec. *Nawet lepiej, że to od ciebie*, powiedziałem. *Ja też mam coś dla ciebie*, dodałem i wyjąłem zza pleców brązowego, puszystego misia. *Na miejsce Burta. Wydłubałem mu oczy i w ogóle*.

Jas położyła sobie Burta na kolanach, ostrożnie, żeby nie pobrudzić go lakierem. Sięgnąłem przez materac do odtwarzacza i wyłączyłem muzykę. *Chcę ci coś powiedzieć*, odezwałem się. *Coś ważnego*. Jas pogłaskała Burta. *Wiesz, ta piosenka, którą zaśpiewałaś na scenie*. Jas pokiwała powoli głową. *Właśnie tak się czuję dzięki tobie*. Jas zamrugła, żeby powstrzymać łzy. Ten lakier musiał być naprawdę mocny, skoro zaczęła łzawić. *Your strength gives me courage to fly, zafalszowałem*, a ona uderzyła mnie łokciem w żebra. *Zjeżdżaj z mojego pokoju, ty mały skubańcu*, powiedziała. Ale się uśmiechała. Ja też się uśmiechnąłem.

Podziękowania

Ta powieść zaczęła się od prostego pomysłu i paru notatek w zeszycie. Nigdy nie przerodziłaby się w książkę, gdyby nie pomoc kilku ważnych osób.

Dziękuję Jackie Head, która znalazła ją w stosie chłamu i jednym telefonem zmieniła całe moje życie. Ciepłe podziękowania kieruję także do mojej agentki, Catherine Ciarke, która prowadziła mnie z ogromną mądrością i inteligencją. Całej ekipie Oriona dziękuję za wspaniałą pracę i zainteresowanie tyłu osób moją książką. Szczególne podziękowania należą się mojej wydawcy, Fionie Kennedy, za potraktowanie rękopisu z wielkim zrozumieniem i szacunkiem, przy jednoczesnym wyciągnięciu tego, co najlepsze z opisaney przeze mnie historii.

Ale przede wszystkim, dziękuję rodzinie i przyjaciołom, którzy byli ze mną jeszcze przed powstaniem tej powieści i pozostaną długo po niej. W szczególności jestem wdzięczna mojemu bratu i siostrze, a także mamie, tacie i mojemu cudownemu mężowi. Dzięki wam, tak samo jak dzięki Sunyi, życie skrzy się i błyszczy.

Annabel Pitcher

West Yorkshire

lipiec 2010